POLITYKA DEZINFORMACYJNA

Ziemkiewicz o polskich mediach zagranicznych właścicieli

Felieton Marka Jurka – od tego wydania co tydzień w „Do Rzeczy”

Fenomen Ennio Morricone

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 29/382 13–19 LIPCA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład: 58 000 egzemplarzy

JA, HOMOFOB?!

Pisarz Jacek Komuda odpiera atak hejterów z LGBT na jego opowiadanie w „Nowej Fantastyce”

Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

pgnig.pl cd6d820ddb

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sumowanie półprawd

Wiele razy pokazywałem już, w jaki sposób działa mechanizm medialnej manipulacji. Nie polega on na tym, że media – gazeta, telewizja czy radio – po prostu kłamią. To byłoby za proste i natychmiast zostałoby przez ogół odbiorców dostrzeżone. Nie, one jedynie we właściwy sposób podkreślają, umieszczają w kontekście, naginają, przejaskrawiają bądź nadają inny od zamierzonego sens słowom. Następnie zaś tak spreparowanej wypowiedzi używają do tego, żeby u odbiorców wywoływać odpowiednie stany emocjonalne, najczęściej strach lub oburzenie. Podniecony w ten sposób wyborca już nie myśli ani nie rozumuje: mając właściwe emocjonalne nastawienie, jest odporny na prawdę. W Polsce, tak jak w wielu państwach Unii, dominującą rolę w tworzeniu tych wypaczonych opowieści odgrywają media lewicowo-liberalne. Dokładnie tak się stało z wypowiedzią prezydenta Andrzeja Dudy na temat szczepionki na koronawirusa w Końskich.

Akurat to spotkanie śledziłem dokładnie, bo TVP Info zaprosiła mnie do jego komentowania. W pewnej chwili – jednocześnie patrzyłem na ekran telewizora i oglądałem opis debaty w Internecie – zauważyłem, że zaczął się pojawiać na czerwono tytuł, sugerujący, że prezydent jest przeciwnikiem szczepień. Wszystkich! Przez chwilę pomyślałem, że przespałem i przegapiłem tak istotną sprawę. Jak to, Andrzej Duda tuż przed drugą turą wyborów postanowił zapisać się do obozu radykalnych antyszczepionkowców? Dla kilku procent głosów porzucił kilkadziesiąt? Oczywiście szybko odszukałem dosłowny cytat. Nie, niczego nie przespałem.

Prezydent odpowiadał na pytanie o szczepionkę na koronawirusa. I w tym właśnie kontekście powiedział: „Jeżeli chodzi o szczepionkę, absolutnie nie jestem zwolennikiem jakichkolwiek szczepień obowiązkowych. Powiem państwu otwarcie: ja osobiście nigdy się nie zaszczepiłem na grypę […]. Miałem oczywiście różne szczepienia jako dziecko i później jako dorosły chłopak, ale na grypę się nigdy nie szczepiłem i nie chcę się szczepić. […] Uważam, że szczepienia na koronawirusa absolutnie nie powinny być obowiązkowe" – mówił prezydent. „Kto chce, jeżeli będzie szczepionka, niech się zaszczepi, ale kto nie chce – to jest jego osobista decyzja". Stwierdził też, że lek lub szczepionka w pierwszej kolejności powinny być dostępne dla ludzi starszych. Andrzej Duda nie powiedział nic szokującego. Po prostu zachował się zgodnie z regułami zdrowego rozsądku. Tak jak on postępują miliony Polaków, w tym też ja: w ciągu kilku ostatnich lat, kiedy byłem chory na grypę, a zdarzyło się to chyba dwa razy, rozmawiałem na temat szczepionki przeciw grypie z różnymi lekarzami. Jedni doradzali, inni odradzali. I jedni, i drudzy wskazywali jednak, że takie szczepienie chroni doraźnie, ponieważ – jak wiadomo – wirus grypy mutuje i szczepionkę należałoby powtarzać.

Mówiąc o tym, że jest przeciwny obowiązkowemu szczepieniu na koronawirusa, Andrzej Duda stanął w obronie zdrowego rozsądku i wolności. Wprowadzenie powszechnego obowiązku szczepienia się na koronawirusa oznaczałoby daleko idącą ingerencję państwa w prawa obywatelskie. Co więcej, trudno powiedzieć, żeby zastosowanie takiego radykalnego środka było na pewno skuteczne. Prezydent przyznał też, że nie jest przeciwnikiem szczepień w ogóle, „miałem oczywiście różne szczepienia jako dziecko i później jako dorosły chłopak", ale to zdanie dziwnym trafem mediom umknęło. Medialna nagonka ruszyła.

Piszę o tym, kiedy wybory mamy już za sobą. Jednak mechanizm tworzenia fałszywych doniesień z nami pozostał. W Polsce ma on ograniczony zasięg, bo w organizowanych przez liberałów i lewicę nagonkach nie uczestniczą media publiczne i niektóre prywatne, konserwatywne. Aż strach sobie wyobrazić, jak wyglądałaby debata w sytuacji, gdyby i one zostały opanowane przez liberalnych inżynierów dusz. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl cd6d820ddb

TEMAT TYGODNIA

14 JACEK KOMUDA
JAK ZOSTAŁEM HOMOFOBEM
Nowoczesny terror LGBT

20 ROZMOWA Z HISZPAŃSKIM HISTORYKIEM FERNANDO PAZEM
MACIE SZCZĘŚCIE ŻYĆ W WOLNOŚCI

KRAJ

22 TOMASZ ROWIŃSKI
KTO STOI ZA HOŁOWNIĄ?
Ideologia powstającej partii

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MEDIA MAJĄ NARODOWOŚĆ

28 ROZMOWA Z DR. JAROSŁAWEM SZARKIEM
DEKOMUNIZACJA TO NASZ OBOWIĄZEK

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
NARKOJAZDA

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MASECZKI SKROJONE NA MIARĘ

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
CZARODZIEJ ENNIO
Pożegnanie Ennio Morricone

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
KOBIETA ZA BURTĄ

38 GRZEGORZ KONDRASIUK
TEATR TO PRZEŻYTEK?

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA
NIEWYGODNE 100 MINUT
Film „Planeta ludzi"

48 WOJCIECH GOLONKA
MIGRACJA: STRATEGIA SUKCESU

50 MARCIN MAKOWSKI
POKOLENIE DOMOWE

HISTORIA

52 ADAM ZUBEK
POLSKA OD SPODU
Jak powstały nasze ziemie

56 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
KRYPTONIM RAKIETA

ŚWIAT

60 TERESA STYLIŃSKA
DROGA DO PÓŁKSIĘŻYCA
Czy Hagia Sophia będzie meczetem?

64 ROZMOWA Z PROF. DAVIDEM JACKSONEM
POLONIA MOŻE ZADECYDOWAĆ O PREZYDENTURZE W USA

EKONOMIA

66 ROZMOWA Z JANEM SARNOWSKIM
ESTOŃSKI SILNIK DLA POLSKI
Gospodarce pilnie potrzebny jest impuls do wzrostu

70 TOMASZ CUKIERNIK
PRAWO DO NAPRAWY

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM

72 WOJCIECH CEJROWSKI
GUJANA – POWRÓT
Zaczynam tam, gdzie skończyłem

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK
GWIAZDY NIE GASNĄ
Michael Jordan wciąż zarabia i pozwala zarabiać miliony dolarów

O ZDROWIU

76 ROZMOWA Z PROF. JANUSZEM HEITZMANEM
PANDEMIA TO NIE TYLKO KLĘSKA
Psychika w dobie COVID

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), ROSZKOWSKI (82)

eprasa.pl cd6d820ddb

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl i zachęcamy do przesyłania korespondencji.

„Fiołkowe brednie", Krzysztof Masłoń, „DRz" 26/2020

Szanowny Panie,

[...]

Problem rzekomego rasizmu książki [„W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza] jest oczywiście sztuczny i niczym nieuzasadniony, wywołany – jak sądzę – chęcią zaistnienia w akcji protestacyjnej. Nasuwa mi się na myśl wspomnienie sceny, gdy Staś zastanawia się, co zrobić, gdy ujrzał dym w czasie choroby Nel. „Chłopiec przypomniał sobie jednak słowa młodego Murzyna, wówczas gdy ów udał się nocą szukać Saby i wróciwszy z nim, powiedział:

»Kali się bać, ale pójść«. I powtórzył sobie to samo: »Będę się bał, ale pójdę«". Biały chłopiec stawia sobie za wzór postępowanie swojego czarnoskórego pomocnika – to interesujące rozumienie rasizmu. Pokazanie szlachetnego postępowania Kalego w opisanym przypadku, a także np. gdy ten postanawia towarzyszyć dzieciom w drodze do oceanu, nawet za cenę utraty władzy w plemieniu – to też pewnie rasizm. Staś bierze udział w walce dwu plemion nie po to, aby któreś z nich pognębić, ale by zaprowadzić – choćby chwilowy – pokój. Jeżeli to rasizm, to zapewne wszystkie misje pokojowe we współczesnych czasach, mające na celu zapobieżenie wzajemnym rzeziom (chociażby Tutsi i Hutu), należy potraktować jako przejaw odwiecznej wyższości białego człowieka i potępić w czambuł. Zamiast doszukiwać się nieistniejących błędów, lepiej byłoby, gdyby pani polonistka dokładnie przeanalizowała lekturę i zastanowiła się nad jej treścią.

Plemiona murzyńskie pokazane są oczywiście jako stojące na niskim poziomie cywilizacji w naszym rozumieniu. Na jakim miały być jednak poziomie, żyjąc w odosobnieniu od cywilizacji? Przecież ci ludzie nie wyjeżdżali wówczas na studia do Europy, nie mieli nawet najbardziej podstawowego dostępu do nauki, krótko mówiąc – żyli w nieświadomości świata. Sienkiewicz opisał ludy Afryki według ówczesnej znajomości przedmiotu, w ten sam zresztą sposób opisywano tubylców różnych kontynentów w całej ówczesnej, a nawet znacznie późniejszej literaturze podróżniczej (że wspomnę chociażby Alfreda Szklarskiego). Tak świat wtedy wyglądał. Ważne jest natomiast, jakie podejście do opisywanych tubylców prezentował dany autor. Sienkiewicz odnosił się do Murzynów z sympatią i ze współczuciem (niewolnictwo), nigdy z wyższością czy pogardą. Pani polonistka tego nie zauważyła.

Kolejna sprawa to jej ubolewanie nad – zbyt trudnym według niej – tłem historycznym, a konkretnie – powstaniem mahdystów. Swego czasu jednak wydano książkę dla pięto- czy szóstoklasistów w przystępny sposób opisującą ten problem, wyjaśniającą również przyczyny takiego, a nie innego stosunku Sienkiewicza do tego powstania. To „Śladami Stasia i Nel" Mariana Brandysa, twórcy tzw. reportażu historycznego, który także w tym przypadku pokazał świetną (na poziomie dzieci) pracę. W moim przekonaniu wystarczyłoby na lekcji 10 minut, aby korzystając z tej książeczki, pani polonistka w wystarczająco dokładny i przejrzysty sposób wyjaśniła dzieciom tło historyczne i sposób podejścia autora do tematu. [...]

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Mickiewicz wciąż pisze", Krzysztof Masłoń, „DRz" 26/2020

Szanowny Panie Redaktorze,

Pan Marek Skrzyński w liście do Redakcji w związku z moją książką o Mickiewiczu i recenzją Krzysztofa Masłonia (numer z 6–12 lipca), odnosząc się do intonacyjnego dysonansu w szóstym wersie Mickiewiczowskiego wiersza „Śmierć Pułkownika", wyraża pogląd, iż była to pomyłka jeśli nie samego poety, to drukarza. Przedstawia nawet własną propozycję „poprawnej" („właściwej") wersji tego tekstu. Otóż nie była to ani pomyłka, ani tym bardziej niedoróbka. Metodę dysonansu, rytmicznego zgrzytu, poluzowania (że zdaje nam się, jakby autor przemówił nagle prozą) Mickiewicz, by uniknąć monotonii i nieco ozdobić tekst, stosuje z premedytacją, często, na wielką skalę w „Panu Tadeuszu" i przeprowadzono nawet specjalne badania statystyczne dotyczące użycia tego chwytu w poemacie.

Nie spieszmy się z poprawianiem Mickiewicza.

Z wyrazami szacunku
Piotr Wierzbicki

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Fabryka Słów**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

FIRMA RODZINNA

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY — ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl cd6d820ddb

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Bartoszewski pomnikowy

Czasem rzeczy, do których niby już przywykliśmy, na nowo zaczynają kłuć w oczy. Dla mnie niedawno takim przeżyciem były migawki telewizyjne z Sopotu, z uroczystości odsłonięcia pomnika Władysława Bartoszewskiego. Pod hasłem „Warto być przyzwoitym" przed pomnikiem profesora zebrał się kwiat trójmiejskiej Platformy z Donaldem Tuskiem na czele. Potem biało-czerwoną wstęgę wspólnie ściągnęli Aleksander Kwaśniewski, Bronisław Komorowski, Donald Tusk i trochę jakby niepasujący do reszty towarzystwa Władysław Bartoszewski junior. Odsłonięcie pomnika poprzedziła otwarta debata „Autorytet i przyzwoitość w polityce", którą zorganizowano w muszli koncertowej koło molo z udziałem Aleksandra Kwaśniewskiego, Bronisława Komorowskiego i Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

Ten zestaw dyskutantów, z których tylko Komorowski lepiej znał bohatera dnia, dobrze oddawał szerszy fenomen – sprowadzania wskutek wojny polsko-polskiej niejednowymiarowych postaci do roli zastygłego w banale totemu jednego czy drugiego obozu.

Ileż kantów niepasujących do obłych zachwytów było w Bartoszewskim! Żołnierz podziemia, który po wojnie zaangażował się w mikołajczykowskie PSL. Więzień stalinowskiego więzienia, który zjadliwie oceniał wynegocjowane z ubecją ujawnienie się wraz z oddaniem archiwów grupy kolegów z BIP na czele z Aleksandrem Gieysztorem. Członek zespołu „Tygodnika Powszechnego", ale odległy od krytyków Prymasa zatykających nos na ludowy katolicyzm. Ktoś, kto wadził się z Tadeuszem Mazowieckim i bardzo gniewnie przyjął to, że pierwszym ambasadorem RP w Berlinie będzie Janusz Reiter, a jemu oddano znacznie pośledniejszy Wiedeń. Minister spraw zagranicznych przy Wałęsie niekryjący szyderstwa wobec postkomunistów od Kwaśniewskiego. I ktoś, kogo za krytykę Eriki Steinbach niemieckie dzienniki nazywały obraźliwym mianem „Störenfried" (awanturnik).

Wszystkie te niuanse przesłonił jego ostatni okres życia, gdy z bardzo niedobrym zapałem zaangażował się w konflikt z Lechem Kaczyńskim, a potem z PiS.

Po co więc dziś mówić w Sopocie, że nigdy nie mówił źle o ludziach? Mówił, i to bardzo ostro. Odpłacano mu też ostro – gwizdami na Powązkach, podłymi insynuacjami na temat okoliczności jego zwolnienia z Auschwitz czy kwestionowaniem jego profesorskiego tytułu. Taki był koniec jego lat i nie ma co udawać, że było inaczej. Jednak tak jak ten ostatni epizod jego życia przysłania wielu młodym na prawicy jego zasługi – tak jego czciciele z PO starannie dbają, by nikt nie wspomniał o paradoksach jego postaci. Wolą zatopić Bartoszewskiego w jednowymiarowej bańce obozu zwolenników III RP.

Bartoszewski grał różne role, ale niekiedy widziałem, że sam dusił się w narzucanych mu pomnikowych formach. Być może dlatego tak dobrze nam się rozmawiało, gdy to się zdarzało. Nawet w ostatniej fazie życia, gdy jego asystenci patrzyli na mnie z podejrzliwością.

I postawmy sprawę jasno. Po prawej stronie też bywa, że lukier zalewa postacie Anny Walentynowicz, Lecha Kaczyńskiego i Jana Olszewskiego. A nikt nie jest jednowymiarowy. I nikt nie jest już za życia chodzącym pomnikiem. ©℗

FOT. ART KONOVALOV/ADOBE STOCK

UNIA UDERZA W POLSKIE FIRMY

Parlament Europejski przyjął tzw. pakiet mobilności. Odrzucono poprawki zgłaszane przez Polskę, Węgry, Bułgarię, Rumunię, Litwę, Łotwę czy Maltę. Przez nowe przepisy, na których zależało głównie krajom tzw. starej Unii, polscy przewoźnicy zaczną tracić dominację rynkową. Polskie firmy zmuszone zostaną do płacenia kierowcom wyższych stawek – np. za przejazd w Niemczech będą musiały płacić stawki niemieckie. Kierowcy nie będą też mogli podczas przerw spać w kabinach. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wyjście awaryjne

Jeżeli wygramy wybory, to, oczywiście, uznamy wynik, jeśli przegramy, wówczas ogłosimy, że zostały sfałszowane, zaskarżymy do Sądu Najwyższego i zwrócimy się o interwencję do organów Unii Europejskiej – tak zapowiedział swego czasu Roman Giertych. W ostatnim tygodniu przed drugą turą podobna zapowiedź wybrzmiała w Radiu TOK FM, w rozmowie Piotra Najsztuba z Andrzejem Rzeplińskim. Były przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego wyjaśnił, że nawet jeśli Duda wygra, to wcale nie musi zostać prezydentem, bo Sąd Najwyższy może zwlekać ze stwierdzeniem ważności wyborów aż do 6 sierpnia, kiedy to kończy się obecna kadencja prezydencka. A jeśli kadencja się skończy bez orzeczenia ważności wyborów, to tych wyborów jakby nie było, ich zwycięzca nie może objąć urzędu – prezydenta nie ma, zastępuje go marszałek Sejmu zobowiązany do 20 sierpnia rozpisać kolejne wybory.

Szkoda, że było to radio, a nie telewizja, bo widok redaktora Najsztuba, który, sądząc po głosie, podniecił się tą wizją niczym królik Roger na widok Jessiki Rabbit, musiał być wiele wart. Dziwi jednak, że Rzepliński, przedstawiając pomysł sądowej obstrukcji, jako pełniącą obowiązki zablokowanego nią prezydenta wskazał marszałek Witek. Jeszcze niedawno przecież po stronie „opozycji totalnej" twierdzono, że rolę tę powinien odgrywać marszałek Senatu Tomasz Grodzki. Czyżby nawet Rzepliński uznał wykładnię, którą to uzasadniano, za nazbyt pokrętną? Trudno uwierzyć, były prezes TK pokazał już przecież, że wie, co to „stan pewnej takiej vis maior", i umie w tym stanie podchodzić elastycznie nawet do przepisów tak jednoznacznych jak ten, który zabrania „hodowania" sobie latami ekwiwalentów urlopowych.

Przegrane wybory zawsze można ogłosić nieważnymi, każdemu prawu i każdej władzy zaś odmówić legitymizacji pod dowolnym pretekstem. I jestem dziwnie przekonany, że nic nie powstrzyma opozycji, żeby to zrobić. We wrześniu wszak zbiera się po raz kolejny TSUE. Zaraz dowiemy się z TVN, że jego orzeczenie będzie ważniejsze od głosów wyborców. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Przywódca czy trybun?

W chwili, gdy to piszę, nie znam jeszcze wyniku wyborów. Są jednak rzeczy, które od wyborów nie zależą. Politycy dziś zajmują się bardziej tworzeniem emocji niż instytucji. Są bardziej trybunami niż przywódcami. Co te kategorie różni? Trybun powtarza w kółko swoje. Jeśli myśli o przyszłości, to w planie krótkim, wyborczym. Wobec swych zwolenników kieruje się skrajnym konformizmem. Konformizm „chcę tylko tego, co wy" to wręcz jego etos. Dlatego wobec innych liderów (i innych kierunków społecznych) musi przyjmować postawę separatystyczną, inaczej bowiem musiałby uznać ich społeczny czy moralny mandat. A to zaprzeczałoby jego dewizie „Il popolo ha sempre ragione". Lud ma zawsze rację – oczywiście jego własny lud wyborczy.

Przywódca zabiega o poparcie społeczne (bez tego nie sposób prowadzić polityki), ale wspierając się na sprawdzonym autorytecie, na dorobku, a nie jedynie nadziejach, zyskuje sporą wolność od nastrojów zwolenników. Może je kształtować. Identyfikuje się z tymi, którzy go wspierają, bo przecież łączy ich wspólnota wartości. Reprezentuje ich jednak w strukturach państwa, nadając ich dążeniom formę możliwą do realizacji. Dąży do tworzenia faktów trwałych, mimo że w porównaniu z nadziejami i wizjami mogą się wydawać nudne. Ucząc odpowiedzialności, uświadamia jednak wartość instytucji, idee, które w nich żyją, jak dusza w ciele. Przywódca to trybun, który dojrzał.

Przywódca jest zdolny podejmować decyzje, dokonywać wielkich zwrotów, tak jak Piłsudski zaczynający kurs w stronę pasywizmu i wstrzymujący nabór do Legionów po zajęciu Warszawy przez Niemców albo zawierający ugodę z konserwatystami po przewrocie majowym. Jak Dmowski zapowiadający antyniemiecką współpracę z Rosją po rewolucji 1905 r., a po wojnie rysujący realistycznie granicę polską na Wschodzie.

Oczywiście, oprócz trybunów wykrzykujących gniew i przywódców dążących do konkretyzacji nadziei są jeszcze despoci, opętani ideą osobistej misji, ale to już rzadsza, choć dużo groźniejsza, kategoria. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

PIECZEŃ RZYMSKA

Pan Jezus i Mała Syrenka

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Niestety, po policyjnym mordzie na George'u Floydzie walczący z rasismem, a jeszcze bardziej z niedowładem swego organu intelektualnego, nie poprzestali na obalaniu pomników.

Amerykański aktywista Shaun King stwierdził, że przedstawienia Pana Jezusa, na których nosi twarz białego Europejczyka, to rasizm i należałoby je usunąć. Co paraliżujące, King nie jest, że tak powiem, idiotą pospolitym, ale autorem tekstów publikowanych w „The Washington Post". Jest też związany ze słynnym uniwersytetem harwardzkim. Wikipedia po angielsku poświęca mu siedem bitych stron. Trochę się obawiamy, że wylądują nam w Rzymie jego amerykańscy „followers" i narobią szkody. Już raz szurnięty Węgier rzucił się z młotkiem na „Pietę" Michała Anioła w białym marmurze. A mamy tu jeszcze dzieła takich bezprzykładnych rasistów jak Rafael czy Caravaggio.

Inny wojujący z rasizmem, tym razem anonimowy, z przyczyn nieznanych, pomijając oczywiście idiotyzm, napisał na kamieniu, na którym w Kopenhadze za sprawą rzeźbiarza Edvarda Eriksena usiadła Syrenka, „Rasistowska ryba". Badacze literatury jeszcze raz pochylili się nad smutną baśnią Andersena i nie doszukali się w niej motywów rasistowskich. Niemniej jednak aktywista rozstrzygnął spór, czy Syrenka jest rybą, czy kobietą.

Natomiast bałwani z australijskiej stacji ABC zaproponowali znanemu szachiście Johnowi Adamsowi udział w dyskusji, czy aby podział figur na białe i czarne, a szczególnie to, że białe rozpoczynają, nie jest przejawem rasizmu. Hm... Szachy wymyślili śniadzi mieszkańcy Indii.

Niestety, Misiów o Bardzo Małym Rozumku ci w świecie zatrzęsienie. Włoskie porzekadło ujmuje to brutalniej: „Matka idiotów jest zawsze w ciąży". Występują również w Polsce. Po zmianie ustroju w pewnym miasteczku ofiarą zmian nazw ulic padł też Tadeusz Kościuszko. Zapewne pomysłodawcy o Kościuszce wiedzieli niewiele. Kojarzył im się jedynie z dywizją kościuszkowską.

Najbardziej irytuje to, że triumfy święci bardzo zadowolona z siebie głupota. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

FOT. RITZAU SCANPIX / REUTERS / FORUM

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Lizusi i ci z własnym zdaniem

Pisząc tę rubrykę, nie znam wyników wyborów, ale zastanawiam się, co z nich zostanie, zwłaszcza na finiszu. Być może jednym z plusów było takie napięcie, przy którym pospadało wiele masek? „W Polsce mieć swoje zdanie nie przystoi, lepiej być prowadzonym na smyczy i bić brawo bez myślenia. W niedzielę jak zawsze od 64 lat zrobię to, co sam myślę, a nie co mi podpowiadają na prawo i lewo, a Wy?" – napisał na przykład Zbigniew Boniek.

„Panie Prezesie, przecież w PZPN podporządkowaliście sobie większość dziennikarzy, biją brawo bez myślenia. Z pana punktu widzenia to korzystne, w ogóle się panu nie dziwię. Z ciekawości zapytam: pan lubi lizusów czy tych z własnym zdaniem?" – odpowiedział mu Łukasz Olkowicz.

Pozostając na polu refleksji byłych piłkarzy. „Jak komuś przeszkadza Warszawka, to niech się przeprowadzi do Końskich. Idealna wieś dla wieśniaka" – stwierdził Wojciech Kowalczyk. Człowiek po niepełnej podstawówce, ale za to mieszkający w stolicy.

Na ciekawe wyznania zdobyli się również byli politycy. „Chodźmy, Jarosławie, na długi wspólny spacer, pogadamy o dawnych czasach. To dobra chwila, aby uwolnić Andrzeja i Rafała od naszych sporów i emocji. I nie musimy brać ochrony, ze mną będziesz bezpieczny ;)" – zaproponował Donald Tusk. Niestety nie doczekawszy się odpowiedzi, wrócił do znanej tonacji. „Na to, co im dolega, szczepionki nie ma i nigdy nie będzie. Pewnie dlatego są przeciw szczepieniom" – dodał. Pech chciał, że dwa dni później przeciw obowiązkowym szczepieniom na koronawirusa obok Andrzeja Dudy wypowiedział się również Rafał Trzaskowski.

I na koniec chyba jedyny pozytywny wpis w całej tej śmiertelnie długiej i nudnej kampanii. „Po niedzieli gwałtownie ograniczę moją obecność na soszjalach. I to bez względu na to, kto wygra. Muszę na powrót zająć się swoim życiem, jego radościami, podróżami, nauką, neuropolityką, pisarstwem, sztuką. Więc cieszcie się moją tu na razie obecnością" – zadeklarował Marek Migalski. Trzymamy za słowo. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

Wybory i po wyborach. Ale fakt, że następne dopiero za ponad trzy lata, nie oznacza, że polityka zamrze. Wręcz przeciwnie, teraz się dopiero zacznie. Plan maksimum zakłada wymianę premiera i zastąpienie go Naczelnikiem. Oj, chcielibyśmy usłyszeć to wycie przy Czerskiej.

Plan maksimum jednak może nie być realizowany, bo Naczelnik, zwany też Kaczorem Dyktatorem, sam uważa, że nie powinien tego robić, aczkolwiek zobaczy, jak się ułoży sytuacja. Suflerów ma jednak licznych. Czas wyjaśnić dlaczego.

Wyjaśniamy zatem. A przy okazji jest to także wyjaśnienie tego, dlaczego już nie tylko ziobryści, lcz także niektórzy starzy towarzysze walki partyjnej spinują po mieście ploty, że „Morawiecki walczy o życie". Otóż Kaczor Dyktator bardzo poważnie traktuje operację „Sukcesja" oraz bardzo poważnie chciałby zmienić sytuację wewnątrz PiS. Wie jednak, że nie da się pójść do przodu bez obcięcia głów starej gwardii, która nie przepada za Mateuszem. Będzie zatem obcinał. Stara gwardia więc kwiczy. Znaczy część gwardii, bo reszta się przeorientowała na Mateusza.

Tymczasem nadchodzi rekonstrukcja rządu nawet w przypadku braku rekonstrukcji premiera. Wiewiórki mówią, że pierwsza do odstrzału jest minister sportu, zwłaszcza po pewnej telekonferencji z wojewodami, na której nie wiedziała za bardzo, co mówi. Liczba pozostałych odstrzałów zależy od decyzji, ile resortów zostanie połączonych. Wiewiórki ćwierkają, że kilka. W sprawie niektórych interweniuje już Pies, znaczy Hippies, znaczy Ryszard Terlecki, wicemarszałek Sejmu. Na razie wskórał niewiele.

Kolejny powód do zmartwienia starej gwardii partyjnej PiS oraz ziobrystów – częścią operacji „Sukcesja M.M." będzie także operacja „Dalsze zmiany w spółkach Skarbu Państwa". Zmiany, zmiany, zmiany.

No i następna zmiana: wkrótce zamiast „Wolne sądy" Eine Totalopposition będzie łazić ze świeczkami i krzyczeć: „Wolne samorządy", a dokładnie „Wolne wybory" lub może nawet „Wolni wyborcy". Pewna wiewiórka z Nowogrodu opowiedziała nam bowiem o tym, że dość bezhołowia i już więcej żadne samorządy za listy wyborców nie będą odpowiedzialne. Tylko wszystko będzie załatwiane centralnie, jak to bywa w krajach naprawdę europejskich. Pomysł krążył już po szczytach Zjednoczonej Prawicy jakiś czas temu, ale teraz, po szopce z rokoszem opozycyjnych prezydentów miast, którzy nie chcieli w maju wydawać list wyborców, nadchodzi czas wprowadzenia go w życie.

Na dołach Peezelu pojawiają się tymczasem pomysły wymiany zarządu włącznie z Tygryskiem Kosiniakiem-Kamyszem

Tak, dekoncentracja mediów także wraca na tapetę. Zaniepokojonych tym faktem kolegów dziennikarzy i ich zagranicznych nadzorców informujemy: podziękujcie za ten fakt „Der Faktowi".

W kwestii sądów też ma być przyspieszenie. Mało kto zwróci uwagę na słowa Naczelnika Dyktatora w ostatnim wywiadzie przed drugą turą. „Zmiana charakteru sądów". My zwróciliśmy. I zapuściliśmy żurawia. A właściwie wiewiórkę. Wiewiórka opowiada: tak, czas wreszcie na likwidację jednego szczebla sądownictwa. Czyli zrobienie tego, co ZiZou Ziobro zapowiadał od pięciu lat. Przy okazji – wiecie już, dlaczego Rafcio Trzaskowski mówił o rozpoczęciu kadencji od utrupienia Ziobry.

Tuż przed drugą turą prezydencką gruchnęła również plotka, że ma odejść szef wszystkich szefów prokuratury, czyli krajowy, czyli Boguś, czyli Bogdan Święczkowski. Plotka pojawiła się, gdyż ni z tego, ni z owego zwołał zebranie swoich zastępców. Jednak miał im zupełnie co innego do powiedzenia. Ale to ma już być niespodzianka na sierpień.

Na dołach Peezelu pojawiają się tymczasem pomysły wymiany zarządu włącznie z Tygryskiem Kosiniakiem-Kamyszem. Co ciekawe, wcale nie chodzi o kiepski wynik wyborczy. Przyczyną jest upór Tygryska w zapewnianiu, że zieloni bracia nie będą nadal wchodzić w żadne koalicje z PiS. Powiemy tyle – choć oczy wszystkich zwrócone są na Sejm, to powinny być zwrócone na sejmiki. Tam się będzie działo.

U czerwonych braci także porachunki wewnętrzne. Niektórzy mają za złe towarzyszowi Zandbergowi, że swą facjatę marksistowskiego drwala pokazał przy Robercie zwanym Biedronką najwyżej raz czy dwa. Znaczy – nie pomagał. Trochę aktywniejszy był Wielki Przewodniczący Czao-Czarzasty, ale tylko trochę. Cel mieli wspólny: ukatrupić politycznie kandydata Lewicy. Sojusz międzynarodówek w zwalczaniu zbyt tęczowej progresji zakończył się sukcesem. Teraz dogrywka. Dla któregoś z dwójki Zandberg-Czarzasty bój to będzie ostatni, krwawy skończy się trud.

À propos tęczowej progresji. Nie uwierzylibyście, jakie grube homofobiczne żarty fruwają w powietrzu u starych czerwonych towarzyszy, którzy zasiadali jeszcze w KC PZPR lub choć w stowarzyszeniu Ordynacka. Postulaty ruchu LGBT nie są czymś, co znajduje zrozumienie w partii. Wie to każdy, kto bywał u czerwonych na Rozbrat, a nam się zdarzało. Humor nakierowany na – jak to mówią towarzysze – „chłopców miękkich w ruchach" naprawdę kwalifikował to miejsce do oklejenia nalepkami „Strefa wolna od LGBT". Nie ukrywajmy też, że deklaratywne wsparcie dla feministek to też pic na wodę fotomontaż. Stare partyjne pokolenie to nie tylko homofoby, lecz także maczyści i seksiści. ©℗

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl cd6d820ddb

PANNY MŁODE PROTESTUJĄCE

W Rzymie, przed jednym z najsłynniejszych zabytków miasta – fontanną di Trevi – doszło w ubiegłym tygodniu do nietypowego protestu. Przed fontanną stanęły kobiety w ślubnych sukniach. W ten sposób narzeczone wyraziły swój gniew z powodu obostrzeń związanych z koronawirusem, przez które nie mogły zawrzeć małżeństw. We Włoszech na początku ślubów w ogóle zakazano. Wraz ze zmniejszaniem obostrzeń – od połowy maja – można już zostać mężem i żoną, ale uroczystość taka możliwa jest tylko w wąskim gronie. Obecni mogą być jedynie świadkowie ślubu, wszyscy muszą mieć założone maseczki.

Na początku pandemii w Polsce organizacja wesel nie była możliwa. Dopiero od czerwca mogą się one odbywać przy udziale do 150 gości. Organizacja takich imprez obwarowana jest wciąż dodatkowymi warunkami sanitarnymi. Część gości weselnych nadal ma obawy przed przyjściem na imprezę i czasem młodzi ludzie zmuszeni są po raz kolejny przekładać uroczystość. W dodatku – poprzez wymogi sanitarne – niektóre podmioty żądają od nowożeńców ponoszenia dodatkowych kosztów. ***(luz)*** © ℗

FOT. MATTEO NARDONE/PACIFIC PRESS/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

eprasa.pl/cd6d820ddb

FOT. PAWEŁ GROMADA

TO NIE SEKSIZM, TO DZIEŁO!

Scenarzysta Andrzej Saramonowicz postanowił w dość osobliwy sposób zamanifestować swoje poparcie dla Rafała Trzaskowskiego. Zwrócił się z apelem do kobiet, by zagłosowały na polityka PO, ponieważ jest ładny. „Jeżeli czujesz się zagubiona i przytłoczona tymi wszystkimi debatami, nie znasz się na polityce i nie wiesz, na kogo głosować, zrób jak z samochodem – niech wygra ładniejszy" – mema o takiej treści zamieścił na swoim Facebooku. Chociaż feministki dziwnym trafem jakoś nie zagrzmiały, to i tak w sieci posypały się oskarżenia o seksizm. On sam oburzył się, że ludzie nie zrozumieli „konwencji memu". „Mem jest oddzielnym, samoistnym komunikatem. Dziełem. Artystycznym patchworkiem. [...] Mem niejako z definicji wykorzystuje obciachowość, czyniąc z niej nieobciachowy przekaz" – argumentował. Czyli jeśli obrazimy pana Saramonowicza w najbardziej poniżający sposób, ale zrobimy to w formie mema, to też będziemy mogli powiedzieć, że to „dzieło" i „artystyczny patchwork"? Brzmi zachęcająco. Do dzieła zatem!

BIZNES Z PROCENTEM

Aktor Piotr Stramowski i jego życiowa partnerka, też aktorka Kasia Warnke, pochwalili się swoim nowym interesem. Okazuje się, że zainwestowali w wódkę, a ich wspólnikiem został... Janusz Palikot. Tak, tak, ten sam, który to kiedyś miał ambitny plan wejścia w politykę, by odbiurokratyzować państwo, a został zapamiętany jako ten, który wymachiwał sztucznym penisem na konferencji prasowej. „Tadam! Nie ma to jak połączyć przyjemne z pożytecznym. Dziś razem z Kasią zostaliśmy wspólnikami Janusza Palikota, inwestując w akcje Alembik Polska. Od teraz łączy nas nie tylko mile spędzony czas przy wieczornych rozmowach, ale również... wódka kraftowa!" – pochwalił się Stramowski. A Palikot dodał: „Z Kasią i Piotrkiem poznaliśmy się przez wspólnych znajomych. Okazało się, że łączy nas pasja do znakomitych, niepospolitych alkoholi" – wyznał. I bardzo pospolita chęć zarabiania pieniędzy. Na zdrowie!

MISTRZ TAKTU

Blogerka modowa Maffashion, czyli Julia Kuczyńska, wraz ze swoim narzeczonym, aktorem Sebastianem Fabijańskim, spodziewają się dziecka. Blogerka na ostatnim wideo oznajmiła, że nie zamierza komentować swojej ciąży ani nie będzie odpowiadała na pytania o nią. Gdy zaś na ekranie pojawił się Fabijański, fani zaczęli dopytywać, kiedy wreszcie zostanie mężem Julii. Takiej odpowiedzi się jednak nie spodziewali. „Nie, mąż nie, i raczej nigdy nim nie będę" – stwierdził aktor. Po takim tekście to ta cała Maffashion powinna się już postarać, by naprawdę nigdy nim nie został. Ewidentnie się nie nadaje.

REWOLUCYJNA DIETA

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

Anna Lewandowska objawiła światu kolejny przepis, który sprawi, że będziemy slim, fit i w ogóle. To – uwaga – jogurt z miodem i pestkami z dyni! Ania, prezentując swoje fit jadłospisy, podała szczegółowy przepis na to rewolucyjne danie. Zaleca je jeść jako „przekąskę wieczorną". A więc, jedziemy! Składniki to: jogurt kokosowy, miód i pestki z dyni. Sposób przygotowania Ania podaje taki: „Wymieszaj jogurt z pozostałymi składnikami". I voilà, gotowe! W następnym odcinku Ania zaprezentuje nam przepis na parzenie herbaty. Z torebki, żeby nie komplikować sprawy.

GORZEJ NIŻ W HOLLYWOOD

Katarzyna Skrzynecka narzeka bardzo, że pandemia mocno dała jej się we znaki, tak jak całej branży artystyczno-rozrywkowej. Ujawniła nawet, że wystąpiła do ZUS o tzw. postojowe, a do banku o zamrożenie spłaty rat kredytu. Pożaliła się jednak, że to „nie pokrywa nawet połowy naszych stałych opłat". Dlatego w tym roku będzie zmuszona zrezygnować z wakacji. „W tym roku pewnie nie będzie nas stać na żaden wyjazd wakacyjny. Obyśmy mogli latem pracować, żeby wyjść z debetów! Ukochaną Grecję raczej będziemy wspominać, oglądając zdjęcia i gawędząc z greckimi przyjaciółmi na wideoczatach. Takie czasy" – stwierdziła. Odpowiedziała też na pytanie jednej z fanek, jak to możliwe, że zarabiając tak dużo przed pandemią, nie ma żadnych oszczędności. „Polscy aktorzy to nie hollywoodzkie gwiazdy. Nie ten status, nie te pensje, nie ta sława i całe szczęście, bo sławy hollywoodzkiej nigdy nie pragnęłam i nigdy bym nie chciała" – wyznała. Jest tak źle, że od lat pani Skrzynecka siedzi w tym biznesie i jakoś nie w głowie jej zmiana branży. Logiczne. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak my tak słuchamy Rafała i jego kolegów z partii, to właściwie to „500+" nie jest takie złe. Otósh słuchajcie.

Of kors nie popieramy wprowadzenia tego świadczenia, iż to rozdawnictwo pieniędzy na wódkę dla patologii, która płodzi dzieci tylko po to, iżby kupić kolejnego vipa, karton papierosów i pojechać na wakacje nad Bałtykiem.

Jesteśmy natomiast jak najbardziej za utrzymaniem tego programu, iż musimy być wrażliwi, podążać za europejskimi trendami etc.

Podobnie jest z innymi świadczeniami wprowadzonymi przez PiS: w ogóle ich nie popieramy, ale zdecydowanie jesteśmy za tym, iżby je utrzymać.

To są chyba jakieś żarty. Rząd zmienił stawki podatku VAT. I od teraz niższe stawki obowiązują na książki i artykuły dla dzieci, a wyższe na ekskluzywne ośmiorniczki, skorupiaki i inne owoce morza, a także na takie przyprawy jak szafran.

Jest to więc, po podatku od Netflixa, kolejny krok wymierzony przeciwko postępowemu, korporacyjnemu elektoratowi, iż czytanie książek to rozrywka dla Podkarpacia, które z kolei nie jada owoców morza, a szafran widziało tylko w telewizji, oglądając Makłowicza.

A tak w ogóle to nie uważacie, iż określenie „home office" jest z natury nieco opresyjne i zasadniczo nie w porządku wobec osób, które inaczej definiują pojęcie domu?

Tańsza będzie też musztarda, czyli czeka nas więcej grillowania kiełbas i karkówek, a jak od tego dymu i smrodu rozboli nas głowa i będziemy chcieli strzelić sobie drinka, to musimy liczyć się z tym, iż wyższą stawką objęty został lód.

Czeka nas więc picie ciepłych drinków przy droższym Netflixie. Ale za to janusze będą przy taniej musztardzie dyskutować, którą z postaci z taniej „Trylogii" lubią najbardziej.

To chyba jakieś żarty. Rząd zmienił stawki podatku VAT. I od teraz niższe stawki obowiązują na książki i artykuły dla dzieci, a wyższe na ekskluzywne ośmiorniczki, skorupiaki i na przyprawy takie jak szafran

A tak w ogóle to nie uważacie, iż określenie „home office" jest z natury nieco opresyjne i zasadniczo nie w porządku wobec osób, które inaczej definiują pojęcie domu?

Zwróćcie uwagę, iż w polskiej kulturze określenie „dom" łączy się skojarzeniowo z tradycyjnym modelem podkarpackiej rodziny: 2 + 2 + pies + ksiądz.

Co w sytuacji, kiedy osoba realizuje obowiązki służbowe z miejsca zamieszkania, ale nie chce go identyfikować z tak tradycyjnie pojmowanym domem? Czy nie można tego nazwać bardziej neutralnie, iżby nikogo nie urażać?

Mamy na przykład frendów, którzy żyją w komunie na skłocie. Dlaczego oni nie mogą w przestrzeni publicznej usłyszeć zwrotu „skłot office"? Czy to obraża moralność przeciętnego janusza? Żądamy neutralizacji pojęć! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Czego ludzie nie wiedzą

Więc tak: przede wszystkim pani nie zna pana prezydenta.
Jak nie znam, jak znam? To prezydent nasz jest, Andrzej Duda. Znaczy, nie znam osobiście, ale w ogóle to znam.
Niech pani tak wygląda, jakby go pani pierwszy raz na oczy widziała. I ani słowa, że pani jest w PiS.
Ale tu ludzie wiedzą...
Tu to sobie mogą wiedzieć. Przed ekranami nie wiedzą. Tu jest kartka z pytaniem, pani przeczyta.
„Panie prezydencie, jak pan sądzi, czyje interesy realizuje Rafał Trzaskowski dla grupy... Bilden... Binden... Bidlergerb i czemu niemieckie?". Ale ja chciałam prezydenta o co innego...
Chce pani, żeby pan prezydent wygrał?
No, chcę.
To się proszę tego nauczyć i jak zamacham zza kamery do pani, to pani zapyta.
O matko, ale jak ja się nauczę tego „Bildenburg"?
Dobra, nieważne. Pani da tę kartkę, kto inny zapyta. Pani tylko siedzi i wygląda jak... No, jak zwykła Polka, taka z ulicy.
Ale ja specjalnie do fryzjera się na dziś umówiłam. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Historia w Polsce – i to mnie boli – została w dużej mierze zawłaszczona przez polską prawicę i skrajną prawicę"

PROF. JAN GRABOWSKI, *historyk, w rozmowie z „Krytyką Polityczną"*

eprasa.pl cd6d820ddb

Jak zostałem homofobem

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. FABRYKA SŁÓW

Jacek Komuda

Wrogim „smalcem" albo „faszolkiem" zostaje się bardzo szybko. Wystarczy niewłaściwy post, słowo puszczone w sieć albo opowiadanie o pseudosłowiańskich rycerzach ścigających ostatniego światłego Euro..., przepraszam, Taurydyjczyka

Nigdy nie zabierałem głosu w dysputach między zwolennikami LGBT a szeroko rozumianą prawicą, do której ci pierwsi wrzucają jak do worka wszystkich mających poglądy odmienne niż „progresywne". Jednak dzień po dniu bombardowała mnie agresywna ideologia, płynąca z mediów i wypowiedzi osób popierających lewicową wizję świata. Ot, choćby Olga Tokarczuk z jej kolonialnym szaleństwem, Szczepan Twardoch przypominający nam średnio raz w miesiącu, jakim to małym, zapyziałym zaściankiem jest Polska, Jaś Kapela i wielu, wielu innych. Większość z nich zachowuje minimum kultury osobistej, więc poglądy ich szanuję. Jednak od dawna spotykałem się z działalnością znacznie ostrzejszych postaci. Choćby Jacka Dehnela, agresywnego geja, atakującego każdego, kto ośmieli się chociaż pisnąć przeciwko światłym zachodnim dogmatom. Dehnel i jego gach Piotr Tarczyński nie przebierają w słowach, określając ludzi krytykujących LGBT nie tylko homofobami, lecz także „smalcami alfa", „faszolkami", prawicowymi ekstremistami itd. Lektura wypowiedzi i jego książek, takich jak: „Ale z naszymi umarłymi...", uwidacznia też dziwne natręctwa autora – w tym kompleks „husarski"; niczego bowiem bardziej nie nienawidzi niż rekonstruktorów husarii, zwąc ich „hujsarzami". I z dziką nienawiścią opisuje, jak jeżdżą na rowerach, w zbrojach okrytych skórami lisów, znieważa, choć nigdy żaden z mych kolegów nie nazwał przecież Dehnela: „fajfusem francowatej narożnicy" albo „flokiem kołtunowatego baraśnika".

Wychodząc naprzeciw mrocznym wizjom Polski przedstawianym przez środowiska LGBT, postanowiłem

eprasa.pl cd6d820ddb

dla zabawy pokazać, jak naprawdę wyglądałby kraj z ich mrocznych myśli. Napisać opowiadanie prowokację; bo skoro chcą widzieć w większości Polaków ciemny zacofany tłum, nienawidzący obcych, no to dostaną dawną Lendię, krainę mroczną, średniowieczną, pełną okrutnych, ciemnych Lędziców, gnębiących myślących inaczej. Opowiadanie było pastiszem, nie spodziewałem się bowiem, że lewicowo-liberalny mainstream potraktuje dosłownie tekst, gdzie woje i rycerze na koniach ścigają z pochodniami ostatniego światłego geja, wsparci przez bractwa buhurtowe, takie jak Pogończycy z Nowej Gnieździcy czy Czerwono-Czarni z Woldanów, a także przez „ciemnych, wąsatych Jakuszów i Grzysławy z zaścianków".

Opowiadanie „Dalian, będziesz ćwiartowany" zostało od razu przyjęte do „Nowej Fantastyki", która wówczas była jeszcze miesięcznikiem otwartym, prezentującym różne wizje literackie. Nieprawdą jest, że termin publikacji został wybrany specjalnie na okres kampanii wyborczej, gdyż był ustalony jeszcze w marcu i tylko przesunięcie wyborów sprawiło, że tekst ukazał się w gorącym okresie.

Publikacja wywołała burzę w sieci, na którą byłem przygotowany. Zupełnie nie zaskoczyły mnie ataki pary Dehnel-Tarczyński, która poczuła się osobiście dotknięta opowiadaniem. Tarczyński w obszernym streszczeniu nazwał je „turbo lechickim, homofobicznym rzygiem". Dehnel poszedł jeszcze dalej. „»Nowa Fantastyka« opublikowała współczesną wersję opowiadanka ze »Stuermera« albo »Volkischer Beobachter« – grzmiał z dalekiego Berlina – tyle że zamiast dzielnych teutońskich wojów, którzy szlachtują żydowskich siepaczy i uwalniają […] niewinne córy Germanii […], są dzielni lechiccy wojowie, którzy szlachtują zniewieściałych gejowskich siepaczy i uwalniają dzieci Lechii, przeznaczone dla pedofilów z zepsutego imperium". W wypowiedziach obu panów pojawiał się oczywiście typowy dla ich środowiska brak symetrii. Oni mogą bezkarnie obrażać wszystkich dookoła, ale jeśli ktoś dobierze się do nich, to natychmiast zostaje prawicowym ekstremistą wykluczonym z życia społecznego.

Okładka wydania „Nowej Fantastyki" (7/2020), w którym opublikowano opowiadanie „Dalian, będziesz ćwiartowany"

Podobne awantury to codzienność, gdyby nie to, że „Nowa Fantastyka" niespodziewanie ugięła się pod presją, publikując oświadczenie, w którym przeprosiła za wspomniane opowiadanie! Nie moją intencją jest oceniać ten krok, gdyż obaj redaktorzy – Jerzy Rzymowski i Michał Cetnarowski – nie chcieli komentować powodów decyzji. Z prywatnych źródeł wiem, że po prostu ulegli ogromnej presji Internetu, być może nacisk wywierał wydawca, gdyż „Nowa Fantastyka" jest pismem nisko nakładowym. Dość, że złożyli samokrytykę jak za Gomułki; w oświadczeniu redakcja potępiła dyskryminację, zapowiedziała wprowadzenie… cenzury, pisząc: „Odbiór opowiadania wśród czytelników, a szczególnie dyskusja wokół tego tematu na grupie Polska Fantastyka, wiele nas nauczyła i pomogła wyciągnąć wnioski na przyszłość, aby udało nam się uniknąć podobnych zdarzeń i podchodzić do trudnych tematów z większą wrażliwością […]. Naszym celem nie jest proszenie Was, byście zapomnieli nam błąd, jakim była publikacja opowiadania Jacka Komudy […]. My nie zapomnimy – musimy o nim pamiętać, by móc wyciągać wnioski i podobnych błędów nie powielać".

Dopiero teraz burza wybuchła naprawdę. Gdy „Nowa Fantastyka", założona w 1982 r., była swoistym oknem na świat, umożliwiającym publikację wielu autorom walczących z komunizmem, jej legendarny redaktor, śp. Maciej Parowski, znany był z tego, że publikował teksty zarówno swoich autorów, jak i przeciwników, nie ulegając żadnym naciskom. Jego spuścizna została zatem brutalnie podeptana. Na redaktorów spadła lawina wściekłości nie tylko prawicowych trolli, lecz także zwykłych miłośników fantastyki, oburzonych, że lewicowa cenzura wkracza do ulubionego czasopisma. Samokrytyka jak w czasach stalinowskich" – pisali. „Żenująca i żałosna cenzura". „Słowa palą, więc pali

Pisarz, historyk, autor „Hubala" i cyklu „Samozwaniec"

Jacek Komuda to zawodowy pisarz historyczny i jednocześnie historyk z wykształcenia, zafascynowany najtragiczniejszymi zakrętami dziejów Polski i dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Autor 14 powieści historycznych, z których najsławniejsze to cykl „Samozwaniec", opowiadający o polskiej wyprawie na Moskwę na początku XVII w. Napisał też powieść „Hubal", opowiadającą o losach legendarnego zagończyka i dowódcy kawalerii, mjr. Henryka Dobrzańskiego, który we wrześniu 1939 r. nie złożył broni po przegranej wojnie.

Kolejno w cyklu ukazało się „Westerplatte", poświęcone bohaterskiej obronie Wojskowej Składnicy tranzytowej w Gdańsku w pierwszych dniach drugiej wojny światowej. W przygotowaniu jest kolejna książka o wrześniu – „Wizna", która niebawem ukaże się nakładem wydawnictwa Fabryka Słów. Opowiada o walce, którą stoczyli nieliczni i osamotnieni żołnierze kpt. Władysława Raginisa z przeważającymi siłami niemieckiego korpusu pancernego gen. Heinza Guderiana w obronie umocnionych pozycji nad Biebrzą i Narwią.

Jacek Komuda nie stroni od brutalnych, mocnych kart naszych dziejów, woli pisać ku przestrodze niż ku pokrzepieniu serc. Wskrzesza

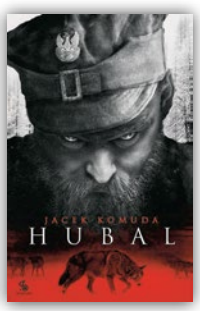

dawne obyczaje, postacie, zapomniane miejsca. Jego bohaterowie to ludzie niepoprawni politycznie, miotani namiętnościami. Autor uczestniczy w prawdziwych rekonstrukcjach historycznych jako XVII-wieczny polski husarz, pancerny i lisowczyk. Na

eprasa.pl cd6d820ddb

się słowa" – oto najciekawsze z masy krytycznych wypowiedzi fanów. Każdy z nich podpisywał się imieniem i nazwiskiem, nie są to więc teksty ogłupiałych trolli.

Wszystkie związane z tą aferą wydarzenia pozwalają zaś odtworzyć krok po kroku mechanizmy, którymi posługuje się środowisko LGBT, aby – nie bójmy się tego słowa – terroryzować przeciwników.

PIERWSZY ATAK

Schemat ataku społecznościowego przeciwko „Nowej Fantastyce" przebiegał w następujący sposób – najpierw odezwali się wszyscy ci identyfikujący się z lewicą, którzy sami parają się pisaniem. Każdy pisarz ma dziesiątki, jeśli nie setki podobnych wrogów. To ci, którzy nie odnieśli sukcesu, tacy, którzy piszą, ale się nie sprzedają. Często są to twórcy obsypani nagrodami, które jednak mają znaczenie symboliczne, bo nie dają przełożenia na powodzenie i popularność u czytelników. Muszę tutaj wyjaśnić, że świat literatury jest dziś światem manipulacji, spotkamy w nim zarówno pisarzy osiągających ogromne nakłady, czytanych i utrzymujących się z pisania, jak i twórców wielokrotnie nagradzanych, ale popularnych w wąskim środowisku. Ci pierwsi oficjalnie nie istnieją, a ci drudzy wynoszeni są pod niebiosa. Co więcej – im bardziej niezależny jest pisarz, tym bardziej może być nieobecny w lewicowych mediach: „Polityce", „Gazecie Wyborczej", „Newsweeku" i innych. Nie muszę chyba dodawać, że twórcy, którzy dostają nagrody, ale nie odnieśli sukcesu u czytelników, zawsze szukają okazji do wbicia szpili konkurentowi, gdy ktoś krytykuje go w sieci.

Kolejną grupę stanowią lewicowe trolle, ludzie bez nazwisk, o profilach niemówiących nic, posługujący się pseudonimami. Czynią oni zadymę dla samej zadymy albo są po prostu opłacani.

I wreszcie oprócz nich mamy ogromne środowisko internetowej lewicy LGBT. W przeciwieństwie do trolli zwykle są to ludzie występujący pod własnymi nazwiskami. Ciekawe, że często ich strony wyglądają, jakby była to specyficzna kategoria ludzi, mających jakieś problemy, jakby nie mogli się odnaleźć w zwykłym świecie, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić i oczywiście nie byli pewni orientacji seksualnej. Charakterystyczną cechą są brzydkie, odręcznie narysowane awatary – rysunki, nieudolne skopiowane z mangi albo komiksów lub po prostu wstawione wprost do sieci.

Imię tych sympatyków LGBT – legion, zakładam, że są wśród nich wszyscy zawiedzeni, nieudacznicy, ludzie, którzy po prostu zwyczajnie błądzą albo toną w niepewności. Lewicowy mainstream jest dla tych – nie bójmy się tego słowa – opuszczonych jak słodka obietnica, bo obiecuje im zrozumienie, wyniesienie, uznanie w zamian za poparcie idei. Pisarz grafoman – przepraszam, że trzymam się literatury, ale jest ona mi najbliższa – zostanie okrzyknięty geniuszem, jeśli napisze dziełko plujące na kościół albo chwalące tęczową ideologię. To nic, że wydawca je odrzuci. Ważne, że zaakceptuje je i będzie chwalić 30 wyznawców tęczy na Facebooku. W dodatku takich jak on jednoczy poczucie walki o wielką, wspólną sprawę. W masie czują się siłą. Są jak chaos – wreszcie wolni, a w grupie podobnych wyznawców mogą wyrazić gniew na wszystko i wszystkich: rodzinę, kolegów, państwo, Kościół, cokolwiek. Zachowania tych społeczności są też sekciarskie czy może raczej plemienne – mają wspólnego wroga, zwykle określanego jako prawicowcy, faszyści, ekstremiści, antysemici. A kiedy zacznie się nagonka, wśród wyznawców wybucha histeria, bo ktoś ośmielił się złamać przyjęte tabu, którym przede wszystkim są rzekome prawa mniejszości seksualnych.

Kolejna kategoria zwolenników LGBT to ludzie sensowni, identyfikujący się powierzchownie z ideologią, którzy nie stali się jeszcze fanatykami. Wbrew temu, co można pomyśleć, jest ich całkiem sporo. Z nimi można prowadzić sensowne dyskusje, zwykle szanują też poglądy przeciwników, jest to bez wątpienia spokojna, aczkolwiek mniej liczna grupa zwolenników lewicowego mainstreamu.

DONOS MUSI BYĆ

Po złamaniu lewicowego tabu i ataku społecznościowym na daną osobę, instytucję lub podmiot gospodarczy, zawsze bardzo szybko pojawia się próba wyniesienia konfliktu na forum międzynarodowe. Czyli mówiąc krótko – donos

Potędze – własnej ukochanej klaczy – przejechał pół Polski, kawałek Ukrainy i jeszcze większy Bieszczadów, razem z Pogórzem Przemyskim.

Nakładem Fabryki Słów ukazały się także takie powieści jak „Banita" – mroczna i zaskakująca historia o miłości

szlachcica rębajły Jacka Dydyńskiego i pięknej kurtyzany, a także „Wilcze gniazdo", „Bohun" poświęcony największej klęsce Rzeczypospolitej w wojnach z Kozakami, „Czarna szabla" i „Diabeł Łańcucki" rozgrywające się na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Z kolei „Galeony wojny" to przedstawicielka literatury marynistycznej ukazująca walki polskiej floty za czasów Zygmunta III Wazy. Starszymi pozycjami autora są: „Villon: Imię Bestii" (2005) i „Villon: Herezjarcha" (2008); zbiory opowiadań o Franciszku Villonie, francuskim poecie wyklętym żyjącym w XV w.

Z opowiadaniem „Dalian, będziesz ćwiartowany", które wywołało ostatnio prawdziwą burzę i furię środowisk LGBT, związane są cykl zbiorów opowiadań „Jaksa" oraz powieść fantasy „Jaksa: Bies idzie za mną", oparte na szeroko rozumianej kulturze Słowian.

Autor jest stałym współpracownikiem naszego tygodnika, gdzie publikuje felietony z cyklu „Rycerze i warchoły", poświęcone sławnym polskim i zagranicznym awanturnikom, a wcześniej o tematyce kulinarnej z serii „Podróże kuchmistrza koronnego".

eprasa.pl cd6d820ddb

do obcych. W przypadku mojego opowiadania dokonała go osoba anonimowa, podpisująca się na Twitterze jako: „thesnout", informująca na co dzień o przypadkach homofobii w Polsce, przedstawiająca się jako „projektant, ilustrator, artystka i organizatorka larpów". Podała, iż „najdłużej wychodzące czasopismo »Nowa Fantastyka« opublikowała wyjątkowo homofobiczne, szkodliwe opowiadanie znanego nacjonalistycznego pisarza [czyli mnie – przyp. J.K.]. Polski fandom jest w ogniu". Drugą donosicielką stała się początkująca pisarka – Karolina Fedyk – autorka jednej książki, która skwapliwie wysłała informację o moim występku do różnych intelektualistów. Między innymi do niejakiego Jeffa VandeerMeera, który zareagował oświadczeniem, że zabrania publikowania w przyszłości swoich tekstów w „Nowej Fantastyce". W ten sposób dowiedziałem się po raz pierwszy o istnieniu owego jegomościa. Zapewne nieznajomość tego miłośnika kotów i żółwi, eliminuje mnie z publicznej dysputy, ale wybaczcie, jestem ciemnogrodzianinem z Lendii Starszej. Fedyk także wycofała swoje teksty z „Nowej Fantastyki", szybko wysłała informację do kolejnych intelektualistek, czyli do Naomi Kritzer i Kelly Robson. Obie w naszym kraju nie są wydawane, nikt ich nie zna, wyraziły jednak najwyższe zaniepokojenie sytuacją w Polsce. To wszystko dało na Facebooku asumpt do stwierdzenia, że intelektualiści z cywilizowanego Zachodu potępiają „Nową Fantastykę". W rzeczywistości to pisarze, o których nikt prawie nie słyszał!

Co łączy donosy „thesnout" i Fedyk? To, o czym wspominałem wcześniej – dziwaczne i brzydkie, nieudolnie narysowane awatary i ilustracje, które być może powiedziałyby coś więcej psychologowi o stanie umysłów obu pań. Tak czy owak ich donosy nie były szkodliwe. Jednocześnie ze współpracy z „Fantastyką" wycofało się kilku krajowych autorów – powiązanych zarówno z prawicą, jak i lewicą – w proteście przeciwko opowiadaniu lub cenzurze w piśmie.

KACIE, PAL SZEŚĆ!

Wszystkie powyższe manipulacje służyć miały tylko jednemu – napiętnowaniu i wykluczeniu autora oraz popierających go ludzi i instytucji. Stygmatyzacji jako: homofoba, faszysty, antysemity po to, aby nikt nie chciał z nim rozmawiać, a przede wszystkim nie wydawał jego prac, unikał jak zadżumionego. Aby zamknięte były przed nim wydawnictwa, telewizja, prasa, serwisy itd. Tylko że lewicowe aktywistki zapomniały, iż naszym własnym odpowiednikiem wykluczonego nie jest przerażona ladacznica oznaczona szkarłatną literą, ale banita lub infamis, który wyzwolony jak Zborowski nie boi się żadnej krytyki, tęczowego boga ani diabła. Dlatego w Polsce mechanizm ten działa w odwrotny sposób – budzi zainteresowanie, dość wspomnieć ostatnią książkę Rafała Ziemkiewicza „Cham niezbuntowany", która po stygmatyzacji autora jako antysemity sprzedała się w rekordowym nakładzie. W moim przypadku działania te trafiły w próżnię, od zawsze bowiem, ze względu na tematykę moich książek, byłem wykluczony z mediów salonowych. Nie mam recenzji w „Polityce" ani „Newsweeku", nie zaprasza mnie do rozmów Katarzyna Janowska, nie mam wywiadów w „Gazecie Wyborczej", nie otrzymuję nagród ani stypendiów. Jak zatem wykluczyć wykluczonego? Dlatego właśnie lewicowy mainstream sięga po inne sposoby manipulacji.

Już za chwilę ataki LGBT realizować będą w Polsce dwa cele. Jeden to zastraszanie opornych podmiotów kulturowych. Drugi – terror finansowy

„NOWA FANTASTYKA" NA KOLANACH

Po awanturze wokół mojego opowiadania spodziewałem się szturmu trolli na mój profil na Facebooku, kubłów wylewanych pomyj i tym podobnych ekscesów. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Głównym celem ataku społecznościowego nie byłem, o dziwo, ja bezpośrednio, ale miesięcznik „Nowa Fantastyka". Zapewne dlatego, że autorowi mającemu trwałą pozycję na rynku niewiele taki atak by zrobił, a może nawet rozreklamowałby go i uczynił z niego męczennika. Natomiast wydawca, stacja TV lub radiowa, portal lub serwis są lepszym celem. Firma w przeciwieństwie do autora łatwo przestraszy się procesu, zablokowania serwerów, a wydawca – uderzenia w reklamodawców i dystrybutorów oraz sieci księgarskie. Prościej zmusić do samokrytyki podmiot gospodarczy, stowarzyszenie, fundację niż pojedynczego człowieka.

W przypadku „Nowej Fantastyki" zrealizowano ten cel w zupełności – prowadzonymi atakami i pedagogiką wstydu zmuszono redakcję do uległości. Oto w kolejnym oświadczeniu, przepraszając za moje opowiadanie, zapowiedziała wydanie „tęczowego" numeru. „Zaproponowaliśmy twórcom ze środowisk queerowych wspólne przygotowanie numeru naszego miesięcznika, w którym znajdą się teksty literackie i publicystyczne pisane przez autorów LGBT+ lub poświęcone tej tematyce. […] Na łamach »Nowej Fantastyki« już i tak regularnie ukazują się takie teksty, jednak najwyraźniej nadszedł moment, żeby zaakcentować to jeszcze mocniej i przeciwstawić się falom hejtu i ignorancji. […] Tęcza jest symbolem przymierza i nadziei" – napisała w oświadczeniu.

Wyraźnie zatem widać, że już za chwilę społecznościowe burze i ataki LGBT realizować będą w Polsce dwa konkretne cele. Pierwszy to zastraszanie opornych podmiotów kulturowych, a więc czasopism, serwisów, prasy, w przyszłości może nawet telewizji, w celu wymuszenia swoistego tęczowego auto da fé i rzucenia wroga na kolana. W rzeczywistości oznacza to całkowite podporządkowanie opornego podmiotu interesom agresywnej ideologii.

Drugi cel jest równie groźny – terror finansowy. Jedna z uczestniczek dyskusji napisała: „Jak zamierzacie naprawić popełnione szkody? Podstawą wydaje się przekazanie zysku z lipcowego numeru na »Miłość nie wyklucza« czy »Kampania Przeciw Homofobii«, ew. ufundowanie szkoleń antydyskryminacyjnych. Zrobicie to?".

Wkrótce zatem należy się spodziewać po prostu wymuszania haraczy. Wszystko w schemacie – najpierw znajduje się kontrowersyjny tekst, wypowiedź albo autora, potem przypuszcza społecznościowy szturm na jego osobę, wydawnictwo lub inny podmiot informacyjny i następnie wyprowadza te informacje do zagranicznych mediów. A potem żąda ukorzenia się, samokrytyki i wypłaty rzekomego odszkodowania na rzecz lewicowych organizacji związanych z LGBT w zamian za zaniechanie ataków. Tak właśnie działać będzie nowoczesny terror sieciowy XXI w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Oby estoński CIT nie okazał się karykaturą estońskiego CIT-u

Jeszcze przed pierwszą turą wyborów prezydenckich premier Mateusz Morawiecki zapowiedział lekki poślizg we wprowadzeniu tzw. estońskiego CIT, czyli rozwiązania podatkowego, które jest proinwestycyjne i dzięki któremu powinniśmy pozbyć się problemu z nadmiernym opodatkowaniem spółek. Moment przypomnienia przedsiębiorcom, że rząd pracuje nad tak pożytecznym rozwiązaniem i wprowadziłby go już od lipca, gdyby nie podstępny COVID-19,

Krzysztof Budka, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

w trakcie kampanii prezydenckiej przez wielu odczytany został jako typowa kiełbasa wyborcza, ale to w zasadzie nieistotne. Bo sam kierunek jest bardzo dobry i pożyteczny. Pod warunkiem że będzie rzeczywiście estońskim CIT-em, a nie jego hybrydą czy karykaturą.

Na czym polega idea estońskiego CIT? Na tym, że moment opodatkowania dochodów osób prawnych powstaje dopiero z faktyczną dystrybucją tego zysku w postaci dywidendy. To oznacza de facto efektywną stawkę 0 proc. podatku CIT do momentu wypłacenia wygenerowanego dochodu przez spółkę. Konsekwentnie, pomnażając środki poprzez ciągłe reinwestycje, bogacą się dzięki temu i przedsiębiorca, i budżet państwa. Wysokość dochodu, który podlega opodatkowaniu w Estonii, ustalana jest na zasadzie kasowej. Co ważne, Estonia rozwiązała też problem podwójnego opodatkowania spółek będących CIT-owcami – dywidenda wypłacana wspólnikowi nie podlega opodatkowaniu podatkiem PIT, gdyż wcześniej została opodatkowana podatkiem CIT.

Tam tak to działa i działa całkiem dobrze. Między innymi właśnie dzięki tego typu rozwiązaniom Estonia nazywana jest „bałtyckim tygrysem". A jak ma to wyglądać u nas?

I tu jest właśnie pies pogrzebany, bo z informacji, które wypływają z Ministerstwa Finansów, można spodziewać się nie do końca takiego rozwiązania, jakie mają w Estonii. Krótko mówiąc, estoński CIT może być estoński tylko z nazwy. Zresztą zwracają na to uwagę ekonomiści, m.in. związany z Konfederacją dr Sławomir Mentzen, który na podatkach zna się naprawdę nieźle, nazywając propozycję resortu finansów „karykaturą estońskiego CIT". Abstrahując od politycznej retoryki, warto na to wszystko zwrócić uwagę, póki prace nad ostatecznym kształtem tego projektu wciąż trwają.

Z wypowiedzi przedstawicieli rządu możemy wywnioskować, że polska wersja estońskiego CIT będzie mocno okrojona. Zwolnienia mają być dostępne tylko dla spółek zakładanych przez osoby fizyczne, o obrotach nieprzekraczających 50 mln zł rocznie, bez udziałów w innych podmiotach i zatrudniających co najmniej trzech pracowników. Ich przychody pasywne (np. z lokat pieniężnych) nie będą mogły przekraczać tych z działalności operacyjnej. Firmy takie będą musiały wykazywać rosnące nakłady inwestycyjne i to o 15 proc. co dwa lata. A jeśli chodzi o termin zapłaty CIT, to ma być on przesunięty z momentu ustalenia dochodu na moment wypłaty zysku przez firmę. Nie wynika jednak z tego, by rozwiązanie to miało polegać na likwidacji „podwójnego" opodatkowania.

Warto też pamiętać, że od 1 stycznia 2021 r. do ustawy o CIT wprowadzona zostanie szczególna klauzula przeciwko unikaniu opodatkowania, która będzie dotyczyć zaliczania do kosztów uzyskania przychodów kosztów hipotetycznych odsetek. Zgodnie z nią z regulacji uprawniającej do potrącenia hipotetycznych kosztów finansowania własnego nie będzie można korzystać, jeśli podatnik albo podmioty z nim powiązane dokonają „nieuzasadnionych ekonomicznie czynności w celu umożliwienia potrącenia tego rodzaju kosztów w rozliczeniu podatku dochodowego". Innymi słowy, jeśli takie zatrzymanie zysków – w przekonaniu fiskusa – będzie służyło wyłącznie obniżeniu wysokości płaconego CIT, to fiskus i tak będzie mógł domagać się podatku. Tym samym możliwość korzystania z tej preferencji stanie się iluzoryczna.

To wszystko każe nam już teraz głośno zapytać: Czy estoński CIT, nad którym pracuje Ministerstwo Finansów, naprawdę będzie estońskim CIT-em? I dodać, że warto kopiować rozwiązania podatkowe z Estonii. Choćby dlatego, że tamtejsze ustawy podatkowe zajmują odpowiednio: PIT – 48 stron, VAT – 43 strony, CIT – dziewięć stron. Podczas gdy w Polsce wygląda to tak: PIT – 334 strony, VAT – 327 stron, CIT – 237 stron.

Autor jest ekspertem Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl.

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl cd6d820ddb

Parada Dumy w Madrycie, 28 czerwca 2020 r. FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Z hiszpańskim historykiem Fernando Pazem
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Macie szczęście żyć w wolności

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Skoro rozmawiam z historykiem, to proszę nam podpowiedzieć – od kiedy historia medycyny notuje niebezpieczne przypadki „homofobii", „LGBT-fobii", przeciwko której walczy się w Hiszpanii?

FERNANDO PAZ: Jak dobrze wiadomo, tzw. homofobia jest po prostu taktyką grup nacisku LGBT. Celem jest stygmatyzowanie wszystkiego, co nie pasuje do fetyszy dominującego dyskursu. Zatem jeśli bronisz naturalnej rodziny, to jesteś homofobiczny, jeśli bronisz tożsamości swojej wspólnoty – to jesteś rasistą, jeśli odrzucasz dyskurs radykalnie feministyczny – to jesteś macho. Oczywiście jeśli bronisz etnicznych i kulturowych korzeni Europy i odmawiasz wykonania projektów globalizmu – to jesteś rasistą i faszystą. Chodzi o patologizowanie wszystkich zachowań, które nie są politycznie poprawne.

Niemożliwe. Przecież my, Polacy, nieustannie jesteśmy upominani przez Zachód, że jesteśmy zapóźnieni i mamy niedemokratyczne nawyki i fobie, z których musimy się podźwignąć. Po prostu, proszę wybaczyć – pan też jest homofobem, o czym świadczy kampania medialna, z którą miał pan do czynienia w marcu ubiegłego roku.

Tak, to jest zabawne, bo choć jednym z progresywnych dogmatów jest relatywizm kulturowy, to jednak grupy nacisku nie akceptują najmniejszej rozbieżności. Relatywizm kulturowy dotyczy wyłącznie innych kultur. Zaczynają od sformułowania, że nie ma absolutnej prawdy, i jednocześnie czynią to stwierdzenie absolutną prawdą. Współczesne dogmaty narzucają też radykalny feminizm, multikulturalizm, progresywizm. Wszystko to jest ideologicznym wypełniaczem globalizmu i, o dziwo, żadna z tych prawd nie jest względna, lecz absolutna. Ci sami ludzie, którzy promują imigrację na masową skalę, to ci, którzy finansują grupy LGBT na całym świecie; oczywiście nie jest to przypadek.

Pomimo medialnego linczu nie przeprosił pan za swoją homofobiczną herezję, że „naturalna rodzina

eprasa.pl cd6d820ddb

to związek kobiety i mężczyzny". Współczesny trybunał inkwizycji obszedł się z panem dość brutalnie.

Mam za co przepraszać, ale jedynie Boga, a nie media, które wydały na mnie wyrok. Coraz częściej służą zniszczeniu mojego kraju i cywilizacji chrześcijańskiej, więc jedyne, czego mogą ode mnie oczekiwać, to pogarda dla ich pracy. W Hiszpanii zarówno zawód dziennikarza, jak i polityka zdaje się przyciągać największych ignorantów i zarozumialców. Ludzi kompletnie bez właściwości, którzy zrobią wszystko dla pieniędzy.

Wie pan, że Francuzi nazywali „świętą gilotyną" swój zbawczy instrument postępu. I pan, i my sprawiamy wiele kłopotu tym, którzy chcą nam zapewnić nowy, wspaniały świat. Może czas, żebyśmy się ukorzyli, bo przez nas cierpią różne mniejszości?

Problem w tym, że to my jesteśmy poszkodowaną mniejszością! I nie zapomnijmy o najważniejszym: oni nie domagają się żadnej równości. To taka strategia doboru słów dopóty, dopóki nie mają władzy. Pierwsza faza tego etapu polega na ogłoszeniu się ofiarą. Nasze społeczeństwa, przynajmniej na Zachodzie, nie chcą już świętych czy bohaterów. Teraz jest zapotrzebowanie na ofiary, a oni są idealnymi ofiarami. Jednak tak naprawdę pragną władzy. A kiedy ją osiągną, możecie być pewni, że nie odpłacą wam tą samą życzliwością.

W którym momencie ta katolicka Hiszpania, która schrystianizowała pół świata, stała się tą, którą znamy z filmów Almodóvara?

To był proces, ale najważniejsze zaczęło się w latach 70. od zmian w edukacji. Hiszpania lat 60. była drugim po Japonii najbardziej rozwiniętym gospodarczo krajem na świecie. Była ósmą potęgą przemysłową. Czymś oczywistym były wielodzietne rodziny, poziom życia był wysoki, wskaźniki samobójstw najniższe w naszej historii, także więzienia w porównaniu z obecnymi czasami stały puste. Spłacenie domu zajmowało najwyżej dekadę, podczas gdy dziś żyjemy i umieramy z kredytami. Hiszpania stała się jednym z rajów turystycznych na świecie, co nieuchronnie doprowadziło do otwarcia.

To prawda, że nie było swobód politycznych, ale prawdą jest też, że nikt za nimi bardzo nie tęsknił, bo Franco był niezwykle popularny, o czym dziś się nie chce pamiętać. Nie chcę rysować sielankowej panoramy, ponieważ były też problemy, ale w porównaniu z tym, co mamy dzisiaj, był to świat godny pozazdroszczenia.

Wszechstronny rozwój przyniósł ogromne zmiany kulturowe w przeważającej części społeczeństwa tak przecież katolickiego. Sam Kościół, przewidując nadchodzące zmiany, odwrócił się od Franco, a nawet częściowo się przeciwko niemu zbuntował, choć jemu zawdzięczał ocalenie w czasie wojny domowej. Katolicka Hiszpania została stopniowo wyparta przez tę nowoczesną, która kupiła bez zastrzeżeń mit postępu znany w Europie od XVIII w.

Czy znalazłby pan jakieś analogie między Polską dziś a Hiszpanią kiedyś?

To trudne, ale zaryzykuję i powiem szokującą rzecz. Komunizm przy całym swoim bestialstwie, którego doświadczyliście i którego nie lekceważę, bo napisałem o tym wystarczająco dużo, nie okazał się jednak destrukcyjny dla waszego ducha narodowego. Nie zdołał was zniewolić ani tknąć waszej duszy. Tymczasem ten hedonistyczny kapitalizm to jeszcze większa pułapka i nie wyjdziecie z niej cało. Wiara i pryncypia waszych ojców też pozostaną wspomnieniem. Przykro mi, tak uważam.

Ale właśnie dlatego toczymy tę naszą wojnę polsko-polską, aby tak się nie stało. W pana ojczyźnie też są dwie Hiszpanie, ta konserwatywna i progresywna. Istnieje szansa na pokojowe rozwiązanie sporu?

Trudno będzie. W Hiszpanii mamy powiedzenie, że nie ma kłótni, gdy jedno jej nie chce. Doświadczenie zaś pokazuje, że to lewica żywi się konfliktami i narzuca swoje dogmaty bezkompromisowo. Rozwiązanie przyjdzie tylko z całkowitą klęską którejś ze stron konfliktu.

Media hiszpańskie alarmują na temat reżimu kaczystowskiego w Polsce, choć ja się czuję wolnym człowiekiem. W moim kraju dzięki podjętym działaniom umarło na COVID-19 jak dotąd 1,5 tys. osób, w pana aż 45 tys. W Polsce nie ma cenzury w mediach, która tak jak w Hiszpanii pracuje, aby „zminimalizować krytyczny klimat wobec działań rządu". Ale to mnie współczują hiszpańskie media. Być może opresja ze strony rządu PiS jest tak uciążliwa, ponieważ płaci za leczenie moich przednich zębów, ale nie chce mi sfinansować aborcji czy zmiany płci, zupełnie odwrotnie niż w Hiszpanii...

Macie szczęście żyć w wolności i zróbcie wszystko, aby zachować ten dar. Przestańcie słuchać tych syrenich śpiewów o postępie, nowoczesności, prawach kolektywu LGBT.

Mieliśmy najgorsze zarządzanie kryzysem spowodowanym przez COVID-19 z punktu widzenia ofiar i ekonomii. Nasze dane przerażają. Największa liczba ofiar na milion mieszkańców. To nie przypadek.

Rząd odmówił zamknięcia granic na początku marca, gdy miał już pełne dane o zagrożeniu, bo uznał, że byłoby to „ksenofobiczne" posunięcie. Dalej było już tylko gorzej. Aby wypełnić zobowiązania wobec agendy feministycznej, zachęcał do udziału w masowych manifestacjach 8 marca, gdzie zakaziły się setki tysięcy ludzi. Wszyscy wtedy mówili: „Zobaczycie, jak 9 marca zaczną podejmować działania". I dokładnie tak było.

Rząd ostrzegany był na długo wcześniej, ale nie chciał słuchać. Nie podjął żadnych działań prewencyjnych w rezydencjach, gdzie zmarło 19 tys. seniorów.

Ponadto perspektywy gospodarcze są zatrważające. Oszczędzę tu liczb, ale jest wiele bankrutujących firm, małych i średnich przedsiębiorstw. Znów stoi przed nami widmo ogromnego bezrobocia nie tylko wśród młodych.

Działania rządu skupiły się na kontrolowaniu przepływu informacji. Wszystkie wpływowe media, w tym prywatne, znajdują się w rękach rządu albo radykalnych ideologów lewicy, nie mówiąc już o telewizji publicznej. Codziennością jest cenzura w sieciach społecznościowych, zamykają konta na Twitterze, Instagramie lub Facebooku pod byle pretekstem. To jest Hiszpania pod panowaniem lewicy.

W świecie, w którym żyjemy, prawda nie ma już znaczenia. Liczy się tylko to, po czyjej stronie się opowiadamy i czy reagujemy z polityczną poprawnością. Pan przetrwał tę gilotynę, choć przylepiono panu na zawsze łatkę faszysty, homofoba, nacjonalisty. Jakaś rada dla nas?

Prawda obiektywna bardzo ich uwiera, dlatego boją się debat. W normalnych warunkach nie wygraliby żadnej debaty. Dlatego ich działanie ogranicza się do wykrycia dysydenta, wskazania go mediom, a one już zajmą się nim tak, aby inni nie odważyli się zabierać już głosu. Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że trzeba porzucić strach przed etykietami typu faszysta, homofob, macho. Jeśli oni tak cię przezywają, to znaczy po prostu, że robisz dobrą robotę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fernando Paz – historyk, autor siedmiu książek i współautor trzech prac zbiorowych. Publicysta, uczestnik debat, reżyser i prowadzący programy w telewizji Intereconomia TV.

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl cd6d820ddb

Kto stoi za Hołownią?

Tomasz Rowiński

Z partią Hołowni przybędzie Polsce jeszcze jedna lewica

Tak jak można się było spodziewać, Szymon Hołownia, który uzyskał dobry wynik w wyborach prezydenckich (13,87 proc.), już zapowiedział kontynuację swojej działalności politycznej. Pierwszym krokiem ma być powołanie stowarzyszenia Polska 2050. Chociaż nie ma ono jeszcze osobowości prawnej, to – jak mówił w piątek 3 lipca Michał Kobosko, pełnomocnik sztabu wyborczego Hołowni – zapewne uzyska ją niedługo. Dwa dni wcześniej Michał Krasoń, doradca Hołowni ds. osób niepełnosprawnych, zapytany, czy dołączy do partii Szymona Hołowni, odparł, że „włączy się w ten ruch". Nie zaprzeczył, że planem jest założenie partii, i potwierdził jej powstanie w krótkim czasie.

Jest więc niemal pewne, że Szymon Hołownia na dłużej zagości na polskiej scenie politycznej. Nie wiemy, czy jego droga będzie bardziej przypominała tę, którą przeszedł Janusz Palikot – od patrona katolicyzującego tygodnika do antyklerykalnego enfant terrible polskiej polityki. Czy może Hołownia podąży śladami – rozmieniającego się na coraz drobniejsze monety – Pawła Kukiza. Warto przyjrzeć się temu, kto znajduje się blisko osoby Szymona Hołowni. Z tego może wyniknąć – przynajmniej w pewnym zakresie – kształt jego przyszłej polityki.

Kampania wyborcza Hołowni okryta była pewnego rodzaju tajemnicą, którą wytworzył sam kandydat. Gdy dziennikarze poszukiwali finansowych, ideowych i politycznych patronów jego wejścia w politykę, dość nerwowo reagował na takie domysły i badania. Można nawet powiedzieć, że z wykpienia zainteresowania swoim zapleczem uczynił jedną z głównych akcji swojej kampanii. Każdy, kto uczestniczy w mediach społecznościowych, spotkał się z hashtagiem i nakładką #ToJaStojęZaHołownią. Umieszczać na swoich profilach miały ją osoby, które wsparły Hołownię finansowo, a zapewne umieszczało ją o wiele więcej osób z grona zwolenników. Drugą stroną tego medalu w czasie kampanii była często powtarzana w mediach narracja o tym, że kampania Szymona Hołowni jest po prostu kampanią robioną przez wolontariuszy. Nie ma powodów, by nie wierzyć w rzeczywiste zaangażowanie wielu ludzi widzących w Hołowni nadzieję na odnowienie polskiej polityki. Podobne zjawisko było widoczne choćby po powstaniu skrajnie lewicowej partii Razem. Chociaż można było w pewnym momencie przeczytać nawet o 5 mln zł, jakie miał zgromadzić sztab Hołowni dzięki wsparciu zwykłych obywateli, wspomniany Michał Kobosko mówił ostatnio o jedynie 2 mln. Jaka była ostatecznie kwota, dowiemy się dopiero, gdy kampania zostanie rozliczona.

BIZNESMENI WSPIERAJĄCY

Jak drażliwy dla samego Hołowni jest temat jego zaplecza, przekonałem się w mediach społecznościowych. Tuż przed oficjalnym ogłoszeniem kandydatury miałem krótką wymianę zdań z przyszłym kandydatem pod facebookowym wpisem redaktora portalu Deon.pl Michała Lewandowskiego. Autor ten sugerował podobieństwo Hołowni do Alexandrii Ocasio-Cortez, demokratycznej deputowanej do Izby Reprezentantów w Stanach Zjednoczonych, która dostała się tam, głosząc konsekwentnie lewicowe poglądy. „Czy Szymon Hołownia będzie polskim odpowiednikiem Alexandrii Ocasio-Cortez, 30-latki, która bez pieniędzy i politycznego zaplecza pobiła w wyborach urzędującego od lat kandydata do Kongresu? Nie wiem, za wcześnie na oceny". Potem nastąpiło swoiste qui pro quo – mój lakoniczny komentarz wyrażający wątpliwość, czy Ocasio-Cortez faktycznie była pozbawiona wsparcia finansowego i zaplecza politycznego, gdy wygrywała w prawyborach ze starym demokratycznym wyjadaczem Josephem Crowleyem, Hołownia – najwyraźniej śledzący wątek – odebrał jako skierowany do siebie. „Panie Tomaszu, tak z ciekawości: skąd mam pieniądze i kto jest moim politycznym zapleczem? Idę po popcorn i słucham" – napisał. Ta godna uwagi pewność siebie sprawiła, że tak wielu wyborców rzeczywiście uznało Hołownię za kandydata godnego zaufania.

Pewne informacje o osobach ze świata biznesu sprzyjających Hołowni jednak zostały opisane. Jak wiadomo, plotki o swoim udziale w polityce zdementowała Dominika Kulczyk. To prawdopodobna informacja, nazwisko Kulczyków bowiem wciąż rozpala umysły opinii publicznej i pojawia się jako plotka przy każdej możliwej okoliczności. – U mnie nie ma żadnego wielkiego biznesu, Leszka Czarneckiego, Jerzego Staraka, jezuitów. Liczę na datki osób fizycznych. Teraz, przed kampanią, finansuję to ze swoich środków – mówił Hołownia jeszcze w grudniu, na samym początku swojej drogi do wyborów. Według Marcina Dobskiego z portalu Wprost.pl wsparcia finansowego i merytorycznego udzielili Hołowni Ryszard Wojtkowski, założyciel i prezes funduszu Resource Partners, w biznesie związany w przeszłości z takimi markami jak Coca-Cola i Gerber. Jednak ciekawsze od kariery w biznesie jest to, że sprawował on funkcję dyrektora gabinetów czterech kolejnych premierów, dwóch jeszcze komunistycznych: Zbigniewa Messne-

eprasa.pl cd6d820ddb

ra i Mieczysława Rakowskiego oraz dwóch solidarnościowych: Tadeusza Mazowieckiego oraz Jana Krzysztofa Bieleckiego. Pisano także, że Wojtkowski wsparł Hołownię kwotą 39 tys. zł.

Innym wspomnianym biznesmenem wspierającym kampanię Szymona Hołowni był Przemysław K., za którym ciągnie się sprawa łapówki dla senatora PiS Stanisława Koguta. K. spędził w związku z tą sprawą w areszcie pół roku i wyszedł dzięki gigantycznej kaucji w wysokości 4 mln zł. Wraz z żoną mieli przelać na konto Hołowni 78 tys. zł. Można to skwitować stwierdzeniem, że takie są uroki crowdfundingu. Może lepiej nie odcinać się od biznesu, który i tak angażuje się politycznie, a dobierać sobie ludzi o bardziej solidnej konduicie?

Wydaje się jednak, że znacznie bardziej interesujące od kwestii finansowych jest to, kto wchodził w skład sztabu wyborczego Szymona Hołowni, kto był odpowiedzialny za postulaty programowe, atmosferę intelektualną oraz rozmaite kontakty. Można się spodziewać, że najważniejsze postacie otoczenia Hołowni przejdą do jego politycznego ugrupowania, gdy ono już powstanie. Jest oczywiste, że polityka nie jest po prostu grą w szachy w dużej skali i nieczęsto zdarza się, byśmy mieli do czynienia z sytuacją, gdy jacyś zakulisowi gracze po prostu przesuwają swoje białe lub czarne pionki, realizując szczegółowo misterny plan. Jednocześnie jednak obecność określonych osób z ich konkretnym kapitałem społecznym oraz ideowym tworzy układ ciążenia, który nie jest w polityce obojętny.

KTO NADA KIERUNEK?

Skład sztabu Hołowni pozwala zorientować się, w którą stronę będzie podążała przyszła partia tego polityka, jeśli nie dojdzie do żadnego gwałtownego zwrotu. Jeśli miałbym zgadywać, dla kogo takie ugrupowanie miałoby być konkurencją, to wskazałbym Koalicję Obywatelską, którą Polska 2050 może chcieć obchodzić z lewej strony lub z prawej wedle tego, co będzie wygodniejsze. Amorficzność wizerunku Hołowni sprawia, że ma on jeszcze wciąż możliwość grania na nucie umiarkowania, szczególnie wobec plemiennej wojny PO-PiS. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że Hołownia ze swoim programem i z ludźmi będzie ciągnął Koalicję Obywatelską coraz bardziej w lewo, wywołując w tej partii odruch rywalizacyjny. W końcu łowi na jej obszarach, a jednocześnie zerka mocno w lewo w sprawach religii czy ładu społecznego. Hołownia może też podszczypywać nową lewicę w klimatach Razem, z którą może zacząć ścigać się w rozmaitych postulatach takich jak wsparcie dla politycznego ruchu homoseksualnego czy ekologii, ale łagodząc retorycznie swój przekaz szczególnie dla ludzi niechętnych skrajnej lewicy z powodów emocjonalnych, wizerunkowych czy środowiskowych. W końcu Hołownia może spróbować grać na zwątpieniu części wyborców PiS, szczególnie tych nieprzekonanych do często bezproduktywnego radykalizmu instytucjonalnego PiS. Uprzedzając nieco wnioski, ideowy profil sztabu wyborczego Szymona Hołowni sytuowałbym w okolicach lewego skrzydła środowisk Unii Wolności. To skojarzenie z liberalno-inteligencką partią nieboszczką nie jest przypadkowe.

Członkowie sztabu Hołowni tworzą konstalację ludzką o określonym profilu ideowym, a jednocześnie niejasnych celach politycznych. Widać wiele powiązań z liberalnymi ośrodkami opiniotwórczymi, a jeszcze więcej z rządami PO

Na czele sztabu stanął Jacek Cichocki. „Chcę, żeby szefem mojego sztabu wyborczego był Jacek Cichocki, człowiek, któremu ufam, znakomity państwowiec. Człowiek, który oddycha Polską i jej głęboko służy" – mówił Hołownia w lutym.

Cichocki był w czasach rządów Donalda Tuska najpierw sekretarzem stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, potem ministrem spraw wewnętrznych, od 2013 r. szefem Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, ministrem-członkiem Rady Ministrów, przewodniczącym Komitetu Stałego Rady Ministrów i przewodniczącym Zespołu ds. Programowania Prac Rządu. Był koordynatorem ds. służb specjalnych w rządzie Ewy Kopacz. Odszedł, biorąc na siebie odpowiedzialność za niedostateczne działanie służb w aferze podsłuchowej. Warto pamiętać, że w latach 90. pracował jako asystent programowy w Fundacji Batorego, jednej z najważniejszych instytucji ideowego wpływu w Polsce. Od początku transformacji ustrojowej fundacja promuje w Polsce idee „społeczeństwa obywatelskiego" i „społeczeństwa otwartego", co praktycznie oznacza intelektualną promocję liberalizmu politycznego, a pośrednio też lewicy, jako głównych sił modernizacyjnych w Polsce. Fundacja przez lata brała udział w tworzeniu bezalternatywnej wizji modelu politycznego dla naszego kraju jako podporządkowanego intelektualnym kryteriom tworzonym nad Sekwaną, Tamizą czy w Brukseli. W łatwo dostępnym sprawozdaniu Fundacji z roku 2004 pierwszy rozdział jest swoistą laudacją dla George'a Sorosa i jego Open Society Fund. Nie znaczy to, że fundacja bezpośrednio wspiera kampanię Szymona Hołowni, ale to, że pojawia się ona w życiorysach kilku członków sztabu, tworzy już pewną jakość.

Cichocki od lat działa też w Warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej, który to klub w ostatnich latach stał się znany głównie z powodu wsparcia – przede wszystkim za sprawą wydanego przez Klub pisma „Kontakt" – dla politycznego ruchu homoseksualnego. W roku 2019 redaktor naczelny tego pisma Ignacy Dudkiewicz na oburzenie społeczne wywołane parodią mszy (celebrowanej przez aktywistę politycznego ruchu homoseksualnego Szymona Niemca w „koncelebrze" z przedstawicielem Kościoła Spaghetti) reagował takimi słowami: „Tego typu wydarzenia są wykorzystywane jako narzędzie dyscyplinowania środowisk LGBT. Uciszania ich. Odwracania uwagi od ich postulatów oraz tworzenia opisanej wcześniej fałszywej symetrii między krzywdzącymi i krzywdzonymi. To wszystko są przejawy potężnej dominacji kulturowej, jaką mają środowiska prawicowe i katolickie nad środowiskami LGBT". Kontekstem tego komentarza powinny być logotypy wszystkich światowych korporacji, które wsparły warszawski przemarsz LGBT, czego katolicki komentator nie zauważył.

eprasa.pl cd6d820ddb

W przeszłości warszawski KIK był kuźnią kadr w dużej mierze Unii Wolności. Z KIK związani byli oczywiście: Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Komorowski, Andrzej Wielowieyski, Henryk Wujec, Bogdan Cywiński i inni. Polityczna formacja warszawskiego KIK była specyficzna, autorytetami bywali tam niewierzący ludzie lewicy, tacy jak Jacek Kuroń czy Józef Lipski. Pamiętajmy, że za sprawą głośnego manifestu Stanisława Stommy o potrzebie katolickiego minimalizmu w polityce katolicka inteligencja – wbrew stanowisku m.in. kard. Stefana Wyszyńskiego – praktycznie porzuciła katolickie postulaty społeczno-polityczne, uznając za uzasadnione do głoszenia tylko te, które nie drażniły komunistów, a potem lewicy laickiej w ruchu opozycyjnym.

Bardzo stanowczo o politycznej formacji katolickiej inteligencji w czasach powojennych pisał w 2013 r. Roman Graczyk, który sam przecież przez lata był aktywnym uczestnikiem liberalnej krytyki Kościoła. „Jak doszło do tego, że z chwilą nastania w Polsce demokracji środowiska [inteligencji katolickiej – przyp. T.R.] właściwie przestały się liczyć w debacie [...] jako nurt autonomiczny i mający swoją oryginalną diagnozę rzeczywistości, nie tylko katolicką kopię diagnozy byłych rewizjonistów, czyli środowiska »Gazety Wyborczej«". Jeśli zatem ktoś miał złudzenia, że Hołownia ma do zaproponowania coś więcej niż konformizm wobec opinii liberalnej i lewicowej, to niech lepiej te złudzenia porzuci.

Z KIK związany jest (był redaktorem naczelnym wydania internetowego pisma „Kontakt") Stanisław Zakroczymski, prawnik i historyk, doradca Hołowni ds. programowych. Z Fundacją Batorego oraz Ośrodkiem Studiów Wschodnich (szefem tam był przez lata Cichocki) współpracowała Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ambasador RP w Rosji w latach 2014–2015, szefowa analiz i strategii w sztabie Hołowni. Z kolei Olga Adamkiewicz, szefowa komunikacji, to były członek Rady Nadzorczej Fundacji WWF Polska, znanej organizacji ekologicznej. Chociaż także Kościół wzywa do porzucenia brutalnej eksploracji przyrody, to w praktyce ten sektor NGO jest od dawna opanowany przez lewicę, a World Wildlife Fund była oskarżana o szkolenie paramilitarnych oddziałów mających działać w służbie ochrony zwierząt. Adamkiewicz miała powiedzieć podczas spotkania rekrutacyjnego do sztabu Hołowni: „Pamiętaj, że ja się w ogóle nie znam na polityce, ale jestem bardzo dobrym marketingowcem". Szefowa wolontariatu Agnieszka Buczyńska związana była z liberalnym Gdańskiem Pawła Adamowicza i zasiadała w Gdańskiej Radzie Pożytku Publicznego oraz Gdańskiej Radzie ds. Seniorów. W lutym postawiono jej zarzuty w związku z organizacją finału WOŚP, podczas którego prezydent Gdańska został śmiertelnie ranny.

PROFIL IDEOWY

Koniecznie trzeba wspomnieć tu po raz kolejny o Michale Kobosce, pełnomocniku kampanii, który w swojej dziennikarskiej karierze był naczelnym lub wydawcą wielu gazet i czasopism, m.in. polskiej edycji „Forbesa", „Wprost", „Newsweeka", „Dziennika Gazety Prawnej". W latach 90. pracował jako dziennikarz w „Gazecie Wyborczej". W swoim biogramie na stronie Szymona Hołowni chwali się ważnymi funkcjami w amerykańskim think tanku Atlantic Council. Nie wspomina jednak o tym, że był też redaktorem naczelnym Project Syndicate, międzynarodowego zrzeszenia prasowego, które finansowo jest wspierane przez Open Society Fund Sorosa czy niemiecki „Die Zeit".

Jako współpracownik Komisji Europejskiej i Fundacji Batorego przedstawia się Jan Szyszko, doradca Szymona Hołowni ds. międzynarodowych. „Uczestnik II Akademii Liderów Komisji Europejskiej, absolwent Kolegium Europejskiego w Natolinie i dublińskiego Trinity College" – czytamy w biogramie eksperta. Maciej Grabowski, doradca ds. środowiska, to były wiceminister finansów z czasów Jacka Vincenta-Rostowskiego, a także minister środowiska w rządzie Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Mateusz Mielczarek, doradca ds. młodego pokolenia, był asystentem rzecznika praw dziecka Marka Michalaka, który w czasach rządów Platformy Obywatelskiej pozostawał bierny wobec trwania dopuszczalności aborcji w Polsce, a zdarzyło mu się także patronować imprezom Kampanii przeciw Homofobii. Milczarek chwali się także tym, że już w wieku 16 lat publikował w „Gazecie Wyborczej" oraz że jest ambasadorem akcji „Żonkile" upamiętniającej powstanie w getcie żydowskim. Ekspertem ds. edukacji w sztabie Hołowni został Przemysław Staroń, znany z tego, że został wybrany w 2018 r. na nauczyciela roku postkomunistycznego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jednocześnie dał się poznać jako aktywista politycznego ruchu homoseksualnego. W jednym z wywiadów sugerował powszechne prześladowanie homoseksualistów w III Rzeszy, co nie jest zgodne z prawdą historyczną. „Gdybym urodził się kilkadziesiąt lat wcześniej, trafiłbym do obozu i został oznakowany różowym trójkątem" – twierdził. Tak jednoznaczny ton w tak niejednoznacznej sprawie wyraźnie pokazuje, że jest on w stanie przyjmować bezkrytycznie narracje ruchu LGBT. Doradca ds. klimatu i energii Krzysztof Bolesta był zaś doradcą ministra środowiska w latach 2013–2015, oczywiście w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz.

Nie chodzi tu o rzucanie bezpośrednich oskarżeń na członków sztabu Szymona Hołowni, każdy z nich jest zapewne wartościowym człowiekiem, profesjonalistą w swojej dziedzinie. Jednocześnie wszyscy oni – ze swoimi kluczowymi doświadczeniami życiowymi, mającymi związek z zaangażowaniem społeczno-politycznym – tworzą konstelację ludzką o określonym profilu ideowym, a jednocześnie niejasnych celach politycznych. Wiele widać powiązań z liberalnymi ośrodkami opiniotwórczymi, a jeszcze więcej z rządami Platformy Obywatelskiej. Do tego dochodzą zastanawiające wydarzenia, takie jak kuriozalna powyborcza debata Hołowni i Trzaskowskiego. Może Trzaskowski wcale nie myślał już wtedy o dalszym trwaniu w Koalicji Obywatelskiej?

Gdy czytają państwo te słowa, już wiedzą, kto będzie prezydentem Polski w latach 2020–2025. Jeśli to Andrzej Duda, to trzeba zapytać o przyszłość dwóch najsilniejszych kandydatów liberalnych, zdecydowanych okcydentalistów i przeciwników suwerenistycznych tendencji reprezentowanych przez PiS. Jeśli wygrał Trzaskowski, co oznacza częściowy polityczny powrót do polityki lat 90., a także rządów Tuska, to trzeba pytać: Czy wciąż świeży ruch Hołowni nie zacznie przejmować liberalnego elektoratu zużytej KO?

Jednak – poważnie pomyślmy – czy można zaufać komuś, kto deklaruje, że nie zna się na polityce? Czy nie jest to idealny materiał do uformowania dla doświadczonych politycznych rozgrywających?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Media mają narodowość

Rafał A. Ziemkiewicz

Największym przegranym zakończonych właśnie wyborów prezydenckich są media. Szczególnie te masowe

To, co przez kilka ostatnich miesięcy pokazywały najbardziej popularne media, to już nie „brand journalism" ani „dziennikarstwo tożsamościowe", tylko czysta polityczna propaganda, uprawiana według odwiecznych wzorów. Co najbardziej znaczące i najbardziej niepokojące, stacje czy portale, które starają się otwartej propagandy nie uprawiać i zachowywać choć pozory dystansu do partii, wyraźnie tracą przez to na popularności.

Takie polityczne zaangażowanie nie jest dla polskich mediów niczym nowym, podobnie jak to, że w ferworze kampanii wyborczej, której zawsze nadawana jest apokaliptyczna ranga walki „o wszystko", mającej „rozstrzygnąć na wiele, wiele lat", puszczają hamulce i zarzucane są pozory (przypomnijmy choćby bezczelne zmyślenie przez TVN „zamachu na Bronisława Komorowskiego" w ostatnich godzinach przed ciszą wyborczą w 2015 r.). Jednak w tej kampanii media po raz pierwszy znalazły się na pierwszej linii frontu – zarówno jako cele ataku, jak i jako jednostki uderzeniowe.

REDAKCJE FRONTOWE

Chronologicznie – zaczęło się od ataku Rafała Trzaskowskiego na TVP i zapowiedzi, że „kiedy zostanie prezydentem" zlikwiduje media państwowe, a zwłaszcza TVP Info, czemu towarzyszyły niedwuznaczne pogróżki pod adresem pracowników tej ostatniej.

Była to oczywiście logiczna konsekwencja wymiany kandydata PO i przekierowania całej kampanii na odzyskanie „żelaznego elektoratu", odebranego Małgorzacie Kidawie-Błońskiej przez Szymona Hołownię i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Nienawiść do TVP jest przecież jedną z głównych emocji, która ten elektorat spaja, zwłaszcza po kampanii propagandowej przypisującej TVP „moralną odpowiedzialność" za śmierć Pawła Adamowicza, i codziennych demonstracjach „opozycji ulicznej" pod jej siedzibą.

Naturalną koleją rzeczy analogiczną rolę obiektu niechęci w obozie prorządowym (niechęci artykułowanej jednak mniej brutalnie, gdyż ten obóz, jako zwycięski, nie podlega tak silnym emocjom) odgrywa TVN. Obie te stacje świadomie zresztą zostały przez swe zarządy

eprasa.pl cd6d820ddb

sformatowane jako strony politycznej wojny i na swój sposób są symetryczne – różnice między nimi wynikają tylko z kierowania się do innych segmentów społeczeństwa i innej oceny skuteczności propagandowych chwytów. Stronnicy PiS nie ukrywają, że misją mediów państwowych jest dzisiaj ich zdaniem nie abstrakcyjna „bezstronność", ale „odkłamanie" mediów wywodzących się jeszcze z rozdania okrągłostołowego przez kontrowanie ich antyrządowej propagandy propagandą antyopozycyjną, stronnicy PiS też nawet nie próbują dowodzić, że TVN jest rzetelna, szermując argumentem (nieprawdziwym i demagogicznym), iż jako telewizja prywatna ma ona prawo być telewizją partyjną, a TVP nie.

Oferta urządzenia przez TVN i kilka innych mediów afiliowanych przy PO debaty prezydenckiej (prawo wyborcze wyznacza jako miejsce takowej TVP, ale oczywiście nie mówi, że debata w mediach publicznych musi być jedyną) była, jak się wydaje, raczej elementem propagandowej gry; skądinąd zresztą wiadomo, że w sztabie PO z góry założono, iż ich kandydat jest do takiej konfrontacji nieprzygotowany. Zasadą jest poprzedzenie ogłoszenia takiej inicjatywy wcześniejszymi uzgodnieniami sztabów wyborczych, TVN tymczasem najpierw ogłosił termin, stawiając prezydenta w upokarzającej sytuacji.

Warto jednak zauważyć, że gdy prezydent w terminie niedoszłej debaty pojawił się w konkurencyjnym, również prywatnym Polsacie, czołowy publicysta „Gazety Wyborczej" Paweł Wroński nie wytrzymał i publicznie pogroził stacji, że gdy zmieni się władza, Polsat będzie musiał „oczyścić się" z pracowników sprzyjających PiS i „długo się starać o odzyskanie wiarygodności". Ten spontaniczny wybuch wściekłości bojowca z Czerskiej najlepiej pokazuje, jakie nastroje panują we frontowych redakcjach i jak niewiele mają już one wspólnego z dawnym rozumieniem dziennikarstwa.

ZOHYDZIĆ PREZYDENTA

Do gry włączył się jednak nowy czynnik. Kiedy była rzecznik PiS, obecnie europosłanka Beata Mazurek, atakując Rafała Trzaskowskiego, użyła sformułowania, że tchórząc przed konfrontacją z rywalem, „uciekł do WSI-24", z namiętną obroną TVN i gniewnym zapewnieniem, że należąca do amerykańskiej Discovery telewizja nie może być określana w taki sposób, wystąpiła amerykańska ambasador Georgette Mosbacher. Nie pierwszy raz postawiła w ten sposób PiS w bardzo niezręcznej sytuacji, tym bardziej niezręcznej, że ważnym wątkiem prezydenckiej kampanii było przecież wsparcie niedwuznacznie udzielone Andrzejowi Dudzie przez Donalda Trumpa. Nie po raz pierwszy wobec, delikatnie mówiąc, niemieszczących się w kodeksie dyplomatycznych zachowań wypowiedzi pani ambasador, promującej interesy amerykańskich firm w Polsce w sposób tak arogancki, jakby była gubernatorem w kolonii, a nie dyplomatą w kraju sojuszniczym, PiS nie zdobył się na stanowczość. Z TVP ani Polskiego Radia nie dowiedzieliśmy się więc o bliskich osobistych związkach między panią ambasador a szefem Discovery. Najwyraźniej wybrano działania zakulisowe, których skutkiem było, zapewne, dość groteskowe oświadczenie pani Mosbacher, że spór o TVN nie wpływa na polsko-amerykańskie stosunki, które są dziś lepsze niż kiedykolwiek.

Nie mogąc odgryźć się Amerykanom, niejako w zastępstwie, PiS „odwinął się" Niemcom. Nie można powiedzieć, żeby bez przyczyny: publikacja należącego do grupy Ringier Axel Springer dziennika „Fakt" oraz jej „follow-upy" w kolejnych dniach były rzeczywiście skandaliczne i w oczywisty sposób obliczone na manipulowanie opinią publiczną. Rzecz nie tylko w nagłośnieniu oskarżeń opozycji o „ułaskawienie pedofila", w których pominięto lub zepchnięto do przypisów najistotniejsze okoliczności, na czele z faktem, że ułaskawiony odbył już karę i decyzja podjęta przez prezydenta na wniosek ofiary dotyczyła tylko skrócenia zakazu zbliżania się. Propagandą i manipulacją emocjonalną był sposób skonstruowania pierwszej strony „Faktu". Zrobiono to tak, aby dla osoby niezorientowanej – a przecież mówimy o, jak to nazywał Raymond Chandler, „gazecie dla ludzi, którzy przy czytaniu poruszają ustami" – to prezydent był tym, który „bił po twarzy" i dotykał intymnych miejsc.

Czy kilka po kolei okładek ewidentnie zohydzających prezydenta, kilka dni przed dniem głosowania, można uznać za „po prostu tabloidowe", utrzymane w konwencji brukowca, który przecież „zasłynął" swego czasu obrzydliwym skomentowaniem samobójstwa syna byłego premiera? Każdy, kto zna stosunki panujące u naszych zachodnich sąsiadów, potwierdzi, że bliska współpraca między szefami tamtejszych koncernów medialnych (cztery firmy kontrolują tam praktycznie cały rynek) jest częścią niemieckiej kultury politycznej i nie uchodzi tam za cenzurę, ale za realizowanie „obywatelskiej odpowiedzialności". Jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby w korporacji takiej jak RASP decyzja o wspomnianych okładkach mogła być podjęta autonomicznie przez polską redakcję – raczej dostała ona sprawę „do wykonu". Zbyt ważne dla Niemiec interesy zależą od tego, kto będzie zasiadał w polskim pałacu prezydenckim.

Potwierdza to kolejny element zaangażowania koncernu w polską kampanię, którym był butny list redaktora naczelnego gazety „Die Welt" (również należącej do RASP) Ulfa Poschardta do polskiego prezydenta, pouczający Andrzeja Dudę, że ma szanować „wolność słowa" i zrównujący jego reakcję na atak „niemieckich mediów" z zamordowaniem słowackiego dziennikarza Jana Kuciaka. Ten list – w przekładzie na polski brzmiący jeszcze bardziej arogancko niż w oryginale – wydaje się wybłagany przez „totalną opozycję", w imię ożywiającej ją od zawsze wiary, że jeśli przekona się Polaków, iż rządy PiS „robią nam obciach przed światem", to zakompleksieni wobec Zachodu Polacy czym prędzej sami te rządy obalą, aby tylko zasłużyć na pochwały i szklane paciorki od „europejczyków".

MIĘSO ARMATNIE

W tej sytuacji ostra retoryka prezydenta Dudy i PiS, piętnująca „niemieckie media", które „chcą narzucić Polsce prezydenta", wydaje się zupełnie uzasadniona, a co najmniej zrozumiała. Pytanie, co z sięgnięcia przez czołowych polityków po taką retorykę wynika?

Wydaje się, że, przede wszystkim, ostateczne odrzucenie wizji, od dawna już zresztą nieaktualnej, mediów jako „czwartej władzy" systemu demokratycznego. W oczywisty sposób (rzecz warta osobnego eseju) straciły one dziś autonomię, są uzależnione od swych korporacyjnych zarządów, a te od polityki państw, z których pochodzą. Rzekoma „czwarta władza" okazuje się tylko „mięsem armatnim" polityki, wykonawcami poleceń. Bez względu na dalszy rozwój sytuacji politycznej złudzenia, jakoby cieszyła się ona autonomią i mogła odgrywać w politycznej walce rolę arbitrów, odbudować się już nie da.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

Z dr. Jarosławem Szarkiem, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej
rozmawia Maciej Pieczyński

Dekomunizacja to nasz obowiązek

MACIEJ PIECZYŃSKI: Na jakim etapie jest – pańskim zdaniem – dekomunizacja? Ile zrobiono, ile jeszcze trzeba zrobić, aby pamięć narodowa o zbrodniach poprzedniego systemu utrwaliła się na dobre?

DR JAROSŁAW SZAREK: Trudno mówić o jakimś etapie. Trwa proces dekomunizacji w przestrzeni publicznej, ale o wiele ważniejsza jest zmiana w obszarze świadomości społecznej, pamięci narodowej, a to proces długotrwały. Niektórzy twierdzą, że wychodzenie z systemu totalitarnego trwa tyle, ile funkcjonował sam system…

To by znaczyło, że czekają nas jeszcze dwie dekady zmagania się z komunistyczną spuścizną. Niezbyt optymistyczna wizja.

Zdaniem niektórych komunizm był tak diabelsko destrukcyjnym systemem, że nigdy się z niego do końca nie wychodzi. Coś w tym jest. Dobrym przykładem jest wypaczona w dużej mierze pamięć o Wojciechu Jaruzelskim, który przez kilkadziesiąt lat swojego życia konsekwentnie realizował interesy sowieckie w Polsce i uczestniczył w tłumieniu wolnościowych aspiracji narodu – od lat 40. XX w., do stanu wojennego i funkcji ostatniego prezydenta PRL. Badania socjologiczne pokazywały, że ludzie, wbrew faktom, wciąż wierzyli w jego zmitologizowany życiorys. Dekomunizacja przestrzeni publicznej niekiedy zderza się z niezrozumieniem, jak ważna dla etosu państwa jest pamięć narodowa, nieskażona propagandą totalitaryzmu. Płacimy za dekady bylejakości i zaniechań, kiedy już w wolnej Polsce władzom nie przeszkadzały nazwy ku czci Świerczewskiego, Zawadzkiego i innych ludzi Stalina.

Z czego to wynika? Komunistyczna propaganda była tak skuteczna czy to słabość społeczeństwa, brak zainteresowania przeszłością?

W PRL ludzie nie byli uczeni prawdy o tych „bohaterach", a w latach 90. historię pokazywano jako niepotrzebny balast. Trudno się dziwić. Zmiany świadomości są rozciągnięte w czasie. Niektórzy broniąc PRL, tak naprawdę bronią własnych życiorysów z czerwonymi legitymacjami.

Nie wszyscy pracowali czy współpracowali z aparatem bezpieczeństwa. Niektórzy po prostu mają sentyment…

Część zwyczajnych Polaków wspomina lata młodości i to, jak sobie radziła z szarością i ograniczeniami PRL. Poza tym dziennikarze, pisarze, naukowcy, którzy popierali ten system po 1989 r., nadal funkcjonowali w mediach, u władzy. Zmiany ustrojowe na przełomie lat 80. i 90. były tak wprowadzane, aby nie tyle wyrzucić komunizm na śmietnik historii, ile go oswoić. To także kosztuje.

Wciąż pojawiają się głosy oburzenia, gdy zrównuje się komunizm z nazizmem. Niepopularna jest teza o zbrodniczości systemu jako takiego. Gdy Naczelny Sąd Administracyjny zablokował dekomunizację ulic w Warszawie, powoływał się na symptomatyczną ekspertyzę historyka. Profesor Piotr Osęka stwierdził w niej, że „za patronów symbolizujących komunizm można uznać wyłącznie osoby zaangażowane w budowę powojennego państwa totalitarnego na kierowniczych stanowiskach".

Poziom merytoryczny tej analizy pozostawiam bez komentarza. Niestety część prawników opiera swoją wiedzę historyczną na podręcznikach autorów z czasów PRL. To jest przede wszystkim kwestia edukacji. Zażenowanie budzi już fakt, że są władze miast, które poszły do sądu, aby przywrócić nazwy: Armii Ludowej czy Oskara Langego. Ludzie (i organizacje), którzy działali przeciw niepodległości Polski, kształtowali system zniewolenia, nie powinni być stawiani za wzór do naśladowania. A taką funkcję pełnią również nazwy ulic.

eprasa.pl cd6d820ddb

Wspomniany spór o dekomunizację ulic miał też kontekst współczesny, polityczny. Ulica Armii Ludowej miała zostać przemianowana na ulicę Lecha Kaczyńskiego. Przeciwnicy tych zmian podnosili argument upartyjnienia. Oczywiście nie da się ukryć, że to właśnie PiS wypisał sobie na sztandarach dekomunizację. Na ile więc opór przeciwko rozliczeniom z PRL jest determinowany niechęcią do partii Kaczyńskiego?

Za ustawą dekomunizacyjną głosowano niemal jednomyślnie. Dzisiaj jednak, niestety, na spór o historię nakładany jest spór partyjny. Tak być nie powinno. A do tego dochodzi destrukcyjna rewolucja kulturowa. Jej postępy widać wyraźnie na Zachodzie. Celem tej rewolucji jest odcięcie korzeni narodowych, odrzucenie tożsamości, pamięci.

IPN istnieje już od 20 lat. Czym może się pochwalić na polu walki o pamięć?

IPN powstał po to, żeby wolność dostępu do tajnych wcześniej archiwów pozostawionych przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa stała się podstawą suwerennej debaty publicznej. I tak jest. To zupełne przeciwieństwo sytuacji np. w Rosji. Dzisiaj u nas te dokumenty są jawne, dostęp do nich jest powszechny. To nasza praca. Kwerendę można przeprowadzać zza biurka, dzięki cyfrowemu archiwum. Ponadto bez IPN nie byłoby poszerzenia świadomości historycznej czy wydobycia z niepamięci całych obszarów przeszłości. Najbardziej znanym z tych obszarów jest niewątpliwie prawdziwa pamięć o wojennym i powojennym podziemiu niepodległościowym. Przywróciliśmy Żołnierzom Wyklętym należne miejsce w świadomości narodowej, także dosłownie, poprzez wydobywanie ich szczątków z takich miejsc jak „Łączka". Znak Polski Walczącej jest symbolem nowych pokoleń Polaków podkreślających szacunek dla pamięci narodowej. W ostatnich latach wiele zrobiliśmy na rzecz pamięci o ofiarach operacji polskiej w ZSRS i innych ofiar totalitaryzmów – sowieckiego i niemieckiego. Warto wspomnieć o akcji „Twarze bezpieki", która pozwala zrozumieć, czym był aparat bezpieczeństwa w PRL. Nikt w takiej skali jak IPN nie przebadał opozycji przedsierpniowej i NSZZ „Solidarność". Dbamy również o pamięć o walce z systemem w latach 80., że wspomnę o takich publikacjach jak „Encyklopedia Solidarności". Setna rocznica odzyskania niepodległości to setki inicjatyw w całej Polsce. Nie zapominamy o historii lokalnej. IPN spopularyzował wiedzę o takich wydarzeniach jak zbrodnia pomorska, obława augustowska czy masowa wywózka górnoślązaków do ZSRS po 1945 r. Dzisiaj budujemy też miejsca pamięci, odnawiamy cmentarze wojenne, groby ofiar totalitaryzmu – także ofiar Holokaustu.

Żołnierze Wyklęci stali się wręcz kodem kultury masowej. Ku ich czci organizowane są biegi, festiwale, patriotyczne marki odzieżowe skupiają się głównie na tym właśnie wątku walki z komunizmem. Antykomunizm w pewnym sensie trafia więc pod strzechy?

Wolność musi być zakorzeniona w mentalności społecznej. Zjawiska, o których pan mówi, są jednak rezultatem długiego procesu przywracania pamięci. Pojęcie „Żołnierze Wyklęci" pojawiło się w połowie lat 90. Wtedy mówiła o nich garstka osób, skupionych wokół Ligi Republikańskiej, Fundacji „Pamiętamy" czy środowiska „Zeszytów Historycznych WiN". Potem temat podjął IPN, instytucjonalnie wspierając badania naukowe na ten temat, organizując związane z nim wydarzenia kulturalne. Młodzi ludzie, którzy utożsamiają się z takimi bohaterami, jak Danuta Siedzikówna „Inka" czy Witold Pilecki, uczą się myślenia w kategoriach dobra wspólnego i obrony wolności. To wspaniałe wzory do naśladowania. Badania socjologiczne pokazują, że oceny pozytywne „Wyklętych" w młodym pokoleniu sięgają 90 proc.

Opinia publiczna wciąż jest podzielona. Jej lewicowa część co rusz przypomina o czarnych kartach z historii podziemia antykomunistycznego. Zresztą nawet prokurator IPN nazwał kiedyś jedną z akcji Romualda „Rajsa" Burego „zbrodnią o znamionach ludobójstwa".

Polska jest krajem demokratycznym. Ludzie, którzy kiedyś budowali system zniewolenia, wciąż starają się kreować negatywny obraz środowisk niepodległościowych. Wykorzystują stare propagandowe kalki z czasów PRL. Prokuratorzy działają na zasadach autonomicznych. IPN pokazuje prawdę o każdym życiorysie. Nasze ustalenia są w książkach. I w nich szukamy prawdy, a nie nowej mitologii. W podziemie powojenne było zaangażowanych ok. 180 tys. osób. Wojna partyzancka często przynosi zdarzenia niejednoznaczne, jest o wiele bardziej skomplikowana niż normalna wojna regularna. Wszystko przedstawiamy bez retuszu.

Trudno jednak te pojedyncze zbrodnie porównywać z systemowymi zbrodniami komunistycznego totalitaryzmu. Może należy dokładniej tłumaczyć tę różnicę, powoli przekonywać opinię publiczną, że wyklęci to bohaterowie, pomimo skaz na pancerzach?

Tak, trzeba edukować. Jednak publicystyczne wywody nie mogą zastępować rzetelnych badań historycznych. Dla nas liczy się prawda. Jeśli ktoś zszedł ze ścieżki wyznaczanej przez wartość poświęcenia na rzecz wolności i niepodległości – to opisujemy to. Takie rzeczy zdarzają się na każdej wojnie. To nie zmienia zasług i bohaterstwa rtm. Pileckiego czy płk. Cieplińskiego, nie może zaburzać pamięci o Fieldorfie „Nilu" i o tysiącach bohaterów walczących z poświęceniem o wolną ojczyznę. Dla wszystkich.

Niedawno parlament uchwalił ustawę o nieprzedawnianiu zbrodni komunistycznych, niebędących zbrodniami wojennymi. „Za" głosowali przedstawiciele obu głównych stron sporu politycznego. Chyba jest jakaś nadzieja dla dekomunizacji ponad podziałami?

Dobrze, że ta ustawa została uchwalona. Trochę jednak późno. Pamiętajmy, że minęło już 30 lat od upadku komunizmu. Za długo trwała batalia o skazanie sprawców mordu w kopalni Wujek. Za długo trwały procesy winnych wprowadzenia stanu wojennego. Przez minione trzy dekady nie było jednoznacznej woli politycznej, aby nareszcie skończyć z przedawnianiem zbrodni komunistycznych. Przypominam ponadto, że dopiero w 2011 r. Sąd Najwyższy orzekł, że stan wojenny był bezprawny! W takiej rzeczywistości żyliśmy…

Co jeszcze można zrobić, żeby dokończyć proces dekomunizacji?

Wbrew pozorom dużo się udało. Setki nazw ulic udało się zmienić – wiele z nich zmieniły same samorządy, korzystając z ustawy. To nie było nagłaśniane, ale zmienia myślenie ludzi. W jednej z miejscowości wciąż w „zapóźnionym" GPS jest ulica PPR, ale kiedy się w nią wjeżdża, widać tabliczki: ul. Handlowa. To są właśnie te drobne kroki budujące normalność wolnego państwa. Jest naszym obowiązkiem cierpliwie tłumaczyć, jak zbrodnicze były oba totalitaryzmy.

Czyli kluczem jest edukacja?

Tak, codzienna i systematyczna. O szacunek dla pamięci narodowej trzeba walczyć w każdym pokoleniu. To nasz obowiązek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Łukasz Zboralski

Narkojazda

Do tej pory o kierowcach pod wpływem narkotyków mówiło się w Polsce niewiele. Brakuje limitów w prawie, procedur policji. Czy to się zmieni po głośnych przypadkach kierowców stołecznych autobusów?

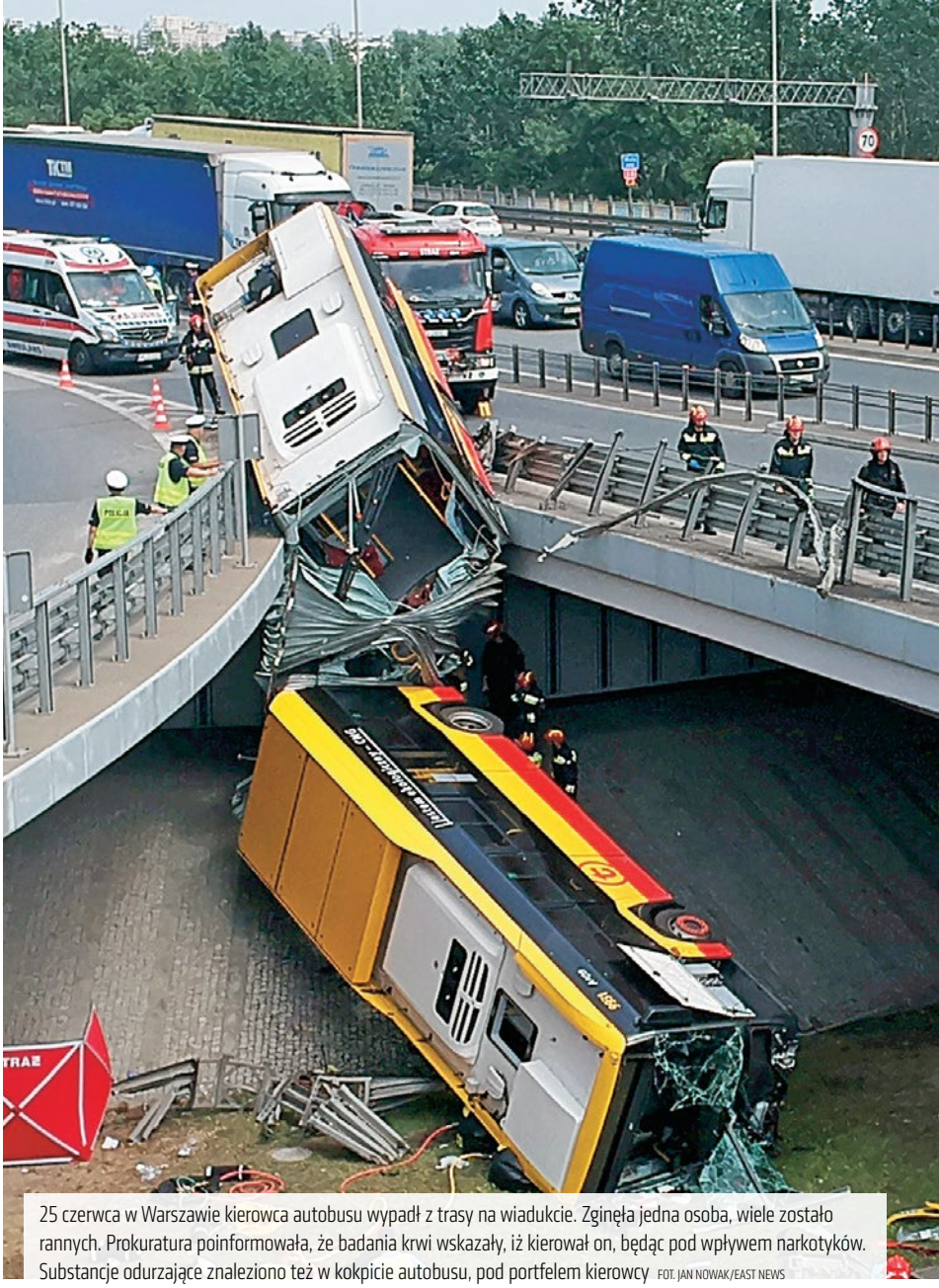

25 czerwca w Warszawie kierowca autobusu wypadł z trasy na wiadukcie. Zginęła jedna osoba, wiele zostało rannych. Prokuratura poinformowała, że badania krwi wskazały, iż kierował on, będąc pod wpływem narkotyków. Substancje odurzające znaleziono też w kokpicie autobusu, pod portfelem kierowcy FOT. JAN NOWAK/EAST NEWS

Pod koniec czerwca kierowca jednego ze stołecznych autobusów miejskich, które obsługuje w Warszawie zewnętrzna firma – Arriva – nagle na wiadukcie mostu Grota-Roweckiego zjechał na bok i trafił w miejsce, gdzie nie zadziałały zabezpieczenia trasy. Autobus spadł na nasyp. Jedna osoba zginęła, a kilkanaście zostało rannych.

Krótko po wypadku podejrzewano, że przyczyną było zasłabnięcie czy zaśnięcie. Szybko jednak okazało się, że we krwi 27-latka wykryto amfetaminę. Jej stężenie było w organizmie tak duże, że organa ścigania postawiły mu zarzut spowodowania katastrofy w ruchu lądowym uwzględniający prowadzenie pojazdu pod wpływem narkotyków. To nie był koniec. W kokpicie rozbitego autobusu policjanci znaleźli – pod portfelem kierowcy – woreczek z narkotykami. Usłyszał więc też zarzut posiadania narkotyków.

Minęło kilkanaście dni i w ubiegłym tygodniu znów w Warszawie kierowca autobusu (także zatrudniany przez firmę Arriva) spowodował wypadek. Tym razem staranował na ulicy trzy samochody. W wyniku tego zderzenia jedna osoba została ranna.

W tej sytuacji policjanci przebadali kierowcę narkotestem. Wskazał obecność narkotyku – poinformowała o tym stołeczna policja. Kierowcy pobrano krew do dokładniejszych badań. A cała sprawa, w środku kampanii, trafiła prosto w polityczną burzę. „Wczoraj »Wiadomości« i państwo PiS chciało zniszczyć młodego człowieka. 25-letniego Huberta! Tak. Chodzi o kierowcę warszawskiego autobusu. Według moich informacji prokuratura ukrywa wynik badań na obecność narkotyków. Testy z krwi nie wykazały obecności narkotyków. Kłamaliście!!!" – pisał w środę na Twitterze poseł PO Cezary Tomczyk. Także posłanka Koalicji Obywatelskiej Kamila Gasiuk-Pihowicz apelowała, by prokuratura „nie grała" tą sprawą, i sugerowała, że według medialnych doniesień kierowca nie był pod wpływem narkotyków.

Niedługo później okazało się jednak coś innego. Prokuratura poinformowała, że kierowca prowadził „po użyciu" narkotyków. Ale i to nie zakończyło rozgorączkowanych sporów. Wielu, niestety także dziennikarzy, nie rozróżnia dwóch poziomów zakazanego stężenia substancji odurzających w organizmie kierowców. Łatwo wytłumaczyć to, posługując się analogią do stężeń alkoholu. Zabronione jest prowadzenie pojazdu „po użyciu" alkoholu (czyli w zakresie od 0,2 do 0,5 promila w organizmie) i traktowane jest to jako popełnienie wykroczenia. Zawartość alkoholu w organizmie powyżej 0,5 promila traktowana jest już jako przestępstwo.

Z tym że w przypadku substancji odurzających polskie prawo nie wyznacza

eprasa.pl cd6d820ddb

takich sztywnych limitów. Polskie sądy nie poradziły też sobie – tak jak w wielu innych sprawach – z wypracowaniem takich limitów poprzez linię orzeczniczą.

STĘŻENIE JAK LOTERIA

Wypracowanie w przepisach sztywnych limitów dla substancji odurzających byłoby trudne – substancji jest wiele i one ewoluują. Najlepszym dowodem była trudność z ustawowym zakazywaniem obrotu „dopalaczami", gdy ich składy ciągle modyfikowano.

Jednak nawet przy powtarzalnych substancjach w polskich sądach oskarżony o taki czyn ze swoim adwokatem grają w rosyjską ruletkę – przy niskich stężeniach obecności narkotyku w organizmie (a przy takich substancjach może się ono utrzymywać długi czas po spożywaniu – niektóre z nich nawet miesiącami) nigdy nie można być pewnym, czy usłyszy się wyrok skazujący za prowadzenie po spożyciu substancji odurzającej, czy zostanie się uniewinnionym.

Zdarzały się nawet wyroki sądów rejonowych skazujące kierowców jedynie na podstawie wskazania policyjnego narkotestu. W 2014 r. w takiej właśnie sprawie (chodziło o marihuanę) interweniował rzecznik praw obywatelskich. Sąd Najwyższy uznał wówczas, że nie można obwinić kierowcy jedynie na podstawie jego przyznania się do palenia marihuany oraz wskazania urządzenia pokazującego obecność narkotyku.

„[…] sąd, rozpoznając sprawę o przestępstwo przeciwko bezpieczeństwu w komunikacji popełnione pod wpływem środka odurzającego, a więc także o przestępstwo z art. 178a § 1 k.k., każdorazowo musi ustalić, czy środek ten miał realny wpływ na sprawność psychomotoryczną kierującego pojazdem w stopniu podobnym jak w sytuacji znajdowania się pod wpływem alkoholu. Zatem w przypadku stwierdzenia tego środka w organizmie kierującego pojazdem mechanicznym konieczne będzie dokonywanie ustaleń dowodowych w zakresie zachowania się osoby badanej w chwili zdarzenia, często połączone z ekspertyzą biegłych" – stwierdził SN (sygn. akt II KK 219/14).

Czy to uprościło sprawy w sądach? Niekoniecznie. Na pewno to lepsze niż skazywanie w ciemno za samą „zawartość". Jednak w realiach sprowadza się to każdorazowo do powoływania biegłego toksykologa. To on ustala, czy zawartość substancji odurzającej miała wpływ na psychomotorykę kierowcy. W zależności od tego, po jakie badania naukowe sięgnie, sąd decyduje o winie lub niewinności.

To niejedyny problem dotyczący kierowania pod wpływem substancji odurzających w Polsce. Drugim jest problem prawny związany z zapobieganiem takim sytuacjom. Przyciśnięta przez warszawski ratusz do ściany firma Arriva (zawieszono obsługiwanie przez nią linii autobusowych, a wisi też nad nią groźba całkowitego rozwiązania umowy) zapowiedziała badanie na obecność narkotyków wszystkich swoich kierowców. Będzie to jednak działanie niezgodne z prawem.

PRZESIEWOWE BADANIA ZAKAZANE

Wszystko przez znowelizowany w 2019 r. przez rządy Zjednoczonej Prawicy Kodeks pracy. Jak wskazał Urząd Ochrony Danych Osobowych, nowy kodeks nie dopuszcza już masowych przesiewowych badań na obecność alkoholu prowadzonych przez pracodawców. Zdaniem UODO jest to dostęp do wiedzy o „stanie zdrowia". Od tej pory jedynie przy uzasadnionym podejrzeniu, że pracownik jest pijany, i za jego zgodą pracodawca może wezwać służby uprawnione do takiej kontroli.

W sprawie narkotestów UODO się nie wypowiadał, więc „Do Rzeczy" poprosiło o taką opinię. Z odpowiedzi jasno wynika, że także planowane przez Arrivę przesiewowe badania narkotestami są niezgodne z prawem. „RODO sprzeciwia się badaniom na obecność alkoholu czy narkotyków w organizmie pracowników. RODO przewiduje bowiem, że krajowe regulacje szczególne mogą dopuszczać przetwarzanie określonych danych i ustalać zasady, na jakich się to odbywa. W polskim porządku prawnym brak jest jednak podstaw prawnych, które dopuszczałyby przeprowadzanie przez pracodawców takich badań u pracowników i jednocześnie gwarantowałyby poszanowanie praw tych osób" – napisał nam Departament Komunikacji Społecznej UODO.

Do tego dochodzi jeszcze brak procedur w Komendzie Głównej Policji. Funkcjonariusze w Polsce po wypadkach rutynowo badają kierowców alkomatami. Ale narkotestami już nie. Testowanie na obecność narkotyków odbywa się „na oko". Czasem wręcz dosłownie – gdy policjant zauważa nadmiernie poszerzone źrenice (efekt działania niektórych substancji). Wszystko zależy więc od policjanta ruchu drogowego i od tego, czy wydaje mu się, że warto sprawcę wypadku przebadać też na obecność narkotyków we krwi.

KARA?

Tajemnicą poliszynela w Polsce jest też ciemna sfera transportu w ogóle. To problem firm, które wożą towary samochodami do 3,5 t, czyli traktowanymi jako osobowe. Ich kierowców nie obowiązuje wówczas ograniczony czas pracy. Na drogach mamy mnóstwo przemęczonych „kamikadze", którzy po kilkunastu godzinach w trasie właściwie prowadzą samochód z taką samą percepcją jak człowiek pijany. Tych sprawców wypadków nie widać w statystykach jako „kierowców zawodowych". Nie wiemy więc o tym oficjalnie prawie nic. Chociaż nie byłoby żadnym problemem, by KGP w swoich danych wskazywała też choćby posiadacza pojazdu (firma czy osoba prywatna).

Jednak nawet przy samochodach ciężarowych z tachografami problem nie jest rozwiązywany dobrze. Wskazało na to w ubiegłym tygodniu stowarzyszenie Transport i Logistyka Polska w piśmie do ministra infrastruktury, prokuratora generalnego, szefa Krajowej Administracji Skarbowej oraz głównego inspektora transportu drogowego. „W naszej opinii obecne sankcje za manipulowanie zapisami tachografów są nieskuteczne zarówno w przypadku kierowców, jak i przedsiębiorców" – wytknęły firmy transportowe, które uważają taką konkurencję na drogach nie tylko za nieuczciwą wobec rzetelnych firm, lecz także zagrażającą życiu i zdrowiu.

No i na koniec – same kary za spowodowanie wypadków przez kierowców, u których w organizmie wykryto narkotyki, też trudno uznać za bardzo surowe. Były mąż Edyty Górniak Dariusz K. właśnie wyszedł na wolność po trzech latach przebywania za kratkami. Za „dobre sprawowanie". W 2017 r. sąd skazał go na sześć lat więzienia za zabicie 62-latki na pasach – wjechał na czerwonym świetle, dużo szybciej, niż powinien zgodnie z ograniczeniem prędkości w tym miejscu, oraz jechał „po użyciu" kokainy (wcześniejsza instancja uznała, że „pod wpływem", ale obrona podważyła opinię biegłego toksykologa).

Tuż przed zamknięciem tego numeru „Do Rzeczy" policja z Rybnika wykryła obecność amfetaminy u kierowcy autobusu, który zjechał na przystanek po drugim kursie dnia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Agnieszka Niewińska

Maseczki skrojone na miarę

Już nie tylko chronią przed wirusem. Muszą pasować do kreacji i nastroju noszącego, odzwierciedlać jego osobowość czy poglądy, a nawet pokazywać status materialny

W maseczce czy bez? Jedni zakrywają usta i nos w przekonaniu, że chronią siebie i osoby wokół. Inni bardziej w obawie przed mandatem. Jak jednak wynika z decyzji Sądu Rejonowego w Kościanie (woj. wielkopolskie), uszczuplenia portfela obawiać się nie musimy. Sąd ten rozpatrzył sprawę mieszkańca gminy Czempiń, który jechał rowerem bez maski w okresie, kiedy wprowadzono obowiązek zakrywania nosa i ust w przestrzeni publicznej. Zatrzymany przez policję nie przyjął mandatu, więc sprawa trafiła do sądu. Ten odmówił wszczęcia postępowania, bo uznał, że nakaz noszenia maseczek został wprowadzony z naruszeniem konstytucji. Rząd bowiem wydał w tej sprawie rozporządzenie, a powinien to zrobić w drodze ustawy.

Czy stanowisko sądu w Kościanie sprawi, że Polacy maseczki odłożą w kąt? Na razie nic na to nie wskazuje. Większość z nas w zamkniętych przestrzeniach stosuje maseczki, a maseczkowa moda rozwija się w najlepsze. Przyłbice z pięciolitrowych baniaków po wodzie, maseczki z budowlanych marketów czy te zrobione z ręcznika papierowego i gumki wzorem prezydenta Andrzeja Dudy to już przeszłość. Teraz akcesoria do zasłaniania nosa i ust to element ubioru. Coraz więcej z nas dobiera je do stroju i okazji.

KOMUNIJNE, ŚLUBNE, GARNITUROWE

W pracowni krawieckiej Jolanty Kubiak w warszawskim Wawrze maseczki mają różne wzory, kolory i kroje. Są takie z kieszonką na filtr oraz dwustronne – damskie, męskie i dziecięce. – Tu mam maseczki męskie, garniturowe – demonstruje nam kolekcję własnego projektu pani Jola. – Z jednej strony są gładkie, z drugiej strony mają delikatny wzór – tłumaczy. Przyznaje, że klienci przebierają we wzorach i chcą wybrać coś, co do nich pasuje. – Starsze panie stronią od młodzieżowych wzorów, za to dla wnuczki wybierają maseczki w kolorze różowym. Mam też wzory, które bardziej spodobają się chłopcom – mówi pani Jola i z koszyczka z dziecięcymi maseczkami wyciąga kolejne egzemplarze: w kratkę, paski czy z pandą. – Nie zdarzyło mi się jeszcze szyć maski z wzorem na specjalne zamówienie, ale klienci, którzy przychodzą, zastanawiają się nad wzorami. Zazwyczaj wybierają jedną maskę na co dzień i drugą pasującą do jakiejś wyjściowej kreacji – opowiada.

W ofercie pracowni są też maseczki na specjalne okazje, takie jak przyjęcie pierwszej komunii św. czy ślub i wesele. Pani Jola zauważyła, że kolekcję ślubnych maseczek wypuściła telewizyjna specjalistka od organizacji ślubów Izabela Janachowska, więc postanowiła zaprojektować własne. – Przy projektowaniu takich maseczek zależało mi na tym, by jak najmniej widoczna była gumka – opowiada krawcowa. Postawiła też na delikatne wzory. Maseczki ozdabiają ornamentowe hafty, koraliki, cyrkonie. Maseczka komunijna dla chłopców ma wszytą złotą tasiemkę. – W głowie mam już kolejny projekt, chcę uszyć maseczkę z woalką – zapowiada. Sezon ślubny w pełni, a wiele komunii zostało przełożonych na jesień, więc maseczki okolicznościowe nie będą długo czekać na swoich nabywców.

– Nigdy nie przypuszczałam, że będę szyć maseczki. Kiedy okazało się, że w związku z pandemią muszę zamknąć pracownię, byłam załamana – opowiada pani Jola. Po wprowadzeniu obowiązku zasłaniania nosa i ust przyszłam do pracowni tylko po to, żeby uszyć maseczki dla siebie i dla rodziny. Nagle rozdzwoniły się telefony od moich klientów z pytaniem, czy nie mam maseczek. Uszyłam dla rodziny, a potem zaczęłam szyć dla

eprasa.pl cd6d820ddb

innych. Do sprzedaży internetowej nie mam szczęścia. Postawiłam na marketing szeptany. Jeden zadowolony klient przyprowadzał następne osoby. O maski pytały nawet okoliczne sklepy – opowiada. W oknie swojej pracowni krawieckiej zawiesiła żółtą maskę-gigant. A że ma lokal przy wylotówce z Warszawy na

Jolanta Kubiak, krawcowa z 15-letnim stażem, w ofercie ma maseczki komunijne, ślubne i garniturowe FOT. AGNIESZKA NIEWIŃSKA

Mińsk Mazowiecki i Lublin, to przejeżdżający autobusami i kierowcy wjeżdżający do stolicy z przedmieść łatwo mogą dostrzec, że jej punkt pomoże w tym, żeby stylowo i stosownie do okoliczności zakryć usta i nos.

„MASECZKI O NIEBO LEPSZE"

Kto chce maską coś zamanifestować, ten bez problemu znajdzie coś dla siebie. Maseczką można zadeklarować przywiązanie do konkretnych wartości. Dom Wydawniczy Rafael w swoim sklepie rafael.pl oferuje „Maseczki o Niebo lepsze", czyli takie z ewangelicznym przesłaniem. Zielona z owieczkami jest opatrzona cytatem z psalmu: „Pan jest moim pasterzem. Nie brak mi niczego". Na błękitnej widnieje napis: „Jest ze mną Anioł Stróż".

Klienci sklepów z odzieżą patriotyczną znajdą chustki i maski z motywem orła czy w barwach narodowych. Nie brakuje masek w sam raz do wieczorowych kreacji i humorystycznych, dzięki którym przemienimy się w klauna, kościotrupa czy Batmana. Na rynku znajdziemy maski dla kociarzy i psiarzy, zwolenników legalizacji marihuany, pacyfistów czy monarchistów. W sprzedaży są i takie, za których pomocą można wyrazić poparcie albo niechęć dla którejś ze stron politycznego sporu. Czasami to tylko partyjne logo, ale są i wersje masek dla mniej kulturalnych – z obelżywymi słowami pod adresem nielubianych ugrupowań.

Maska może też pełnić funkcję ostrzegawczą. „Trzymaj dystans", „Skoro to czytasz, to znaczy, że stoisz za blisko" – to napisy na niektórych oferowanych w sieci maskach.

– Już tak bardzo nie boimy się koronawirusa, nie śledzimy doniesień o kolejnych zachorowaniach tak czujnie, jak jeszcze kilka miesięcy temu. Zmieniło się także nasze podejście do maseczek. Wcześniej służyły nam, przede wszystkim, za ochronę. Dzisiaj są poręcznym narzędziem za pomocą którego możemy zakomunikować coś innym – mówi dr Teresa Sikora, psycholog z Uniwersytetu Śląskiego. Dodaje, że maseczką zasłaniamy twarz czyli część ciała powszechnie uznawaną za ekran naszej osobowości. – Pytanie więc, co chcemy zakomunikować innym zasłaniając twarz. Jedni będą chcieli wyrazić siebie, inni podkreślić konkretne poglądy, albo różnicę w statusie materialnym – wylicza psycholog.

Ten, kto zawsze nosi się markowo, nie musi poprzestawać na zwykłej masce. „Maseczka ochronna Gucci jakość premium" – czytamy w jednej z ofert w serwisie z drobnymi ogłoszeniami. Za jakość premium zapłacić trzeba 150 zł, ale w zestawie są pudełko z logo Gucci i „worek przeciwkurzowy". Maska Louis Vuitton w tym samym serwisie jest nieco droższa – 199 zł. Wątpliwości może budzić oryginalność produktów, bo ceny jak na te marki nie są specjalnie wygórowane. Zwłaszcza jeśli porówna się je z ofertą wełnianej maski Gucci na zimę oferowanej przez luksusowy warszawski dom handlowy Vitkac. Czarna maska z czerwonym logo Gucci to koszt 519 zł.

– Z maskami wydarzyło się to samo co np. z zegarkiem. Jeszcze 20 lat temu pełnił on funkcję użytkową, pokazywał godzinę. Dzisiaj do wskazywania czasu nie jest nam już tak potrzebny. Stał się ozdobą, biżuterią. To samo zjawisko dotyczy okularów. Nie chodzi już o wyszlifowane szkła, dzięki którym lepiej widzimy. Niektórzy noszą przecież tzw. zerówki, których funkcjonalność jest wyłącznie symboliczna. Liczą się modne oprawki, logo konkretnej marki – mówi dr Sikora.

DWA W JEDNYM

Nie brakuje też wygodnych innowacji. Pojawiły się produkty typu dwa w jednym, czyli czapki i kapelusze z wmontowaną przyłbicą. Produkt może okazać się dobrym rozwiązaniem podczas wakacyjnego odpoczynku. Dużo ofert tego rodzaju pojawia się zwłaszcza w działach dziecięcych. Czapki z daszkiem przedstawiające Supermana, księżniczki z „Krainy lodu" czy kotka Hello Kitty z wmontowaną przyłbicą kosztują kilkadziesiąt złotych.

Wieści o bluzie z wszytą w kaptur maseczką projektu Ewy Minge dotarły aż na Wyspy Brytyjskie. „Eva Minge zaprojektowała modną osłonę twarzy" – donosił portal Londynek.net.

W sieci można też zakupić przyłbice z kolorowym nadrukiem. W ofercie są brody, korony, maski superbohaterów. „W tym smutnym czasie zafunduj sobie i bliskim trochę uśmiechu. Bądź królem, miej bujną czuprynę lub wąsy. Dziecko nie chce się zabezpieczać? Teraz już będzie chciało. Nasza maska-przyłbica pomimo rozrywkowego charakteru działa jak normalna przyłbica i zwiększa ochronę" – reklamuje się sprzedawca wesołych przyłbic.

Inwencją wykazała się też siostra zakonna z parafii w Rajszewie. Uszyła maseczkę liturgiczną z wszytym zamkiem. W sieci wyjaśniła, że zamek umożliwia śpiew i przyjęcie komunii bez zdejmowania maseczki. Nagranie obiegło Internet.

– To, jaką transformację przeszły w ostatnich miesiącach używane przez nas maseczki pokazuje, że oswoiliśmy pandemię, a maseczki, które musimy nosić, potrafiliśmy sprytnie wykorzystać. Obyśmy mogli jak najszybciej używać ich jedynie jako gadżetu – komentuje dr Teresa Sikora.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Piotr Gociek

Czarodziej

„Największy kompozytor stulecia? Trochę trudno mi się do tego ustosunkować…" – odpowiedział pewnego razu z uśmiechem na pytanie dziennikarza. Zmarł Ennio Morricone, geniusz muzyki nie tylko filmowej

Dopiero co widzieliśmy go w Polsce. Przyjechał w styczniu 2019 r., w ramach krótkiej trasy koncertowej z okazji 90. urodzin, a Kraków był jednym z pięciu miast świata, które wybrał na miejsce tych niezwykłych występów. Lubił i podziwiał Polskę oraz Polaków, lubił tu przyjeżdżać, ku czci papieża Jana Pawła II napisał specjalną kantatę (gwoli ścisłości jest także autorem mszy na chór, orkiestrę i organy „Missa Papae Francisci").

W Krakowie towarzyszyła mu Czeska Narodowa Orkiestra Symfoniczna, a publiczność w Tauron Arenie tradycyjnie czekała na jego największe filmowe hity (i doczekała się). Sam Ennio Morricone był już myślami w innym miejscu. „Doszedłem do wniosku, że nie chcę już komponować muzyki filmowej. Chcę się skupić na tworzeniu muzyki niezwiązanej z żadnym projektem. Chcę po prostu komponować" – mówił nieco wcześniej w wywiadzie dla portalu NaEkranie.pl.

I tak historia zatoczyła koło. Przecież sam kompozytor wspominał o tym przy rozmaitych okazjach – a ja sięgnę po cytat z manifestu, który napisał przy okazji wykładów o kompozycji dla studentów w Sienie, Bazylei i Fiesole: „Ucząc się za młodu w konserwatorium w Santa Cecilia, nigdy nie śniłem o tym, że cokolwiek będzie mnie łączyło z komponowaniem dla filmu. Miałem wtedy (i dziś mam nadal) inne aspiracje. Chciałem po prostu komponować".

I komponował, a skala jego dorobku – podobnie jak talentu – trudna jest do ogarnięcia. Bo to nie tylko ponad pół tysiąca filmów, lecz także niezliczone piosenki, które śpiewali tak różni artyści jak Mireille Mathieu, Paul Anka, Dalida, Pia Zadora, Pet Shop Boys, Andrea Bocelli, Céline Dion czy raper Coolio. Koncerty fortepianowe. Muzyka symfoniczna. Chorały. Opera.

GIGANT

Jednak to muzyka filmowa uczyniła go nieśmiertelnym. „Pierwszym filmem, jaki w życiu widziałem, był »Pewnego razu na Dzikim Zachodzie«" – wspominał Hans Zimmer, jeden ze współczesnych mistrzów muzyki filmowej. „Usłyszałem muzykę, zobaczyłem towarzyszące jej obrazy i powiedziałem sobie: »Oto, co chcę robić w życiu«". W mediach społecznościowych na wieść o śmierci Morricone żegnali go najwięksi, zwykle nie zapominając o słowie „inspiracja".

Czy tego chciał, czy nie, był Ennio Morricone gigantem sztuki szczególnej, sztuki nieznanej wcześniejszym stuleciom, która narodziła się wraz z narodzinami kina, nowego rodzaju masowej rozrywki. Z pasją walczył o uznanie jej osobności i wyjątkowości, sprzeciwiając się zwłaszcza tym, którzy głosili, że muzyka w filmie powinna przede wszystkim nie przeszkadzać, tak jak idealny zespół przygrywający w knajpie nie przeszkadza klientom. A także tym domagających się, by twórca muzyki filmowej był jedynie ilustratorem lub dostarczycielem chwytliwych kawałków, najlepiej podzielonych na tematy przypisane poszczególnym bohaterom.

Swój punkt widzenia na sztukę wyłożył w znakomitej książce „Composing for the Cinema. The Theory and Praxis of Music in Film", której współautorem był muzykolog Sergio Miceli. Zebrano w niej wykłady na temat komponowania, które Morricone i Miceli wygłosili w latach 1991–2000 w Sienie, Bazylei i Fiesole. Do publikacji trafił też zapis dyskusji między

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. JIM DYSON/REDFERNS/GETTY IMAGES

Ennio

wykładowcami, a także sesje Q&A z udziałem studentów. Dla wszystkich, którzy na poważnie interesują się muzyką Morricone, jest to lektura bezcenna.

Wspomniana książka nie ukazała się w Polsce (mam nadzieję, że się ukaże), mieliśmy za to szczęście poczytać obszerny wywiad rzekę „Moje życie, moja muzyka. Autobiografia" (Mando 2018), zapis rozmów, które z Morricone przeprowadził Alessandro De Rosa. „Bez cienia wątpliwości to najlepsza z powstałych na mój temat książek, najbardziej autentyczna i szczegółowa, najlepiej dopracowana. I najbliższa prawdzie" – deklaruje bezczelnie we wstępie twórca, obdarzony nie tylko talentem, lecz także poczuciem humoru.

„W młodości miałem dwie ambicje: najpierw chciałem zostać lekarzem, a potem szachistą. W każdej z tych dziedzin chciałem być wybitny" – opowiadał Morricone dopytywany o początki kariery. „Ale mój ojciec Mario, zawodowy trębacz, inaczej na to patrzył. Pewnego dnia wsadził mi trąbkę do ręki i powiedział: – Dzięki niej mogłem was wychować i utrzymać naszą rodzinę. Teraz kolej na ciebie". Zatem nie palec Boży, nie dziecięce marzenie, nie objawienie młodzieńcze. „Nazwałbym to bardziej dostosowaniem się do wymogu sytuacji, na którą nie miałem wpływu, niż powołaniem. Miłość do pracy oraz pasja przyszły z czasem i stopniowo, wraz z czynionymi postępami" – melancholijnie zauważa Morricone. Dalej już jakoś poszło. I to jak!

JEDYNY OSCAR

Aż trudno uwierzyć, że pierwszego i jedynego „prawdziwego" Oscara dostał dopiero cztery lata przed śmiercią, za muzykę do „Nienawistnej ósemki" Quentina Tarantino. Owszem, były jeszcze nominacje za „Niebiańskie dni", „Misję", „Nietykalnych", „Bugsy'ego" i „Malenę", ale bądźmy szczerzy, twórca pokroju Morricone powinien mieć całą półkę statuetek Akademii Filmowej, jeśli nie cały pokój. W roku 2007 zdążył już dostać Oscara honorowego za całokształt twórczości, całkiem jakby członkowie Akademii pogodzili się z myślą, że już nie będą mieli okazji do wyróżnienia go w tradycyjny sposób. Na szczęście nie tylko Oscarami mierzy się wielkość. Tę Ennio Morricone wywalczył sobie sam, kompozycjami do tak różnych przedsięwzięć jak filmy Sergia Leone (od „Za garść dolarów", przez „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie", do „Dawno temu w Ameryce"), filmy Giuseppe Tornatore, braci Tavianich, Bernarda Bertolucciego, Piera Paolo Pasoliniego, Titno Brassa. Zanim zaczął pracować dla Hollywood, zdążył zostać żywą legendą kina włoskiego.

Żaden gatunek filmowy nie był dla niego podrzędny, pisał do horrorów Dario Argento i Johna Carpentera, pisywał do komedii, dramatów, do telewizji, radia, reklam. Wróćmy do jego wyznania o tym, jak to „miłość do pracy oraz pasja przyszły z czasem i stopniowo, wraz z czynionymi postępami". Wielkie dzieło życia Ennio Morricone uczy nas tego, że sam geniusz jest niczym, jeśli nie wspiera go tytaniczna praca, że prócz pracy liczą się także wytrwałość i lojalność, gdy zawierał przyjaźnie filmowe, filmowe kolaboracje z twórcami, w których dostrzegał coś niezwykłego, zwykle okazywało się, że to przyjaźnie na całe życie. Już ogłosiwszy, że przestaje pisać dla filmu, Morricone zastrzegał jednak, iż kiedy tylko Giuseppe Tornatore skończy nowy film, natychmiast będzie mógł liczyć na muzykę mistrza. Lektura autobiografii Morricone daje nam poczucie obcowania z człowiekiem mądrym, niezmiernie przenikliwym, obdarzonym licznymi talentami, człowiekiem dobrym.

„Wychowany w religii katolickiej […] dziś uważam się za niepraktykującego wierzącego" – mówił Alessandrowi De Rosie. „Wierzę, że istnieje coś, czego nie potrafimy objąć zmysłami, choć z drugiej strony, mam sporo wątpliwości co do życia po śmierci i zaświatów. Kiedy się nad tym zastanawiam, wszystkie moje wierzenia rozmywają się we mgle. Czy będziemy duszami, które dostąpią łaski życia w stanie błogosławionym? Czy też prochem jesteś i w proch się obrócisz?".

Wierzył jednak w potęgę muzyki, w muzykę mistyczną, w muzykę absolutną, zakochany był w chorałach gregoriańskich, w tradycyjnej muzyce sakralnej. Pozwolę sobie na jeszcze jeden cytat z jego „Autobiografii": „Myślę, że dla wszystkich osób interesujących się kulturą Zachodu muzyka religijna pozostaje w centralnym punkcie. Długo ubolewałem nad tym, że Kościół katolicki po Soborze Watykańskim II zrezygnował ze swej tysiącletniej tradycji muzycznej i zezwolił na wykorzystywanie podczas nabożeństw współczesnych utworów wątpliwej jakości. Problem w tym, że muzyka, którą słyszymy dzisiaj w kościołach, jest najzwyczajniej w świecie brzydka, w przeciwieństwie do większości utworów, które przetrwały kolejne stulecia".

Muzyka Ennio Morricone z jednej strony oderwała się od jego filmów, bo nawet ci, którzy nie pamiętają już, który temat pochodzi z jakiego obrazu albo nawet nigdy nie widzieli wielu produkcji, mają w głowie cudowne dźwięki, nucą ulubione kawałki „mistrza melodii". Z drugiej strony jego najlepsze dokonania to kompozycje, które nie ilustrują materii dzieła, lecz wrastają w nią, tworząc wraz z pozostałymi elementami niezwykły gobelin. Odszedł 6 lipca Roku Pańskiego 2020, w wielu 91 lat. „Potrafił film przeciętny zamienić w film wart obejrzenia, film dobry w dzieło sztuki, a film wielki – w legendę" – takimi słowami pożegnał go reżyser Edward Wright. Jakże się z nimi nie zgodzić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Natalie Wood z córką Natashą

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kobieta za burtą

Wiesław Chełminiak

Zagrała w 56 filmach, które powoli, lecz nieuchronnie popadają w zapomnienie. Natalie Wood zostanie zapamiętana ze stylu, w jakim żyła, z licznych plotek i ze skandali

Jej trumnę nieśli Frank Sinatra, Fred Astaire, Elia Kazan, Gregory Peck, David Niven, Rock Hudson i Laurence Olivier. Ameryka pogrążyła się w żałobie. Natalie na oczach milionów zamieniła się w podlotka, a potem dojrzałą, świadomą swej urody oraz inteligencji kobietę.

W jej filmografii są produkcje nietuzinkowe: dramaty „Wiosenna bujność traw" i „Buntownik bez powodu", western „Poszukiwacze", musical „West Side Story". Zdobyła trzy nominacje do Oscarów. Byłoby ich więcej, gdyby zamiast grymasić przyjęła główną rolę żeńską w „Bonnie i Clyde" i zgodziła się na formalność w postaci zdjęć próbnych do „Wielkiego Gatsby'ego".

CZAS SPADAJĄCYCH GWIAZD

Dokument „Natalie Wood: pociecha w tym, co było", który ujrzał światło dzienne na początku maja, wyreżyserował Laurent Bouzereau, Francuz od lat zadomowiony w Stanach Zjednoczonych, mający na koncie wiele produkcji o historii i ludziach kina, emitowanych przez Netflix oraz HBO. Sprężyną projektu wydaje się jednak Natasha Gregson-Wagner. Opowiada o rodzicielce, nie wstydząc się łez spływających po policzkach. Osobiście przepytuje bliskich, jej obecność czuje się nawet wtedy, gdy jest poza kadrem. Cel ma dwojaki: chce oddać hołd matce i oczyścić ojczyma z powracającego jak bumerang zarzutu, że przyczynił się do jej śmierci.

W przyszłym roku minie 40 lat od chwili, gdy Wood znalazła się poza burtą jachtu „Splendour". Taki był finał sentymentalnej podróży na wyspę Catalina u wybrzeży Kalifornii. Od czasu, gdy wspólnie z Robertem Wagnerem spędzili pod tamtejszymi palmami miesiąc miodowy, stała się ona ulubionym celem ich weekendowych wypadów, zwykle w większym towarzystwie.

Tym razem pogoda była podła, nastroje wycieczkowiczów zaś jeszcze gorsze. R.J. (tak nazywali go przyjaciele) miał żal do małżonki, że zaprosiła na jacht partnera z kręconego właśnie filmu „Burza mózgów". Christopher Walken, młody i pewny siebie, działał na niego jak płachta na byka. Czy aktorka, zniesmaczona kłótnią, rzeczywiście próbowała odpłynąć na pontonie ratunkowym? A może tylko chciała poprawić cumę, która uderzając o burtę, hałasowała, nie dając jej spać?

Sekcja zwłok wykazała, że Wood, wpadając do wody, nie była trzeźwa. We krwi odkryto ślady środków nasennych (uzależniła się od nich jeszcze jako nastolatka), na ciele zaś siniaki i zadrapania. Wagner twierdził, jakoby zniknięcie żony zauważył dopiero dwie godziny po fakcie. Śledztwo szybko zamknięto, uznając, że doszło do nieszczęśliwego wypadku. Wątpliwości pozostały. Ameryka przejęła się tą sprawą bardziej niż wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce. Natasha miała wtedy 11 lat, jej przyrodnia siostra Courtney zaledwie cztery.

ŻYCIE NA ŚWIECZNIKU

Natalie Wood naprawdę nazywała się Zacharenko. Rodzice, architekt i balerina, wyemigrowali z sowieckiej Rosji. Opowieści, że byli blisko carskiej familii, włóżmy między bajki. W USA powiększyli grono bezrobotnych, na szczęście najstarsza córka wpadła w oko hollywoodzkim bossom i już jako dziewięciolatka mogła – pod zmienionym nazwiskiem – utrzymywać rodzinę. Prawosławiu pozostała wierna do końca życia, ślub wzięła w Cerkwi.

Drogę od gwiazdy dziecięcych filmów do aktorki z prawdziwego zdarzenia pokonała na skróty. Bardziej asertywna od Garland, nie posłuchała mamy, pragnącej, by Natalie jak najdłużej grywała grzeczną dziewczynkę. Szóstym zmysłem wyczuła, że nadchodzi epoka młodzieżowego buntu, z którym się identyfikowała, choćby z racji wieku i temperamentu.

Filigranowa (157 cm wzrostu) Wood, obejrzawszy ekranizację „Tramwaju zwanego pożądaniem", za swój wzór uznała Vivien Leigh, aktorkę dramatyczną. To, że system gwiazd kreowanych przez wielkie wytwórnie zaczął się sypać, dodało jej skrzydeł. Stała się jedną z twarzy nowej epoki w dziejach amerykańskiej fabryki snów. Mia Farrow i Robert Redford prześcigają się w zapewnieniach, że sława jej nie zepsuła, w branży zaś szanowano ją za uczynność i profesjonalizm.

Natalie, przedwcześnie dojrzała, od dziecka obracała się w towarzystwie dorosłych. Życie upływało jej w blasku fleszy. Zgodnie z oczekiwaniami publiczno-

eprasa.pl cd6d820ddb

ści wyszła za przystojniaka z uśmiechem przyklejonym do twarzy i widokami na wielką filmową karierę (która się jednak nie ziściła). R.J. źle znosił sławę połowicy i presję sukcesu. Ich związek szybko przeszedł do historii.

Młodość musi się wyszumieć, ale Wood rzuciła się w wir romansów z intensywnością, która zadziwiła nawet cyników z Hollywood. Warren Beatty, Frank Sinatra, Michael Caine, Dennis Hopper i Steve McQueen – to tylko najsławniejsi z jej kochanków. Przełomową rolę w „Buntowniku bez powodu" Natalie wywalczyła sobie w łóżku reżysera Nicholasa Raya. Miała wtedy 16 lat.

Wagner też nie próżnował. W autobiografii chwalił się, że sypiał z Marilyn Monroe, Elizabeth Taylor, Joan Crawford i Joan Collins. W końcu, syty wrażeń, postanowił wrócić do pierwszej żony i został przyjęty. Ona, uznając, że pracę trzeba oddzielać od życia prywatnego, skoncentrowała się na wychowaniu córek. Prowadzili dom otwarty, w wywiadach zapewniali, że są idealną parą i rozumieją się bez słów.

Bóg jeden wie, jak potoczyłoby się życie Wood, gdyby nie utonęła w oceanie. Weszła już w wiek niebezpieczny dla aktorki filmowej. Na wielkim ekranie pojawiała się coraz rzadziej (w ciągu 15 lat tylko cztery razy) i nie były to przeboje. Idąc za radą agenta, próbowała zmienić swój wizerunek na bardziej seksowny. Szukała nowych możliwości. Za występ w telewizyjnej wersji „Stąd do wieczności" nagrodzono ją Złotym Globem. Po raz pierwszy w życiu zamierzała wystąpić w teatrze. Ostatni film w jej karierze, „Burza mózgów", był technothrillerem, na owe czasy nowatorskim. Straszył konsekwencjami połączenia ludzkiego mózgu z komputerem.

ZOSTAŁO W RODZINIE

Diana Rigg, która urodziła się tego samego dnia co Natalie Wood, jest nadal czynną aktorką. W serialu „Gra o tron" bez trudu zakasowała młodsze konkurentki. W dokumencie firmowanym przez Laurenta Bouzereau o zawodowych osiągnięciach bohaterki mówi się zdawkowo. Czyżby Natasha i Courtney doszły do wniosku, że dawne kino dzisiaj już mało kogo wzrusza, lecz o gwieździe „West Side Story" warto pamiętać, gdyż była dobrą matką i żoną?

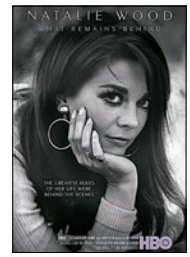

REŻ. LAURENT BOUZEREAU „NATALIE WOOD: POCIECHA W TYM, CO BYŁO" USA 2020, HBO GO

Jak się zdaje, mamy do czynienia z kolejną odsłoną sporu, który podzielił bliskich tragicznie zmarłej aktorki. R.J. nigdy nie był pupilem Zacharenków. Młodsza siostra Natalii, Lana, wprost nazwała go mordercą i nie przepuszcza żadnej okazji, by wbić szwagrowi szpilę. Twierdzi na przykład, że powodem fiaska pierwszego małżeństwa Wagnera był jego biseksualizm. Przyłapawszy ukochanego na karesach z angielskim lokajem, gwiazda wpadła ponoć w rozstrój nerwowy, przedawkowała środki nasenne i omal nie umarła.

Na rewelacjach Lany oparte są telewizyjny film „Tajemnica Natalie Wood" z 2004 r. i biografia aktorki pióra Suzanne Finstad (nowe, rozszerzone wydanie ukazało się kilka lat temu). R.J. po śmierci żony długo nie mógł się pozbierać, lecz wsparty przez córki przystąpił do kontrataku. W tej wersji historii czarnym charakterem jest Maria – rosyjska matka gwiazdy – osóbka apodyktyczna i zdziwaczała, która nie potrafiła się odnaleźć w Ameryce.

Zapewnienia, że śmierć Wood spowodowała konsolidację rodziny, nie brzmią wiarygodnie w kontekście informacji, że Natasha przez 20 lat była pod stałym nadzorem psychologa, a Courtney do dziś walczy z uzależnieniem od alkoholu i narkotyków. Natalie, fanka psychoterapii, wpisywała do swoich kontraktów obowiązek opłacania seansów przez wytwórnię. Rola w „Bonnie i Clyde" przeszła jej koło nosa, bo nie potrafiła się rozstać z terapeutą (film był kręcony na zabitej deskami prowincji).

Przykro patrzeć, jak sędziwy R.J. idzie w zaparte. Owszem, feralnej nocy „był na lekkim haju", ze złości rozbił butelkę po wypitym winie (czytaj: zdemolował całą kabinę), krzyczał też na Walkena, którego dzisiaj uważa zresztą za porządnego faceta i dżentelmena. Z żoną na pewno się nie kłócił. Walken w 1983 r. oświadczył, że prawdę o tym, co się stało, zna tylko nieboszczka, i odtąd milczy jak zaklęty. Przyjaciel rodziny śpieszy zaś z zapewnieniem, że w scenie erotycznej z „Burzy mózgów" między Natalie i Christopherem „nie było chemii".

Jak tak dalej pójdzie, z 43 lat, które spędziła wśród żywych najstarsza córka Marii Zacharenko, pozostanie tylko garść skandali, plotek i domniemań. Pociecha w tym, co było.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Nowa książka Wojciecha Wencla **Wierzyński. Sens ponad klęską**

JUŻ DOSTĘPNA!

INSTYTUT LITERATURY

W internetowej księgarni Instytutu Literatury znajdziesz ponad 60 pozycji, w tym:

- *Dzieje literatury pozbawionej sankcji* **Andrzeja Kijowskie**
- *Ryzyko bycia Polakiem* – wywiad-rzekę z **Janem Polkows**
- wszystkie numery kwartalnika kulturalnego **„Nowy Nap**

Zamów na **sklep.instytutliterat**
z kodem **DO RZECZY** rabat w wysokości **15%** na wszystkie

eprasa.pl cd6d820ddb

Teatr to przeżytek?

Grzegorz Kondrasiuk

Lubię gówno, lubię gówno, lubię gówno…” i tak w kółko, i jeszcze raz. Piosnkę o takim refrenie zaprezentował niedawno Witold Mrozek, czołowy krytyk teatralny „Gazety Wyborczej”, w swojej nowej audycji internetowej. Ta fonograficzna perła pochodzi z „Balladyny” w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego, wystawionej przez poznański Teatr Polski kilka lat temu. Dalej było tylko lepiej: „Hej, świnio, dałnie, to do ciebie mowa, mister lowa lowa”. Hip-hopowy duet cipedRAPskuad w ten sposób rozprawiał się z szowinizmem w swojej branży. Jak wiadomo, problem ten spędzał Słowackiemu sen z powiek i warto było mu dopisać tych kilka zwrotek, wraz ze wspomnianym refrenem. Ale stare to już dzieje. Dzisiaj, jeśli już miałbym żałować, że pandemia się kończy, to właśnie dlatego, iż uwolniła ona teatr od kolejnych dzieł Garbaczewskiego. Obawiam się jednak, że nie na długo.

Wspomniany Krzysztof Garbaczewski, w towarzystwie z innymi garbaczewsko-podobnymi artystami teatru, co roku z uporem godnym lepszej sprawy próbuje widzom udowodnić to, w co zdaje się sam niezachwianie wierzyć: że tzw. teatr dramatyczny to bezwartościowy shit, wytworzony przez obrzydły patriarchat. W funkcji dowodu używa do tego teatru własnego, tzw. postdramatycznego. Bylejakość reżyserska, polegająca na byle jakim traktowaniu tekstu i zachęcaniu aktorów do bylejakości grania – oto jego metoda. Do tego obowiązkowo projekcje, dużo projekcji, virtual reality, no i obowiązkowe feminizm i posthumanizm, i już mamy to. Pokazywanie wszem wobec najtańszego chińskiego zegarka po to, by udowodnić, że wszystkie zegarki świata to shit… Zachodzę w głowę, jakim cudem na ten zaawansowany sylogizm mogło złapać się tak wiele osób. Zresztą taki najtańszy ten zegarek nie jest. I tu, jako argument ostateczny, pojawia się forsa: uruchomione na potrzeby antyteatru duże sceny, kosztowna oprawa i niezłe obsady. Sięgając do słów poety, istny to sylogizm prostacki – ponieważ zapłaciliśmy za wódkę, womitowanie w klozecie w tancbudzie jest pięknem, a zachód słońca już nie. Bo za darmo? Skoro za to płacimy, to teatralne womitowanie JEST piękne, tyle że jest to piękno na miarę naszych czasów. W tym przypadku jednak polemizowałbym z Andrzejem Bursą. Bo choć ostatnią premierę Garbaczewskiego, „Boską komedię”, rozpoczyna hipnotyczny, świetnie powiedziany monolog Sandry Korzeniak (i tu tematy abiektalne pełnią ważną funkcję…), to zaraz po nim można już tylko z warszawskiego Teatru Powszechnego wyjść.

Próba medialna spektaklu „Boska komedia” w reżyserii Krzysztofa Garbaczewskiego

FOT. TOMASZ URBANEK/EAST NEWS

Miałem sen, bardzo naiwny. Może nagła flauta w kulturze uprzytomni właśnie tego typu artystom i ich akolitom, czyli krytykom i kuratorom (czasem trudno odróżnić, kto aktualnie pełni którąś z tych trzech funkcji), w jak głębokim matriksie tkwią? Może tzw. teatr krytyczny wyrośnie w końcu z choroby wieku dziecięcego i przestanie kwestionować podstawy swojego istnienia? Może reżyserzy zaczną reżyserować (na Garbaczewskiego jednak w tej kwestii bym nie liczył), a aktorzy przestaną w końcu grać, że nie grają?

A jeśli artyści tego nie zrozumieją? „Skoro teatr to przeżytek, to może nie warto go finansować?” – ciekawe, kiedy na to wpadnie któryś z samorządów i zaproponuje widzom jednak zachody słońca? O przepraszam, jeden z nich na to już wpadł. Tak jak cała samorządowa Polska Poznań dokładnie policzył, ile można zaoszczędzić na czasowym zamknięciu instytucji kultury. Na tym jednak nie koniec. Jak doniosła lokalna „Wyborcza”, prezydent Jaśkowiak, powtarzający od miesięcy, że żadnych dodatkowych cięć w kulturze nie będzie, zmienił jednak zdanie. Równolegle udzielił portalowi teatralny.pl wywiadu o pięknym tytule: „Wierzę w teatr”. Wyznaje w nim, że regularnie bywa nie tylko w teatrach poznańskich, lecz także w warszawskich i krakowskich. Ostatni raz przed zarazą był w teatrze Polonia, najbardziej jednak w jego gust trafił Janusz Gajos monodramem „Msza za miasto Arras”. Natomiast Strzępka z Demirskim, chociaż zrobili superspektakl o Kaczyńskim, to jednak nie rozumieją kapitalizmu, o czym zresztą nie omieszkał powiedzieć „panu Demirskiemu” po jednej z premier w poznańskim Teatrze Nowym. Bo Jaśkowiak to jednak inny gatunek samorządowca: człowiek światły, walczący z patriarchatem i wierzący w teatr, szczególnie w ten krytyczny. Jeśli tnie, to broń Boże z powodów antyestetyki czy polityki. Szkoda, że w swoim wywiadzie zapomniał wspomnieć o swoich najnowszych cięciach. Ci, którzy znają się na kapitalizmie lepiej od Strzępki i Demirskiego, przecież wiedzą, że cięcia z powodów cenzuralnych to zupełnie inny gatunek cięć, i na pewno zrozumieją, prawda?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG

ORLEN

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze

centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl cd6d820ddb

EFOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

player

vod.pl

Tak – tak, nie – nie

★★★★★★

REŻ. TERRENCE MALICK
„UKRYTE ŻYCIE" („A HIDDEN LIFE")
USA/NIEMCY 2019

wyst. August Diehl, Valerie Pachner, Maria Simon,
Player.pl, Vod.pl

Nowy film Terrence'a Malicka wyrasta ponad wszystko, co w ostatnich latach pojawiło się w światowym kinie. „Ukryte życie" jest arcydziełem, które mogłoby wyjść spod ręki Roberta Bressona albo Andrieja Tarkowskiego, to niezwykłe osiągnięcie sztuki filmowej oddanej w służbę metafizyce, trzygodzinna medytacja o sensie cierpienia i tajemnicy wiary, można by także rzec „pasja według Malicka". Amerykański twórca od zawsze kroczył osobną drogą, dając nam dzieła tak wybitne, jak „Badlands", „Niebiańskie dni", „Cienka czerwona linia", i tak różne jak „Rycerz pucharów" czy „Podróż do Nowej Ziemi".

„Ukryte życie" inspirowane jest życiem, męczeństwem i śmiercią Franza Jägerstättera (August Diehl), męczennika i błogosławionego Kościoła katolickiego. Austriacki rolnik powołany do armii Adolfa Hitlera odmówił przysięgi na wierność Führerowi i III Rzeszy, powołując się na wiarę katolicką i zostając najsłynniejszym więźniem sumienia drugiej wojny światowej. Malick opowiada jego historię, korzystając z zapisków, które po sobie pozostawił, koncentrując się na konflikcie między tym, co winniśmy Bogu, a tym, czego domagają się świeccy władcy tego świata. Jägerstätter podejmuje decyzję, choć tak wiele może utracić: cały świat sielskiej doliny, gdzie żyje spokojnie z żoną (Valerie Pachner) i dzieckiem pod dachem nieba. Malick zderza majestatyczne obrazy przyrody z kruchością, nieistotnością i ulotnością ludzkiego istnienia, przypominając, że to my wnosimy do perfekcyjnego tworu rąk Bożych grzech nienawiści, gen zagłady.

Wszyscy są przeciw Jägerstätterowi, a właściwie wszyscy próbują znaleźć dla niego akceptowalną wymówkę. Biskup troszczy się o los księży, ksiądz błaga, by pamiętał o rodzinie, którą osieroci, sędzia (znakomity epizod Brunona Ganza) pyta, czy wierzy, że jego gest, jego poświęcenie coś zmieni. Bóg chce jednak, by nasza mowa była „tak – tak, nie – nie", w czym męczennik utwierdza się tym bardziej, im sroższym próbom jest poddawany. Świat jednak pamięta, choć zbyt rzadko, dodajmy – zbyt rzadko. A jakiż był sens tego cierpienia? „Kiedyś się dowiemy" – z przekonaniem mówi wdowa w finale tego niezwykłego dzieła, która wcześniej dała dowód własnej głębokiej wiary i bezbrzeżnej miłości w ostatniej rozmowie ze swoim ukochanym. ©℗

NOWE SERIALE: „W DOMU"

HBO GO

To nie tyle typowy serial, ile antologia krótkich filmów przygotowanych na zamówienie HBO przez rozmaitych polskich twórców, którzy musieli przestrzegać wytycznych: nie dłużej niż 10 minut, tematyka związana z pandemią i izolacją, ale poza tym forma i gatunek dowolny. Do tego ćwiczenia przystąpili m.in. Jerzy Skolimowski, Mariusz Treliński, Małgorzata Szumowska, Jacek Borcuch, Jan P. Matuszyński. Kierunek wyznaczyli wcześniej reżyserzy hiszpańscy, efekt ich prac można już oglądać w serwisie HBO GO, pod koniec lipca poznamy zestaw przygotowany przez twórców z Finlandii. ©℗

Piotr Gociek

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Tim Trachte „Horyzont uczuć" („Dem Horizont so nah"), Niemcy 2019, obyczajowy* CINEMAN
- *reż. Elio Espana „Banksy: Sztuka wyjęta spod prawa" („Banksy and the Rise of Outlaw Art"), Wlk. Bryt. 2020, dok.* HBO GO
- *sezon 1. „Warrior Nun", USA 2020, fantasy* N

eprasa.pl cd6d820ddb

Witamy w Azji!

Jak długo można być zabawnym? – pomyślał Owen Wilson i zamiast w kolejnej komedii zagrał w dreszczowcu z prorodzinnym przesłaniem, który z tajemniczych powodów ominął polskie kina. „No Escape" to jeden z tych filmów, w których zwykły Amerykanin chcąc dożyć poranka, musi wykrzesać z siebie sprawność komandosa. Rzecz dzieje się na Dalekim Wschodzie. Jack (czyli Owen) zawlókł tam najbliższych, bo nie wyszło mu w Teksasie z własnym biznesem i musiał zostać korpoludkiem. Żona jest załamana przeprowadzką, ale nie przeczuwa koszmaru, który zacznie się już następnego dnia po przylocie. Wyszedłszy po gazety, Jack staje się świadkiem ulicznej bitwy oraz egzekucji rodaka. Za chwilę do hotelu wedrą się owładnięci żądzą mordu rebelianci…

Film nakręcono za śmieszne pieniądze, lecz zamiast finansowej mizerii na ekranie widać sprawność reżysera. Tempo i dramaturgia bez zarzutu, zaś wisienką na torcie jest Pierce Brosnan. Gra to, co mu wychodzi najlepiej: podstarzałego, zblazowanego Jamesa Bonda, który samokrytycznie stwierdza, że „lepsze czasy ma już za sobą". Fabuła żeruje na atawistycznym lęku przed nieodgadnioną, niby uśmiechniętą, lecz z natury krwiożerczą Azją. Tyrada o neokolonialnych grzechach Zachodu, włożona w usta jednego z bohaterów, to ściema dla naiwnych. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JOHN ERIC DOWDLE
„NO ESCAPE"
USA 2015

wyst. Owen Wilson, Lake Bell, Pierce Brosnan

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

INSTAGRAMOWY KOCHANEK

W KINACH

Straszne skutki nadużywania Internetu. Stephane, szef restauracji z francuskiej części Nawarry, szuka w świecie wirtualnym remedium na zawodowe wypalenie, które przekłada się na jego prywatność. Im bardziej oddala się od rodziny, tym większe nadzieje pokłada w romantycznym związku z niejaką Soo. W końcu wyprawia się do Seulu, by na miejscu przekonać się, że skośnooka muza wcale na niego nie czeka. Wstrząśnięty, lecz ani trochę nie zmieszany, koczuje na lotnisku niczym Tom Hanks w „Terminalu", wylewając swoje żale w serwisie społecznościowym. Na efekty nie trzeba długo czekać – Stephane (dziwnie podobny do Juliusza Cezara z „Asteriksa") zostaje gwiazdą sieci jako „french lover". Film, będący dość nachalną reklamą Korei Południowej, uświadamia, jak wiele straciliśmy z chwilą, gdy przypadkowi turyści z nieodłącznymi walizkami na kółkach zniknęli z krajobrazu. Globalizacjo, wróć!

★★★☆☆☆

REŻ. ERIC LARTIGAU
„# TU I TERAZ" („#JESUISLÀ")
FRANCJA/BELGIA 2019, BEST FILM

wyst. Alain Chabat, Doona Bae, Jules Sagot

MANHATTAN BABILON

„Adwokat diabła" dobrze oddaje dwuznaczny stosunek Amerykanów do pieniędzy, seksu, prawników i Nowego Jorku. Nie przypadł jednak do gustu krytykom, którzy zarzucali mu efekciarstwo i zmarnowanie potencjału Ala Pacino, będącego wówczas u szczytu formy. Występ w zalatującym siarką horrorze był dla niego okazją do stoczenia korespondencyjnego pojedynku z Robertem De Niro. Ten, grając Lucyfera w filmie „Harry Angel", epatował siłą spokoju. Szatan Pacino jest obleśny, krzykliwy i dźwiga spory bagaż kulturowy (Dante, Milton, Goethe, Rodin, Sinatra). Trudno wyrokować, czyja interpretacja jest bardziej trafiona, lecz diabeł, który chełpi się, że XX w. należał do niego, niestety ma rację. Ciekawie potoczyły się kariery aktorów kuszonych przez księcia piekieł. Kto by w roku 1997 pomyślał, że piękny Keanu Reeves zostanie megawojownikiem, zaś Charlize Theron z płaczliwej dziewuchy wyrośnie na zabójczą dominę? ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. TAYLOR HACKFORD
„ADWOKAT DIABŁA" („DEVIL'S ADVOCAT")
USA 1997

wyst. Al Pacino, Keanu Reeves, Charlize Theron

GRA TYGODNIA: „F1 2020"

Obecny sezon Formuły 1, podobnie jak wszystkich sportów, przerwała pandemia koronawirusa. I choć wyścigi wracają bez udziału publiczności, to dzięki „F1 2020" można się poczuć tak, jakby świat na chwilę nie stanął. Rozegrać Grand Prix na ponad 20 trasach, ze wszystkimi zespołami i bolidami, wzbogaconymi o edycje legend poprzednich dekad. W stosunku do ostatniej edycji grę wzbogacono o ciekawy tryb „My Team", w którym można zaprojektować i poprowadzić do zwycięstwa swoją prywatną drużynę. Jeśli chodzi o realizm toru jazdy, grafikę i efekty dźwiękowe, to każdy z tych elementów zaprojektowano na solidnym poziomie. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

- ***Gatunek:*** *Symulator/Wyścigi*
- ***Platforma:*** *PS4/PC/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Codemasters/Koch Media*
- ***PEGI:*** *3+*

eprasa.pl cd6d820ddb

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wolski w podróży

Gdzie ten Wolski nie był! Na Wyspie Wielkanocnej i na Galapagos, przemierzył Nową Gwineę i Tanzanię, zjeździł Filipiny i Oman. Zaliczył pobyty w ponad stu krajach, łącząc z pożytecznym przyjemne, jest bowiem pasjonatem nurkowania i wszędzie tam, gdzie to było możliwe, a więc np. na Malediwach, Kajmanach czy w Malezji, zanurzał się z akwalungiem w tonie oceanu. A teraz nam o tym wszystkim opowiedział w książce bogato zilustrowanej osobiście wykonanymi zdjęciami.

A zaczynał, o czym pisze z niejaką melancholią, od wycieczek do tzw. pasa konwencji w bratniej Czechosłowacji i od wypraw do NRD i Bułgarii. W latach jego młodości inny od socjalistycznego świat był bowiem niedostępny. Na szczęście miał mapy i książki – Verne'a, Fiedlera, a z czasem np. Thora Heyerdahla relacjonującego sławny rejs tratwą „Kon-Tiki". Co tu dużo mówić, na początku było słowo i to ono uruchamiało wyobraźnię przyszłego satyryka (z magazynem „60 minut na godzinę", którego był animatorem, w całych dziejach Polskiego Radia konkurować może jedynie przedwojenna „Wesoła Lwowska Fala" ze Szczepkiem i Tońciem), autora kilkudziesięciu powieści i tysięcy wierszy, głownie politycznych. Jak również, jak się okazuje – wytrawnego podróżnika, który spełnił swoje marzenia o dalekich wyprawach, nawet te, które nie miały prawa się spełnić.

Uważnie przygląda się Marcin Wolski światu, zachwycając się nim, ale i dochodząc do nie najweselszych konstatacji. Przyszło nam żyć w rzeczywistości, którą sami, na własne życzenie, zdeformowaliśmy, i dziś, zdumieni, widzimy, jak na naszych oczach – proszę wybaczyć to określenie – parszywieje. Zafascynowany przyrodą, podziwiający egzotyczne rośliny

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

i zwierzęta, zastanawia się autor, jak długo będzie to jeszcze możliwe. To, niestety, nie żart, ale np. niektóre gatunki zwierząt będziemy mogli podziwiać jedynie na filmach i fotografiach sprzed lat. Najpierw bowiem, pod hasłami ekologicznymi, zostaną one usunięte z cyrków („Tato, co to jest cyrk?") i ogrodów zoologicznych, potem „przyjaciele zwierząt" pozbędą się przeróżnych auto-safari („dostarczających przecież pieniędzy na utrzymanie rezerwatów") i tylko patrzeć, jak kolejni przedstawiciele fauny najzwyczajniej w świecie wyginą.

Z pełnym przekonaniem, bazując na podróżniczych doświadczeniach, zachęca Wolski do realizowania swoich turystycznych planów i zamiarów dopóty, dopóki ich realizacja jest możliwa. W dobie pandemii wydaje się to oczywiste, ale i bez koronawirusa potrafimy sobie „uprzyjemnić" życie. W połowie lat 70. – pluje sobie autor w brodę – nie pojechał do Afganistanu, a był on wtedy spokojnym krajem; Palmyra stała jeszcze cała, Aleppo nie było jedną wielką ruiną. Do Babilonu też się nie wybrał i pewnie już się nie wybierze. Chociaż – pociesza nas i siebie – 30 lat temu również trudno było sobie wyobrazić wycieczkę do Teheranu.

Autor „W 80 podróży dookoła świata" na szczęście nie jojczy, nie popada w czarnowidztwo. A nadzieję na przyszłość zachodniej cywilizacji postrzega w… Ameryce Południowej. Liczy na dynamizm mieszkańców Brazylii, na dokonany w tym kraju postęp, na potęgę tradycji i tamtejszą kulturową syntezę. No tak, ale znów pandemia przypomina nam o punkcie, w którym znalazł się świat, a Brazylia może w szczególności. Zdaje się, że nie wystarczy już trzymać kciuków „za wiecznie zieloną selwę, płuca świata". I nie byłbym pewien, czy „kultura zrodzona na niewielkim półwyspie Eurazji" rzeczywiście miałaby, w razie czego, gdzie uciec, przy tym „nie porastając w dodatku hamburgerem".

No dobrze, a jeśli nie w Ameryce, to gdzie leży przyszłość? W Azji coraz bardziej zdominowanej przez Chiny? Jutro pozostaje niewiadome, „poza tym – powiada Wolski – że Chińczycy ciągle rosną, podobnie jak ich państwo. Podobno od Rewolucji Kulturalnej ich przeciętny wzrost zwiększył się o trzydzieści centymetrów. A co będzie dalej?". Znów kłania się p..... koronawirus i naprawdę strach się bać.

A co się stanie z Etiopią, dokąd Marcin Wolski pojechał 10 lat temu w poszukiwaniu egzotyki, tymczasem lepiej zrozumiał współczesny świat, w którym – kto wie – czy pod chińskim protektoratem nie rośnie nam afrykańskie mocarstwo? I to w miejscu, które jeszcze niedawno kojarzyło się nam wyłącznie z opuchłymi z głodu dziećmi. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Książka Marcina Wolskiego jest najlepszym dowodem na to, że – po pierwsze – co sam autor akcentuje, z zarabianiem pieniędzy nie należy przesadzać, trzeba bowiem znaleźć czas na sensowne ich wydawanie, a po drugie – wprawdzie to truizm – że podróże kształcą. Najbardziej tych wykształconych. ©℗

★★★★☆

MARCIN WOLSKI „W 80 PODRÓŻY DOOKOŁA ŚWIATA"
BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2020

eprasa.pl cd6d820ddb

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Poranek w Kansas

Przyzywały ich ciepłe pokoje i ciepła kolacja, i kiedy odchodzili śpiesznie, pozostawiając zimny plac dwóm szarym kocurom, odeszła także bajeczna jesień; zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg". Najsłynniejsza książka Trumana Capote'a pełna jest tak cudownych zdań, które wyrastają niespodziewanie spośród reporterskiej narracji. „Z zimną krwią" jest bowiem wspaniałą literaturą, porażającą i porywającą dziś tak samo jak niemal sześć dekad temu. Jest też przerażająco aktualna, bo to opowieść, w której pojawia się niewytłumaczalne zło czające się w zwyczajnych ludziach, jakich mijamy na ulicy, nie podejrzewając nawet, że coś z nimi nie w porządku.

Wiek XX wydobył to zło z ludzkich dusz na niespotykaną skalę, a precyzując – wydobyły je straszliwe totalitaryzmy: brunatny i czerwony. Powszechność tego zła budzi do dziś grozę, podobnie jak jego banalność. Mordercy o twarzach poczciwych kołchozowych chłopów, mordercy wyglądający jak dobroduszni sprzedawcy bratwurstu.

Powieść Trumana Capote'a sięga głębiej, poza ideologiczne zaczadzenia, i dlatego jest tak niepokojąca. Pewnego pięknego dnia spokojna rodzina Clutterów z Holcomb w stanie Kansas zaszlachtowana zostaje przez dwóch rzezimieszków, dla których, jak pokażą to proces oraz dziennikarskie śledztwo amerykańskiego pisarza, nie było to nic niezwykłego. „Robimy w ołowiu" („We deal in lead, friend") – mówił jeden z najemników w „Siedmiu wspaniałych" (Vin Tanner grany przez Steve'a McQueena). Jedni sieją, inni heblują stoły, jeszcze inni ładują kule w łeb. Tamci byli zbirami do wynajęcia, tymczasem Richard Hickock i Perry Smith, mordercy z Holcomb, zabijali, bo… No właśnie, dlaczego? Bo mogli?

Frazę o ołowiu pożyczył sobie z „Siedmiu wspaniałych" Stephen King do cyklu „Mroczna wieża", ale myślę, że cały King wyrasta nie tylko z niezliczonych opowiadań grozy i fantastyki, które pochłonął, lecz także z powieści „Z zimną krwią". To w jego książkach nieustannie powraca bowiem ten motyw: zło istnieje, niektórzy ludzie są nim dotknięci tak, jakby od samego początku w ich głowach coś był przestawione. To mogło wydarzyć się wszędzie, to mogło przydarzyć się każdemu. Hickock i Smith nie wiedzieli o istnieniu Clutterów dopóty, dopóki od kompana w więzieniu nie usłyszeli o pewnym bogatym gościu z Kansas. Równie dobrze mogli usłyszeć o kimś innym. Bez różnicy. Zło nie wybiera. Zło po prostu jest. ©℗

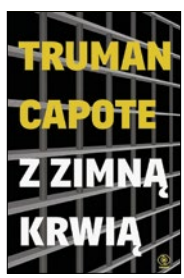

★★★★★☆
TRUMAN CAPOTE
„Z ZIMNĄ KRWIĄ"
REBIS 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor światowego bestsellera „Czarny łabędź. Jak nieprzewidywalne zdarzenia rządzą naszym życiem" przedstawia rozważania idealne na czas pandemii, czyli „jak żyć w świecie, którego nie rozumiemy". Inspirujące.

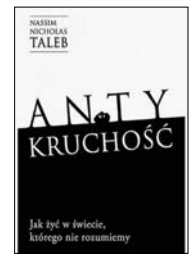

NASSIM NICHOLAS TALEB
„ANTYKRUCHOŚĆ"
ZYSK I S-KA

Nie o koronawirusie, ale o niewidzialnych nieproszonych gościach w naszej kuchni, łazience, na sofie, w kranie. Oraz m.in. o antybiotykach, alergiach, kłopotach z domowymi zwierzętami. Rzecz napisana lekko i przystępnie.

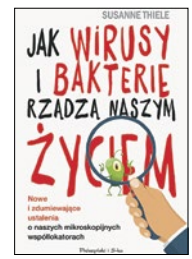

SUSANNE THIELE
„JAK WIRUSY I BAKTERIE RZĄDZĄ NASZYM ŻYCIEM"
PRÓSZYŃSKI

Twórca cyklu o Lincolnie Rhymie rozpoczyna nową serię, której bohaterem jest Colter Shaw, spec od odnajdywania osób, które nie chcą być znalezione. Na początek prowadzi nas do świata producentów i fanatyków gier wideo.

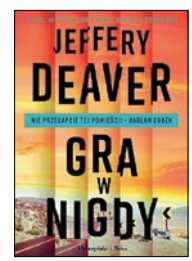

JEFFERY DEAVER
„GRA W NIGDY"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Slasher po polsku, czyli horror na wakacje osadzony w realiach głębokiego PRL. Umiera Bierut, czerwona elita bawi się w mazurskich lasach, a były żołnierz AK tropi zło, które wyrwało się na wolność z tajnej sowieckiej bazy. ©℗

ROBERT ZIĘBIŃSKI
„DZIEŃ WAGAROWICZA"
REBIS

poleca Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA: „MROCZNA OTCHŁAŃ"

Latem 2018 r. w kinach całego świata za sprawą filmu „Meg" zagościł gigantyczny prehistoryczny rekin, który cudem przetrwał do naszych czasów. W komiksie „Mroczna otchłań" początek jest podobny, ale ciąg dalszy o wiele bardziej wielowątkowy i zaskakujący. Zamiast kolejnej wariacji na temat znany ze „Szczęk" otrzymujemy opowieść przygodowo-fantastyczną, w której jest miejsce i na inne niezwykłe istoty, i na ślady po zaginionej cywilizacji. Całość liczy pięć albumów, w pierwszym tomie polskiej edycji zbiorczej pomieściły się trzy. Warto czekać na ciąg dalszy i podziwiać kapitalne, realistyczne kadry. ©℗ *poleca Piotr Gociek*

BEC, HENNINOT, JOVANOVIC
„MROCZNA OTCHŁAŃ"
EGMONT 2020

eprasa.pl cd6d820ddb

Po dwóch stronach planety

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Komputerowe algorytmy dały początek znajomości Pauliny Miłosz, piosenkarki i kompozytorki tworzącej pod pseudonimem Pola Rise, z australijskim wokalistą, producentem i multiinstrumentalistą Andym Wardem. „Odkryłam utwory Andy'ego, które wpadły mi do polecanych. Absolutnie mnie zachwycił – mówiła Pola Rise w rozmowie dla portalu allaboutmusic.pl. – Nasza znajomość zaczęła się bardzo typowo dla dzisiejszych czasów – zaczęłam go śledzić na Instagramie, potem on mnie".

Efektem tej współpracy jest singiel „Higher". „Potrzeba było pożyczonego pianina, trzech zepsutych twardych dysków, tysiąca e-maili, czatów i filmów, aby zrobić pierwszy singiel do nowego projektu – pisze Andy Ward. – Ten projekt był świetną zabawą i szaloną współpracą z artystą po drugiej stronie planety". Współpraca z pewnością nie skończy się na tym jednym singlu. Pola już zapowiedziała więcej, co nie dziwi, skoro „nasze muzyczne porozumienie było dla mnie czymś totalnie niecodziennym i fantastycznym! Nie jest łatwo znaleźć kogoś, kto w ten sam sposób odczuwa i podobne emocje wkłada w dźwięki. Ja znalazłam Andy'ego na drugim końcu świata!".

Pola Rise urodziła się w Warszawie, skończyła dziennikarstwo na UW. Muzycznego wykształcenia nie pobierała, ale muzyka towarzyszyła jej od wczesnej młodości. Na poważnie zajęła się nią kilka lat temu. W 2014 r. ukazały się dwa jej single, a rok później epka „The Power of Coincidence". O swoich muzycznych początkach mówiła w jednym z wywiadów: „Po to wymyśliłam pseudonim, żeby oddzielić życie artystyczne od prywatnego. [...] Na początku w ogóle nie chciałam pokazywać twarzy, chowałam się za cekinami, makijażem. Czułam się wtedy bezpieczniej, lepiej. Później zaczęłam się otwierać". Pierwszą płytę, wydaną w 2018 r. „Anywhere But Here", Pola nagrywała w Nowym Jorku, Londynie, Kopenhadze, Berlinie, Dublinie, Turynie, Seulu, Reykjaviku i Oslo. Mimo tylu miejsc realizacji oraz tego, że album nie ma jednego producenta – wyszedł spójny i dopracowany debiut. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Przyjaciele w Berlinie

Aby wyrwać się z kokainowych czeluści, David Bowie w 1976 r. uciekł z Ameryki do Europy. Na odwyk zabrał ze sobą Iggy'ego Popa, permanentnego ćpuna i ojca chrzestnego punk rocka, który to styl w następnym roku zawładnie brytyjską sceną.

Między wydaniem własnych, wręcz epokowych, albumów „Low" i „Heroes" Bowie pracował nad płytami przyjaciela. Załatwił Iggy'emu kontrakt z wytwórnią RCA, dla której Pop w ciągu 14 miesięcy zrealizował trzy krążki. Pierwsze dwie płyty solowe – „Idiot" i „Lust for Life" – uważane są za najlepsze w jego karierze. David komponował muzykę, a Iggy pisał teksty. Wyszła z tego fascynująca hybryda łącząca amerykańską tradycję garażowego rocka z eurocentrycznym avant-popem. Na płytach znalazły się klasyki „Nightclubbing", „China Girl", „Tonight" i „The Passenger", które po latach stały się światowymi hitami w interpretacji m.in. Grace Jones, Tiny Turner i Bowiego. Jednak w 1977 r. albumy nie spowodowały komercyjnego przełomu w karierze Popa. „Lust for Life" miał potencjał, ale ukazał się w najgorszym momencie, trzy tygodnie po śmierci Elvisa Presleya. Wytwórnia RCA wolała tłoczyć i promować wznowienia płyt króla rock and rolla.

Na siedmiokompaktowy box składają się zremasterowane wersje studyjnych albumów i koncertowego „T.V. Eye", krążek z alternatywnymi miksami i nagraniami singlowymi oraz trzy płyty z niepublikowanymi koncertami z trasy z marca 1977 r. ©℗

★★★★★★

IGGY POP
„THE BOWIE YEARS"
UNIVERSAL

★★★★★★

SBB
„JERZYK"
GAD

Album ukazał się w 1977 r. i to wyłącznie na kasecie. Zawiera krótkie formy o funkowym zabarwieniu, mało cenione wśród fanów SBB. Może osiem dodatkowych nagrań sprawi, że po płytę sięgną kolekcjonerzy, bo całość ma wymiar jedynie historyczny.

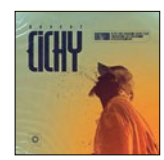

★★★★★★

ROBERT CICHY
„DIRTY SUN"
AGORA

Na drugim albumie Robert Cichy wysyła po angielsku alarmujące sygnały SOS, dotyczące kondycji naszej planety i jej mieszkańców. Wolę, kiedy wykonuje osobiste, polskie bluesy, szczególnie że głos ma intrygujący, a gitarzystą jest zacnym. Gościnnie pojawiają się: Mrozu, Kasai, Rahim i Sosnowski. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

REPUBLIKA

dla **młodszych**
i tych trochę
starszych

w **soboty** i **niedziele**
17:35

od **poniedziałku** do **piątku**
9:20

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl cd6d820ddb

Niewygodne 100

Łukasz Warzecha

Lewicowy dokumentalista Michael Moore wyprodukował film, którym zadarł z własnym środowiskiem. Pokazał manipulacje wokół odnawialnych energii

W stanie Vermont na północnym wschodzie USA odbywa się Festiwal Solarny. Oto święto energii odnawialnej; miejsce, gdzie prorocy odejścia od paliw kopalnych mogą wysławiać do woli alternatywne źródła energii, a producenci ogniw słonecznych reklamują swoje produkty. Jest scena, są muzycy, koncerty, a wszystko zasilane energią słoneczną. A przynajmniej tak zapowiadano. W pewnym momencie zachmurzyło się, zaczął padać deszcz. Za sceną zapanowało poruszenie. To organizatorzy szybko podłączyli i uruchomili dieslowski generator prądu. Okazał się jednak za mało wydajny, w związku z czym ostatecznie trzeba było scenę podłączyć do normalnej sieci elektrycznej.

To jedna z wielu podobnych sytuacji pokazanych w „Planet of the Humans" („Planeta ludzi") przez Jeffa Gibbsa. Film miał premierę w lipcu ubiegłego roku. Wyprodukował go i promuje Michael Moore, lewicowy amerykański dokumentalista, który zasłynął między innymi mocno zmanipulowanym filmem „Zabawy z bronią" (2002). Tym razem jednak Moore zadarł z własnym środowiskiem i dla wielbicieli siania paniki w stylu Grety Thunberg stał się naczelnym wrogiem. „Planeta ludzi" została udostępniona na YouTube 21 kwietnia tego roku i w ciągu miesiąca obejrzało ją 8,3 mln widzów. W drugiej połowie maja film został zablokowany w serwisie pod pretekstem naruszenia praw autorskich do niektórych użytych w nim materiałów. Moore i reżyser Jeff Gibbs nie mieli wątpliwości, że jest to kampania – jak to określili – skoordynowanej cenzury ze strony „zielonych kapitalistów". Po dłuższej batalii, podszytej wątpliwościami co do krępowania wolności słowa, film na YT w końcu wrócił w czerwcu. Dzisiaj nie da się go już zobaczyć na kanale Moore'a, ale wciąż można go w Internecie znaleźć.

SWÓJ WRÓG

Co mogło spowodować, że 100-minutowy film wywołał takie poruszenie? Jak to często bywa, za najgorszego wroga nie jest uznawany ten, z kim walka jest rzeczą oczywistą i kto należy po prostu do przeciwnego obozu. Najgorszym wrogiem staje się ten, kogo uważało się za swojego, a kto zaczął wygrzebywać niewygodne fakty. To jest właśnie przypadek Gibbsa. Nie jest bowiem walczącym libertarianinem czy sojusznikiem producentów ropy naftowej. Sam przedstawia się na początku filmu jednoznacznie: całe jego życie to ekologia, a także dokumentowanie przyrody i jej niszczenia. „Planeta ludzi" jest świadectwem jego głębokiego rozczarowania wielką manipulacją wokół energii odnawialnej. Jako krytyk może być zatem dla wielu wiarygodny, niekwestionowani zaś dotąd guru ekohisterii, z Alem Gore'em na czele, występują w jego filmie jako postaci zdecydowanie negatywne i pełne hipokryzji.

Gibbs na przykładach pokazuje, że energia odnawialna jest rozwiązaniem pozornym. Niektóre sytuacje mają wręcz walor komediowy. Oto rok 2015, prezentacja chevroleta Volta drugiej generacji, wyprodukowanego przez General Motors przy udziale rządowych subsydiów. Samochód pokazuje dziennikarzom Kristin Zimmerman z GM. Auto zostaje na parkingu przed budynkiem podpięte do sieci, jest to bowiem hybryda typu plug-in, czyli wyposażona w silnik spalinowy, ale akumulatory można ładować z sieci. Gibbs pyta Zimmermana, skąd ładowany jest samochód. Zimmerman odpowiada: „Stąd, z sieci tego budynku". Gibbs na to: „No tak, ale kto dostarcza

eprasa.pl cd6d820ddb

Farma słoneczna i kadr z filmu „Planeta ludzi”
FOT. ADOBE STOCK

minut

prąd?”. Okazuje się, że to lokalna firma: Lansing. „Prąd mają chyba z węgla…” – waha się Zimmerman. – „I zdaje się, że też z gazu?”. Zapytany przez Gibbsa przedstawiciel firmy Lansing stwierdza, że 95 proc. prądu wytwarzają z węgla.

Inny przykład to gigantyczna elektrownia solarna Ivanpah w Kalifornii, otwarta z wielką pompą w 2014 r. Przedsięwzięcie kosztowało 2,2 mld dol. Dołożył się do niego m.in. Google (ponad 160 mln dol.). Niezmierzone pole zapełnione lustrami objęło ponad 1400 ha, czyli ok. 14 km kw. Dla porównania – aktywna powierzchnia bełchatowskiej odkrywki to ok. 3400 ha. Lustra w Ivanpah odbijają słońce i koncentrują jego promienie na trzech wieżach. Tam parowe turbiny zamieniają temperaturę w elektryczność. Roczna produkcja energii to niecałe 730 GWh. Wspomniana elektrownia Bełchatów produkuje rocznie 27–28 TWh, czyli ok. 37 razy więcej niż Ivanpah. Przy powierzchni przeznaczonej na dostarczanie surowca (w Bełchatowie – węgiel, w Kalifornii – słońce) zaledwie niespełna 2,5 razy większej niż w Ivanpah.

Przede wszystkim jednak elektrownia w Ivanpah, aby uruchomić produkcję prądu, musi co rano spalać gaz ziemny. W 2014 r. Ivanpah zużyła w ten sposób gaz generujący 254 GWh energii, emitując ponad 46 tys. ton CO_2, przekraczając dwukrotnie zużycie określone kalifornijskimi normami uczestnictwa w programie redukcji emisji.

Takich nonsensów, ubranych w opowieści o „czystej energii”, jest u Gibbsa dużo więcej. Szczególnie boli go uznawanie za energię odnawialną produkcji prądu z biomasy. Jak pokazuje na przykładach amerykańskich elektrowni, owa biomasa – w teorii będąca odpadkami drzewnymi – jest w praktyce po prostu drewnem ze świeżo ściętych drzew. W ten sposób w imię „zielonej rewolucji” wycinane są setki hektarów lasów, w dodatku maszynami, które napędzane są oczywiście silnikami Diesla.

Szczególnie zapada w pamięć przykład zoo, które pochwaliło się, że energię potrzebną do ogrzewania będzie pozyskiwać z odchodów zwierząt. Okazuje się jednak, że słoniowe ekskrementy nie wystarczają nawet na ogrzanie pomieszczenia dla słoni.

Gibbs pokazuje nam wycinane dla biomasy lasy, splantowaną pod ogniwa słoneczne albo lustra pustynię z jej wbrew pozorom bogatą florą.

„ZIELONI KAPITALIŚCI”

Kolejny ważny wątek to wskazanie, że teoretycznie przyjazna Ziemi i klimatowi dziedzina energii odnawialnej opiera się na nie mniej rabunkowym wykorzystaniu zasobów naturalnych niż – jak to widzą ekologiści – tradycyjna produkcja energii. Stworzenie ogniw słonecznych to użycie grafitu, wydobywanego w kopalniach, czy całej masy pierwiastków ziem rzadkich, pozyskiwanych zaledwie w kilku krajach na świecie, w tym w Afryce, gdzie zajmują się tym ludzie pracujący niemal w niewolniczych warunkach. Z polskiego punktu widzenia ważniejsze może być, że ogromna część złóż pierwiastków potrzebnych do produkcji akumulatorów czy paneli słonecznych znajduje się w Rosji.

Przede wszystkim jednak Gibbs pokazuje, jak można się na „zielonej” histerii dorobić. Stąd pojęcie „zielonych kapitalistów”. Gibbs śledzi powiązania międzynarodowej inicjatywy 350.org, działającej na rzecz redukcji emisji CO_2 i alternatywnych źródeł energii, współorganizującej zresztą Strajk Klimatyczny, którego ikoną jest Thunberg. Dokumentalista dochodzi do niepokojących konkluzji, wskazując na sieć powiązań z wielkim biznesem, robionym na energii odnawialnej. Szczególne wrażenie robi fragment wywiadu przeprowadzanego przez Karyn Strickler – ekolog, aktywistkę, prowadzącą przez kilka lat kanał „Climate Challenge” – z Billem McKibbenem, założycielem i prezesem 350.org. Gdy Strickler pyta McKibbena, kto finansuje jego organizację, ten nagle dostaje zaniku pamięci. Stwierdza w końcu, że donatorów jest wielu, a największym jest szwedzka Rasmussen Foundation. Dopiero pod wpływem kolejnego pytania przypomina sobie, że owszem, 350.org otrzymało pieniądze także m.in. z Fundacji Rockefellera. Trzeba tu wyjaśnić, że dla ideowych lewicowych ekologistów powiązania z wielkim biznesem – a takie uosabia właśnie Fundacja Rockefellera – są poważnym obciążeniem.

W podobne pomieszanie w studiu telewizyjnym – co pokazuje Gibbs – wpadł były wiceprezydent USA Al Gore, uważany za guru walki z globalnym ociepleniem, gdy spytano go, dlaczego w 2013 r. sprzedał swoją stację telewizyjną Current TV Al-Dżazirze, finansowanej przez Saudów, którzy swoją finansową potęgę zbudowali na ropie. Ostatecznie wszystko, co Gore był w stanie z siebie wydusić, to: „Przyjmuję krytykę”.

Nie miejmy złudzeń – Gibbs jako ideowy ekolog o maltuzjańskim rysie nie zapisał się do przeciwnego obozu. W jego filmie ostatecznie pojawia się wniosek, że na Ziemi żyje zbyt wielu ludzi, że konieczna jest kontrola urodzin, a surowce naturalne się wyczerpują. Jednak właśnie ta szczera ekologistyczna ideowość każe Gibbsowi uczciwie (acz nie bez błędów) wytknąć własnej stronie potężne manipulacje.

„Planeta ludzi” jest umieszczona w amerykańskich realiach. Z drobnymi modyfikacjami to przecież również europejska, w tym polska, rzeczywistość, która jest jeszcze gorsza. W USA poszczególne stany wprowadzają własne regulacje, Europa poszła znacznie dalej ze swoim projektem zielonego ładu czy absurdalnymi normami emisji dla samochodów. Gibbs przypomina, że to nie jest zderzenie złego przemysłu wydobywczego z gromadą szlachetnych ideowców, ale że po „zielonej” stronie pełno jest cyników, wykorzystujących autentyczną troskę o środowisko do – jak to byśmy w Polsce powiedzieli – kręcenia lodów. Autor „Planety ludzi” stawia wprost tezę, że ruch ekologistyczny został przejęty przez wielki biznes. Gra idzie zaś naprawdę o wielkie pieniądze. Kiedy następnym razem mała Greta zapyta nas: „How dare you?!”, powinniśmy o tym pamiętać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. ADOBE STOCK

Migracja: strategia sukcesu

Wojciech Golonka

Polska powinna celować w coś więcej niż tylko ściąganie taniej siły roboczej. Narodowa strategia jako dokument na takie wyzwania nie odpowiada

Prezydent Andrzej Duda zatwierdził 12 maja „Strategię bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej Polskiej". Nazwa dokumentu opublikowanego na stronie Biura Bezpieczeństwa Narodowego brzmi poważnie i kompleksowo. 38-stronnicowa broszura to w rzeczywistości spis treści zagadnień do rozwinięcia czy zrealizowania przez odpowiednie (domniemane) agendy państwowe. Sam dokument, choć przedłożony przez premiera i uroczyście zatwierdzony przez głowę państwa, nie zawiera afiliacji wobec konkretnych organów i jest de facto niezobowiązujący. Rozdźwięk ten był widoczny już w poprzednich „Strategiach" z lat 2007 i 2014, przy czym edycja z 2020 r. zaskakuje dodatkowo zmniejszeniem objętości treści o ponad połowę (typograficznie „ubytek" ten nadrobiono obfitą interlinią), ale prawdą jest, że „dużo" niekoniecznie oznacza „treściwie".

KŁOPOTLIWE WYZNANIE

Zdefiniowanie polityki migracyjnej, zaliczonej do filaru „Rozwój społeczny i gospodarczy. Ochrona środowiska", ogranicza się do jednego dłuższego zdania: „Opracować i prowadzić kompleksową politykę migracyjną, skoordynowaną z polityką bezpieczeństwa, polityką gospodarczą i społeczną, uwzględniającą zarówno bieżące, jak i prognozowane potrzeby rynku pracy, integrację migrantów ze społeczeństwem polskim, zapewniającą zachowanie spójności społecznej, jak i przeciwdziałanie możliwym zagrożeniom porządku i bezpieczeństwa publicznego związanym z procesami migracyjnymi". Skoro polityka migracyjna jest jeszcze nieopracowana, trudno, aby była obecnie „kompleksowo prowadzona". To dosyć kłopotliwe wyznanie w dokumencie tej rangi nie tylko dlatego, że Polska w latach 2018–2019, czyli w czasie, gdy obradowano nad Światowym Paktem w sprawie Migracji, była członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ, lecz także zważywszy na to, iż w ostatnim czasie nasz kraj przoduje w rankingach napływu imigrantów spoza Unii Europejskiej. Skoro – jak sugeruje oficjalny dokument – nie odbywa się to jeszcze w ramach przemyślanej polityki, być może chodzi o strategię „jakoś to będzie".

eprasa.pl cd6d820ddb

Oczywiście już sama skala obecności obcokrajowców w Polsce – a doświadczamy jej codziennie na ulicach polskich metropolii, a także miast, a nawet miasteczek, wsłuchując się w melodyjną wschodniosłowiańską wymowę – pokazuje, że mamy do czynienia z jak najbardziej politycznie napędzaną i przemyślaną imigracją zarobkową. Potwierdza to zresztą sama „Strategia", nawiązując bezpośrednio do bieżących i przyszłych potrzeb rynku pracy, stanowiących, jak widać, główny powód masowego sprowadzania imigrantów do Polski.

Gdy mowa o potrzebach rynku pracy, trzeba pamiętać, że nie wynikają one wyłącznie z dynamiki gospodarczej kraju, lecz także, w dużej mierze, z erozji rodzimej siły roboczej za sprawą emigracji zarobkowej Polaków za granicę. Już Leon XIII konstatował w swej wielkiej encyklice społecznej: „Ludzie dla obcych krajów nie porzucaliby ojczyzny, gdyby ojczyzna dawała im możność życia" („Rerum novarum"). Przy czym, w przeciwieństwie do migracji XIX-wiecznych, bieżąca anomalia jest podwójną porażką państwa – wszak chodzi o Polaków, w których wykształcenie, nierzadko na poziomie specjalistycznych studiów, Polska zainwestowała, w zasadzie bezzwrotnie.

Ten stan rzeczy powinien budzić sprzeciw, a przynajmniej poważną refleksję, bez popadania jednak w „magiczne" rozwiązania. W obecnej sytuacji, a zwłaszcza w ramach wspólnego europejskiego rynku dóbr, twierdzenie, że tania siła robocza spoza UE blokuje systematycznie wzrost płac Polaków, nie ma pokrycia w rzeczywistości, a kontrprzykładem były w ostatnich tygodniach Niemcy i Włochy. Niemcom najwyraźniej nie chce się zbierać własnych szparagów; wolą zapłacić za tę ciężką pracę chętnym obcokrajowcom, których mimo obostrzeń epidemicznych zdołali sprowadzić lotami czarterowymi z Rumunii i Polski. Z kolei we Włoszech wobec braku zagranicznych pracowników sezonowych część rolników po prostu nie zebrała plonów. Powyżej pewnych kosztów produkcja zwyczajnie przestaje się opłacać, produkt ulega konkurencji z innych regionów kraju, z innej części Unii czy po prostu okazuje się produktem luksusowym o małej podaży. Nie mając wewnątrz Unii autonomicznej polityki celnej, nie mamy w zasadzie środków, aby tej logice konkurencyjności zapobiec. Mówiąc krótko – zamiast spowodować zarobkowe eldorado, ograniczenie obcej niewykwalifikowanej siły roboczej w Polsce w obecnej sytuacji prędzej powodowałoby zamknięcie nieopłacalnych przedsiębiorstw i usług. Nie sposób też twierdzić, że imigranci zarobkowi masowo podbierają Polakom wyspecjalizowane miejsca pracy, blokując przez to wzrost płac w tych dziedzinach. Czynnikami, które najbardziej przyczyniają się do ubytku rodzimej siły roboczej (a przez to do imigracji), a także blokują szybszy wzrost płac, są przede wszystkim wciąż rosnące koszty pracy, na które składają się spore daniny „społeczne" oraz podatki. Pamiętajmy, że na tle europejskim, nawet na tle samego naszego regionu, mamy najniższą faktyczną wolną kwotę od podatku. Tego problemu „Strategia" nie rozwiązuje, słusznie natomiast zwraca uwagę na problem integracji społecznej migrantów.

WYIDEALIZOWANE UPROSZCZENIA

W obliczu jawnej klęski zachodnich modelów multikulturowości asymilacja imigrantów stanowi bardzo poważne wyzwanie dla bezpieczeństwa państwa i Polaków. Tutaj jednak także zachodzą wyidealizowane uproszczenia. Prawdą jest na przykład, że istnieją na Zachodzie muzułmańskie getta wprowadzające szariat zamiast krajowego prawa, że na przestrzeni ostatnich dekad islam radykalizuje się pod wpływem salafizmu stanowiącego wylęgarnię dżihadystów. Zapominamy jednak, że w okresie, gdy mocarstwa europejskie wierzyły w swoją zwierzchność, a przynajmniej we własną wartość i sens swojej cywilizacji, muzułmanie potrafili oddawać życie za ich przybrane kolonialne ojczyzny.

Przykład współczesnej historii Francji pokazuje w zasadzie dwa istotne dla zagadnienia aspekty. Po pierwsze, szanujące się państwo jest w stanie narzucić swoją cywilizację, język, a nawet tożsamość obcym. Ma się rozumieć, że na skutek niekontrolowanej imigracji Francja ostatecznie dopuściła na swoim terytorium strefy podważające jej jedność społeczną, narodową, obyczajową, a także prawo, ale trzeba pamiętać, że doprowadziły do tego w nie mniejszym stopniu sceptycyzm co do wartości własnej tożsamości i abdykacja z narzucania tejże obcym. Po drugie, jest coś, czego Francja nie dokonała, a zrealizowała wieki temu katolicka Hiszpania. Hiszpanie powielili rzymski model kolonizacji, który zakładał także wspólnotę genów. Słusznie bowiem uważano, że spokrewniony lud, w którym płynie krew Rzymu, nie będzie skory do buntu wobec metropolii-matki. Hiszpanii z pomocą przyszedł papież Aleksander VI, który mimo osobistej rozwiązłości z największą powagą podszedł do kwestii chrystianizacji Nowego Świata. Kawalerom wyruszającym za ocean zakazał możliwości małżeństwa z kobietami z własnej nacji, mogli więc oni wybierać jedynie wśród tubylczych kobiet. Dzięki temu do dziś bardziej świadomi swych korzeni i historii nazwisk Meksykanie szczycą się, że są potomkami słynnych konkwistadorów. W przeciwieństwie do Francuzów Hiszpanie podzielili się z podbitymi narodami swoją krwią i religią, czyli pełnią swojej tożsamości, co tłumaczy, dlaczego, poza przypadkami marksistowskiej indoktrynacji, ludy Ameryki Południowej nie żywią do byłej ojczyzny-matki żądzy historycznego rewanżu czy religijnego podboju celem wykazania swojej stłumionej dotychczas wyższości.

Podobieństwa czynią przyjaźnie, jak mawiał Cyceron, a powyższe przykłady są politycznym odzwierciedleniem tej maksymy. Dzisiaj nasza jedność polityczna, narodowa nie ma już zasadniczego oparcia w jedności religijnej ani nawet w wartościach prawa naturalnego, które przestają budzić powszechne uznanie. De facto wśród ogólnych „podobieństw" pozostały nam: wspólne korzenie, język i pewna postchrześcijańska, gasnąca już wspólna obyczajowość społeczna. Podczas gdy dawne rody rzymskie do tego stopnia ceniły swój ład polityczny, że wolały za niego umrzeć, niż go utracić, wątpliwe jest, aby współcześni Polacy chcieli podobnie umierać za obecny (nie)ład polityczny, pluralizm (anty)wartości czy multikulturowość. W takim razie jak skutecznie integrować imigrantów, podczas gdy same spoiwa jedności narodowej ulegają dewaluacji?

Asymilacja to nie masochizm: imigrant musi odczuwać korzyści z nowego obywatelstwa, aby się z nim utożsamiać. Podczas gdy Izrael nie stosuje ekstradycji swoich obywateli, Wielka Brytania przyciąga atrakcyjnym systemem fiskalnym, a Zjednoczone Emiraty Arabskie skutecznie chronią rodzimą gospodarkę przed wywłaszczeniem kapitałowym, czym szczególnym może nas wszystkich spajać Polska w XXI w.? Strategicznie trzeba celować znacznie wyżej niż w ściąganie taniej siły roboczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Marcin Makowski

Pokolenie domowe

Będąc przymuszonymi do zmiany trybu życia, potrafimy odkrywać jego uroki, o których wcześniej albo nie wiedzieliśmy, albo których długotrwałego znaczenia nie rozumieliśmy, mając do wyboru nieskończoną liczbę możliwości

Koronawirus zmienił nie tylko geopolitykę, logistykę, światowe struktury produkcji i przepływu kapitału. W przestrzeni społecznej, zwłaszcza w moim pokoleniu 20-, 30-latków, dokonał również małej mentalnej rewolucji, która powoli przybiera coraz wyraźniejsze kształty. Wychodzenie do biura zastępuje praca zdalna. Sport wykonywany zespołowo – rower. Wakacje za granicą – własna działka. Przypadkowe interakcje z ludźmi – zaplanowana seria spotkań z wyselekcjonowanymi znajomymi i rodziną. Od zachwytu globalizmem część z nas powoli przechodzi do stanu cyfrowej, emocjonalnej i materialnej autarkii. Rodzi się samowystarczalna i zatomizowana klasa domowa. Wbrew pozorom niektórym z nas może to wyjść na dobre.

Od marca do lipca jako społeczeństwo przeszliśmy drogę porównywalną z wyprawą Froda do Mordoru i z powrotem do Shire. Z trwogą obserwowaliśmy rosnące statystyki zgonów związanych z pandemią koronawirusa, następnie z niedowierzaniem przyjmowaliśmy kolejne obostrzenia i informacje o tym, że za siedzenie na ławce w parku, który mijaliśmy regularnie w drodze do pracy, od teraz można dostać 10 tys. zł mandatu. Stopniowo, pomimo statystyk zachorowań zatrzymujących się na tym samym pułapie, braliśmy udział w równie arbitralnym odmrażaniu gospodarki i życia społecznego, testując jego granice oraz szczelność systemu. Dzisiaj, choć zmieniło się wszystko, staramy się żyć tak, jakby nie zmieniło się nic. Tyle że to fikcja. Widzi ją zwłaszcza funkcjonująca w większych miastach grupa ludzi młodych, których spora część – bez względu na to, co wydarzy się za dwa czy trzy lata – do status quo już nie wróci.

Jak wynika z badań pracowni ARC Rynek i Opinia, 76 proc. Polaków obawia się nawrotu koronawirusa, 55 proc. deklaruje, że te obawy wpływają na ich codzienne życie, co przekłada się na konkretne decyzje związane z gospodarką. Prawie 60 proc. respondentów stwierdziło, że zrezygnuje w najbliższym czasie z podróży zagranicznych, 42 proc. oszczędza pieniądze na gorsze czasy, 36 proc. zrezygnowało z zakupu biletów na wydarzenia kulturalne. W Australii, Stanach Zjednoczonych czy Izraelu, jeszcze przed sezonem jesienno-zimowym, wraca część obostrzeń oraz kwarantanna. Jednym słowem, „nowa normalność" nie jest efektownym hasłem rzuconym przez socjologów na początku kryzysu, ale czymś, co realnie przemodeluje nasze długodystansowe decyzje konsumpcyjne i stylowo-życiowe. I tutaj warto pochylić się nad kluczowym pytaniem: W jakim kierunku?

FOT. ADOBE STOCK

UŚWIADOMIONE PRZYWILEJE

Wielu europejskich i amerykańskich badaczy kultury prognozuje, że możemy stać u progu nie tylko symbolicznego, lecz także realnego podziału społeczeństwa na klasę „indoorową" i „outdoorową". Taką, która bez większych strat może świadczyć usługi z domu, oraz tą, która – nie mając wyboru – musi wyjść, korzystać z komunikacji miejskiej, stykać się z innymi ludźmi oraz świadczyć usługi, których nie da się zdigitalizować ani zautomatyzować. Jak masowy jest to podział i jak bardzo pokoleniowy, doświadczyłem na własnej skórze. Chociaż pracuję zdalnie od ponad pięciu lat, to dopiero teraz uświadomiłem sobie – zestawiając moją codzienność z sytuacją pracowników, którzy nie mogą przenieść miejsca pracy na biurko własnego gabinetu – z jakich przywilejów korzystam.

W pierwszych tygodniach pandemii mój brat, student, stracił pracę w restauracji i hotelu, które siłą rzeczy musiały zawiesić działalność. Widok pustej ulicy Floriańskiej w Krakowie tylko uzmysławiał skalę tąpnięcia branż, które nie mogą funkcjonować bez realnych klientów i fizycznych interakcji. Moja matka, pielęgniarka, nawet w momencie najgorszych obostrzeń musiała codziennie ruszać do szpitala i przyjmować pacjentów. Ojciec, pracujący w dużym zakładzie przemysłowym, również nie miał wyboru – fabryka musiała produkować, aby utrzymać miejsca pracy. Nawet w sytuacji, gdy wśród jednej z osób zatrudnionych w biurze wykryto koronawirusa, taśma produkcyjna nie mogła się zatrzymać.

eprasa.pl cd6d820ddb

W tym samym momencie właściwie wszyscy moi znajomi-rówieśnicy powoli przystosowywali się do trybu życia, który dla mnie był czymś naturalnym. Jedni przechodzili przez ten czas małe dramaty związkowe, konfrontując się z realiami przebywania z bliskimi i dziećmi 24 godziny na dobę na stosunkowo małej przestrzeni, inni docenili ten okres, który rekompensował lata i miesiące spędzone na nadgodzinach w biurze i na delegacjach.

Wszyscy bez wyjątku zrozumieli jednak, że pomimo różnych z pozoru zawodów coś realnie ich łączy i wyróżnia. Stali się klasą domową. Pojęli, że mogą wyjść do hipermarketu w maseczce i rękawiczkach raz na tydzień, podczas gdy sprzedawczyni za kasą spędza w tym samym miejscu pięć dni w tygodniu. Stykając się z setkami osób dziennie. Uświadomili sobie, jak niestandardowe wiodą życie, gdy przy powszechnych cięciach pensji, redukcjach etatów, upadkach całych firm w ich stosunkowo bezpiecznych sektorach z branży IT niektórzy dostawali zatwierdzone wcześniej podwyżki albo odbierali samochody służbowe. W tym czasie ich główny problem polegał na tym, czy wybrać eleganckiego sedana, czy rodzinnego SUV-a. Pamiętam, jak pojechałem w kwietniu z kolegą na rower, by obejrzeć obydwa samochody przed salonem, do którego nie można było wejść ze względu na restrykcje sanitarne. To było doświadczenie z pogranicza równoległej rzeczywistości.

MAZURY ZAMIAST BANGKOKU

Z biegiem tygodni, luzowaniem restrykcji, możliwością wyjścia poza ściany własnych kawalerek i apartamentów to, co początkowo wydawało się doświadczeniem ekstremalnym, niepostrzeżenie zmieniło nas na głębszym i niespodziewanym poziomie. Nie mogąc kupić „taniego lotu" przez Katar do Tajlandii, nagle moje pokolenie zaczęło wykonywać czynności – i odnajdywać się w nich – które jeszcze niedawno zarezerwowane były dla naszych rodziców wychowanych w PRL. Najpierw z rozbawieniem, później z zainteresowaniem, a na końcu z pełnym zaangażowaniem obserwowałem twitterowe i facebookowe wpisy kolegów i koleżanek, którzy chwalili się statusem działkowca. Pokazywali, co wyrosło im na balkonach. Zaczęli szukać domków letniskowych w górach i na Mazurach. Dopiero gdy dołączyłem do tego trendu, mogłem pojąć jego skalę. O ile krótkoterminowy wynajem mieszkań w formule airbnb poniósł dotkliwe i po części nieodwracalne straty, o tyle towarem deficytowym stał się własny kąt, kawałek ogródka i miejsca na rozpalenie grilla poza miastem. Niemal każde sensowne ogłoszenie, które znajdowałem na portalach z nieruchomościami, po wykonaniu telefonu do pośrednika było już sprzedane.

Ja i wielu moich rówieśników zaczęliśmy już dzisiaj podejmować decyzje, które odkładaliśmy na wiek okołoemerytalny. Kawałek ziemi w Beskidzie Żywieckim albo pod Węgorzewem stał się nagle towarem pożądanym znacznie bardziej niż nurkowanie na Bali. Dlaczego? Ponieważ był namacalny, nasz i dostępny nawet wtedy, gdy świat na nowo będzie musiał się zatrzymać. Nigdy w życiu, wrzucając w media społecznościowe zdjęcia z pobytu na terenach rekreacyjnych rodziców moich przyjaciół, nie dostałem tylu prywatnych zapytań od polityków i dziennikarzy, czy i za ile można te miejsca wynająć.

Równocześnie do absurdalnych wręcz rozmiarów szoku podażowego wzrosło zapotrzebowanie na zakup rowerów. Jedynego środka rekreacji, który łączy bezpieczeństwo, ruch, możliwość zwiedzania i poczucie wolności. Branża ze względu na braki towarowe i chwilowo nieczynne fabryki w Chinach na pniu sprzedawała najbardziej popularne modele i rozmiary ram, na które dzisiaj trzeba czekać aż do jesieni. Po raz pierwszy przesiadając się na rower przełajowy, miałem okazję realnie odkryć, jak mało wiem o regionie, w którym mieszkam od 11 lat, i jak bardzo różni się percepcja świata widzianego znad dwóch kółek.

CO W NAS Z TEGO ZOSTANIE?

Z czasem pojawił się kolejny nowy element – moda na rower połączona z rywalizacją. Chociaż do tej pory nigdy nie przejechałem więcej niż 40 km za jednym razem, obserwując dystanse pokonywane przez przyjaciół, którzy udostępniali je na przeróżnych aplikacjach, w ciągu niespełna dwóch tygodni sam porwałem się na ponad 400 km. Podkrakowskie doliny Ojcowa, które zarezerwowane były mentalnie na podróż samochodem, stały się weekendową przygodą z przystankami w lokalnych restauracjach, które na nowo zaczynały przeżywać oblężenie. Moje miasto Kraków w ciągu dwóch miesięcy otworzyło kilometry nowych tras rowerowych, włącznie z najdłuższą w Europie kładką nad ulicami i torami kolejowymi. Również dopiero teraz doświadczyłem obecnych na co dzień w Amsterdamie „korków rowerowych". I akurat z tego powodu w mieście smogu jest się z czego cieszyć.

Postępująca samowystarczalność, emocjonalna autarkizacja, społeczna selekcja relacji i miejsc, w których spędzamy czas wolny, z pewnością niesie za sobą wiele negatywnych konsekwencji. Żadne społeczeństwo nie zamieni się z dnia na dzień w ceniących domatorstwo i pielęgnujących ogródki hobbitów i żadne nie powinno. Paradoksalnie, będąc przymuszonymi do zmiany trybu życia, potrafimy jednak odkrywać jego uroki, o których wcześniej albo nie wiedzieliśmy, albo których długotrwałego znaczenia nie rozumieliśmy, mając do wyboru nieskończoną liczbę alternatyw. Sam coraz częściej łapię się na tym, że w weekend nie włączam programów informacyjnych, ale Domo+. Nie szukam newsów, ale nowych tras rowerowych. Urlop zaplanowałem nie w Barcelonie, ale gdzieś pod Żywcem. Doceniłem gotowanie, spacery, wartościowe relacje, robienie rzeczy wolniej i dokładniej. Mam nadzieję, że ze wszystkich zmian w świecie pokoronawirusowym właśnie te okażą się trwałe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Adam Zubek

Polska od spodu

Pierwszorzędnym składnikiem geologicznego przepisu na Polskę jest czas. Potrzeba było go bardzo dużo. Około 1,5 mld lat zajęło budowanie fundamentów. Potem powstały piwnice z niezwykłymi skarbami. W ciągu ostatnich 20–30 mln lat została ukształtowana zasadnicza bryła naszego domu

Podróż samochodem lub pociągiem w poprzek środkowej lub północnej części Polski czy nawet spojrzenie z lotu ptaka nie dostarczają jakichś niezwykłych wrażeń krajobrazowych – owszem, malownicza, ale monotonna, płaska lub lekko pofalowana równina, częściowo zalesiona, z licznymi jeziorami – to wszystko. Nic nie wskazuje na to, że jadąc z Poznania do Torunia czy ze Szczecina do Koszalina, przekraczamy jedną z najważniejszych w tej części świata, fundamentalną granicę geologiczną, strefę głębokich rozłamów w skorupie ziemskiej. Granicę, ale jednocześnie kolebkę Europy.

FUNDAMENT

Pierwszy istnienia tej granicy domyślił się młody polski absolwent wiedeńskiego uniwersytetu, Wawrzyniec Teisseyre, który pod koniec XIX w. z młotkiem geologicznym w ręku przemierzał ziemie polskie. To on wykreślił na mapie Polski niezwykłą linię przecinającą nasz kraj po przekątnej – od północnego zachodu na południowy wschód, mniej więcej od Koszalina przez Warszawę do Lublina. Po kilkunastu latach potwierdził istnienie tej granicy badaniami magnetycznymi niemiecki badacz Alexander Tornquist (od tego czasu owa linia znana jest wśród geologów jako linia Teisseyre'a-Tornquista). Żaden z nich nie mógł jednak wiedzieć, co właściwie odkryli. Nie istniała jeszcze teoria płyt litosfery, a Alfred Wegener nie sformułował jeszcze swojej absurdalnej hipotezy o tym, że kontynenty mogą wędrować.

A właśnie to, co znajdowało się na wschód od wyznaczonej przez nich linii, było prastarym, powstałym w prekam-

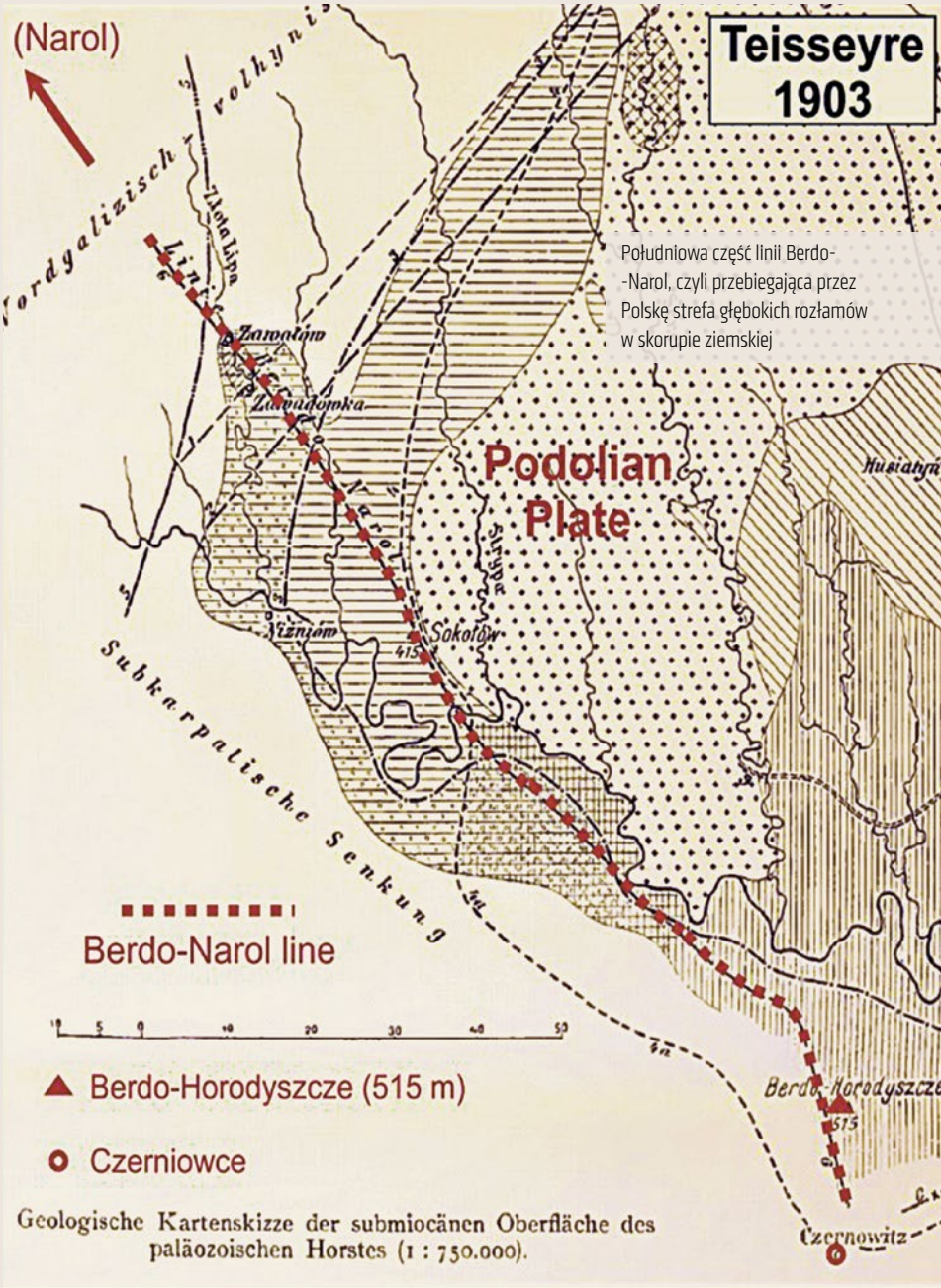

Południowa część linii Berdo-Narol, czyli przebiegająca przez Polskę strefa głębokich rozłamów w skorupie ziemskiej

eprasa.pl cd6d820ddb

brze (2–3 mld lat temu), jądrem kontynentalnym, zwanym przez geologów Balitką, która wędrując po powierzchni Ziemi, doklejała do siebie w różnych okresach dziejów planety różne fragmenty dawnych kontynentów, tworząc nie tylko Polskę, lecz także to, co dziś nazywamy Europą. Jednak gdyby porównać mapę tego zalążka Europy ze współczesną mapą, okazałoby się, że w tej proto-Europie znalazłoby się miejsce dla krajów skandynawskich, nadbałtyckich, sporego kawałka Rosji i Ukrainy i mniej więcej połowy Polski. Podczas gdy „cały ten Zachód" – Niemcy, Francja, Anglia, Włochy czy Hiszpania – był w najlepszym razie tylko piaszczystym osadem na dnie oceanu.

Jednak także platforma wschodnioeuropejska przez dużą część swoich dziejów znajdowała się pod wodą – świadczy o tym gruba pokrywa skał osadowych wieku prekambryjskiego, paleozoicznego, mezozoicznego, osiągająca niekiedy miąższość 6 km. Dopiero po tak przygotowanym fundamencie kilkaset tysięcy lat temu „przejechał walec i wyrównał" – lądolód skandynawski przysypał wszystko piaskiem, żwirem i głazami. Została zakryta cała urozmaicona struktura podłoża nizin polskich.

ANOMALIA

Nie ma oczywiście żadnych szans, żeby gdziekolwiek na terenie Polski obejrzeć na powierzchni ten najbardziej „fundamentalny fundament" naszych ziem. Do niedawna wydawało się też, że nie warto się nim interesować od strony geologicznych poszukiwań. Wiadomo bowiem, że najzasobniejszymi magazynami użytecznych surowców są tereny o urozmaiconej budowie geologicznej – te, które uczestniczyły w powstaniu gór i wyżyn. A jednak wśród monotonnej budowy geologicznej Polski północno-wschodniej udało się wypatrzyć pewną anomalię. Pierwsi dostrzegli ją mieszkańcy Suwalszczyzny, którzy już przed wojną opowiadali o dziwnych zachowaniach przelatujących nad zachodnią Suwalszczyzną samolotów z pobliskiej bazy szybowcowej (nad jeziorem Szelment), którym najwidoczniej wariowały przyrządy nawigacyjne. Zauważali ją ze zdumieniem w swoich kompasach wędrowcy, podobno przed wojną mówili też o niej Niemcy, którzy z pobliskich Prus zapuszczali się tu na swoich samolotach. Istnienie anomalii potwierdziły przeprowadzone przed wojną pomiary magnetyczne i grawimetryczne. A tajemnicę rozwikłali dopiero w latach 60. ubiegłego wieku geolodzy z Państwowego Instytutu Geologicznego – Jerzy Znosko i Jan Skorupa. Wykonane wiercenia wykazały obecność rud żelaza, tytanu i wanadu, co stało się sensacją i rozbudziło wielkie nadzieje. Zagadka anomalii została więc wyjaśniona, a skutek był taki, że w epoce Gierka postanowiono zamienić Suwalszczyznę w zagłębie górnicze (na szczęście projekt szybko upadł i dla współczesnych zostały ocalone zielone płuca Polski).

Z pozostałości ówczesnych Himalajów zbudowany jest fundament zachodniej i środkowej Polski

Czy rzeczywiście ten najgłębszy fundament naszych ziem nie ma nam nic do zaoferowania? Okazuje się, że trzeba tylko nauczyć się szukać. Natura dość przemyślnie ukryła różne skarby w skałach, które nawarstwiły się na krystalicznym podłożu platformy. Tak zwaną nieckę nadbużańską (region lubelski) na południowo-wschodniej krawędzi Platformy Wschodnioeuropejskiej wypełniły przed 350 mln lat osady karbonu. To dzisiaj nasze Lubelskie Zagłębie Węglowe. Warto było też szukać pod dnem Morza Bałtyckiego. Eksploatowane z platformy wiertniczej Petrobalticu złoża ropy naftowej są całkiem obiecujące. Nie wiadomo jeszcze, jak ułożą się losy innej naszej wielkiej nadziei ostatnich lat, też związanej z tą polską częścią Platformy Wschodnioeuropejskiej – gazu łupkowego. Bo to właśnie tu, na zachodnim obrzeżu wschodnioeuropejskiej platformy, zaistniały na początku ery paleozoicznej, mniej więcej 500 mln lat temu, warunki do tworzenia się węglowodorów. Jakkolwiek pierwsze próby ustalenia wielkości tych zasobów nie dały jednoznacznych wyników, można mieć nadzieję, że wraz z postępem technologii wydobycia zostaną w nieodległej przyszłości zagospodarowane.

Wypada dodać, że musiały istnieć wówczas na świecie, w prekambrze, jeszcze inne fragmenty dzisiejszej Polski. Geolodzy natrafili na prawdopodobnie oderwany 750 mln lat temu „polski kawałek" Baltiki w... amazońskiej części Ameryki Południowej. Inny fragment wchodzi prawdopodobnie w skład Alaski. W nasze strony przywędrował z kolei fragment skorupy kontynentalnej zwany Masywem Czeskim. Dzięki temu możemy również w Sudetach zetknąć się z najstarszymi ziemskimi skałami. Za skały prekambryjskie uważa się gnejsy Gór Sowich oraz skały metamorficzne Gór Orlickich, Gór Bystrzyckich, Masywu Śnieżnika oraz Gór Izerskich. Z miejscami tymi związane jest występowanie rud uranu, żelaza, ołowiu i srebra. Z tej części polskich Sudetów pochodzą także znane marmury (Zielona i Biała Marianna).

ROZBUDOWA

Jak w takim razie, gdzie i kiedy uformowała się reszta terytorium przyszłej Polski? A zwłaszcza ta część, na której Mieszko założył swoje państwo? Ówczesne kontynenty, a także ich mniejsze fragmenty zwane terranami, prowadziły bardzo „swobodny tryb życia' – przemieszczały się po całym globie, zderzając się, łącząc w pary, niejednokrotnie sklejały się w jedną całość. Wszystkim tym zbliżeniom towarzyszyły mniej lub bardziej gwałtowne zjawiska i procesy, m.in. wulkanizm, fałdowanie skał osadowych, pękanie sztywnych fragmentów kontynentów, ich wydźwiganie lub zapadanie.

Coś takiego, i to dwukrotnie, przytrafiło się naszej Baltice w erze paleozoicznej (550–250 mln lat temu), a potem, po raz trzeci, już w naszej erze, kenozoicznej. W początkach ery paleozoicznej, w okresie zwanym ordowikiem, doszło do kolizji z mikrokontynentem Awalonia. Wzdłuż zachodniej krawędzi Platformy, a więc także wzdłuż naszego odcinka linii T-T, powstał wielki łańcuch górski – tzw. orogen kaledoński, którego fragmenty widoczne są dziś na terenie Norwegii i Ameryki Północnej. Przypuszcza się, że widocznym u nas na powierzchni fragmentem tego górotworu są Góry Świętokrzyskie. W Polsce północno-zachodniej korzenie tego górotworu stanowią głębokie podłoże. Przybył nam więc wtedy spory pas podłoża rozciągający się wzdłuż linii T-T. Ale wciąż nie było miejsca na państwo Polan. Dopiero następny okres wzmożonej górotwórczości w późniejszym paleozoiku (350–200 mln lat temu) znany pod nazwą orogenezy hercyńskiej sprawił, że zaistniało

eprasa.pl cd6d820ddb

coś, co można nazwać Europą Zachodnią i Środkową. Z pozostałości ówczesnych Himalajów zbudowany jest fundament Polski zachodniej i środkowej.

Doszło wówczas też do podpowierzchniowych ruchów magmy, tzw. intruzji, które zwykle towarzyszą fałdowaniu, a potem wypiętrzaniu nowych gór. Skały te, które „ujrzały światło dzienne" dopiero podczas kolejnych ruchów górotwórczych, to dzisiaj granitowe masywy Tatr Wysokich oraz Karkonoszy. Zaistniały także intruzje, które, gdyby nie działalność człowieka, nigdy nie „ujrzałyby światła dziennego". Dotarliśmy do nich w kamieniołomach m.in. Strzegomia i Strzelina. Zawdzięczamy im m.in. obecną, trzecią z kolei, kolumnę Zygmunta w Warszawie – jej trzon wykonany jest z granitu strzegomskiego. Różnorodność skał powstałych w erze paleozoicznej jest znacznie większa. Sjenity, melafiry, bazalty, gabra, piaskowce Gór Świętokrzyskich ozdabiają wiele prestiżowych budowli w Polsce i za granicą.

Wawrzyniec Teisseyre jako pierwszy wyznaczył linię, która wskazuje przebiegającą przez Polskę granicę geologiczną FOT. WIKIPEDIA

ZAPEŁNIANIE PIWNIC

Wydarzenia tej burzliwej ery uczyniły Polskę krajem zasobnym. W dwóch zapadliskach przedgórskich, w okresie od 350 do 300 mln lat temu, powstały pokłady węgla kamiennego, tworząc nasze Zagłębie Górnośląskie, o jednych z największych na świecie zasobach, oraz drugie – Dolnośląskie Zagłębie Węglowe, które nie przetrwało doby transformacji. Tego samego wieku są złoża Lwowsko-Wołyńskiego Zagłębia Węglowego, którego częścią jest nasze Zagłębie Lubelskie. Bardzo interesujące surowce objawiły się w obrębie Przedgórza Sudeckiego. W dwóch miejscach (okolice Złotoryi i Złotego Stoku) występuje złoto, oprócz tego złoża rud niklu, barytu (ten także w Górach Świętokrzyskich) i arsenu. Nie są to jednak złoża duże. Ich eksploatacja okazała się nieopłacalna.

Po orogenezach ery paleozoicznej można już mówić o skonsolidowaniu się podłoża naszej części Europy. Jednak ciągle nie oznacza to, że byłoby już na czym budować. Wprost przeciwnie. Następne 200–250 mln lat ziemie dzisiejszej Polski spędziły przeważnie pod wodą. Już w ostatnim okresie ery paleozoicznej, w permie, wkroczyło od północnego zachodu morze i zdarzenie to stało się prawdziwym błogosławieństwem dla Polski. Osady, które odłożyły się na dnie tego płytkiego morza, zbudowały coś, co można nazwać największym polskim zagłębiem, przez fachowców nazywanym Zagłębiem Cechsztyńskim (od nazwy młodszej części permu). W tym płytkim morzu cyklicznie osadzały się gipsy, anhydryty, sole potasowe i kamienne (wydobywane w rejonie Inowrocławia i Kłodawy). W części południowej, u podnóża ówczesnych Sudetów, gromadziły się osady, które dały początek rudom miedzi i srebra. W skałach tego okresu (dolomit cechsztyński) gromadziły się ropa naftowa i gaz ziemny – rozpoznane i prognozowane zasoby sprawiły, że region ten stał się naszym głównym zagłębiem ropo- i gazonośnym.

URODA

Mimo zbudowania przez naturę w erze paleozoicznej solidnych fundamentów przyszłej Polski w kolejnych okresach prawie cały nasz region pozostawał dnem morskim. Przez prawie całą erę mezozoiczną (250–65 mln lat temu), w triasie, jurze i kredzie, na dnie ówczesnych mórz osadzały się kilometrowe warstwy iłów, piasków, wapieni, dolomitów. Na większości obszaru Polski budują one kolejne kondygnacje naszego „domu". Możemy je podziwiać w urwistych ścianach Doliny Kościeliskiej i na szczytach Tatr Zachodnich. Pod skałą tego wieku na Hali Pisanej w Tatrach śpią rycerze, którzy, gdy przyjdzie czas, uratują Polskę. Mezozoik to także nasza Wyżyna Krakowsko-Częstochowska z Wawelem, Jasną Górą i Orlimi Gniazdami oraz jaskiniami, które zamieszkiwali najdawniejsi „Polacy". Po plażach jurajskich mórz przechadzały się dinozaury, pozostawiając odciski łap. Opolszczyzna, Śląsk, region świętokrzyski są wręcz zadeptane przez dinozaury. A liczne szczątki dinozaurów można znaleźć w kamieniołomie w Krasiejowie. Mezozoik to także bajkowe Góry Stołowe w Kotlinie Kłodzkiej.

Czy z czegoś takiego można mieć pożytek? Północne i północno-wschodnie obrzeżenie Zagłębia Górnośląskiego budują dolomity kruszconośne, będące źródłem rud cynku i ołowiu – wydobywamy je obecnie z dwóch złóż: Balin-Trzebinka oraz Olkusz i Pomorzany. W rejonie Łęczycy i Częstochowy oraz w regionie kieleckim powstały wtedy nasze skromne

eprasa.pl cd6d820ddb

złoża rud żelaza. Nie są to zasoby imponujące, ale eksploatowane od czasów prehistorycznych, w okresie średniowiecza, a zwłaszcza w wiekach XVI–XIX, odegrały ważną rolę w narodzinach polskiego przemysłu. To właśnie tu funkcjonował staropolski okręg przemysłowy, którego kontynuacją stał się przedwojenny Centralny Okręg Przemysłowy. W tym samym okresie w wapieniach jurajskich na obrzeżach Gór Świętokrzyskich utworzyły się skały, których znaczenie dla rozwoju cywilizacyjnego sporej części Europy trudno przecenić. Były to krzemienie służące człowiekowi pierwotnemu do wyrobu narzędzi. Kopalnia górnojurajskich krzemieni w Krzemionkach Opatowskich, funkcjonująca już w neolicie, jest jedną z najstarszych na świecie.

Gdy mezozoiczne morza wycofały się wreszcie z naszych ziem, ziała jeszcze na południu wielka luka – zamiast Karpat – otchłań oceanu Tetydy. Jednak ten istniejący od milionów lat ocean właśnie się kurczył i zanikał. Od południa nacierała w kierunku naszego kontynentu płyta afrykańska, popychając przed sobą liczne mniejsze płyty. Nacisk płyty afrykańskiej spowodował sfałdowanie grubych warstw osadowych nagromadzonych na jego dnie. Tak powstały płaszczowiny tatrzańskie, a później na ich przedpolu, z osadów fliszowych, płaszczowiny, które budują nasze Beskidy.

MEBLOWANIE

Teraz pozostało naturze już tylko „poustawiać gabaryty". Wypiętrzony został łańcuch Karpat. Stare góry (nasze Sudety) zostały odmłodzone metodą dość drastyczną – zerodowane i zrównane popękały i zostały pocięte uskokami. Szczególnie pięknym przykładem krajobrazu tego rodzaju jest strefa tzw. Sudeckiego Uskoku Brzeżnego odcinającego Sudety od nizinnej części Dolnego Śląska (Nizina Śląska nie jest niczym innym jak też... Sudetami, tyle że nie wypiętrzonymi). Skutkiem ubocznym tego odmłodzenia starych gór było pojawienie się wulkanów. Na Dolnym Śląsku, jak się dobrze rozejrzeć, można znaleźć kilkadziesiąt wyraźnych śladów po stożkach wulkanicznych. Pozostałością po najwyższym z ówczesnych wulkanów jest Góra św. Anny na Opolszczyźnie.

Te same siły, które wypiętrzyły Karpaty i odmłodziły Sudety, sprawiły zapewne, że na północnym przedpolu tych gór pojawiły się dziwne wąskie, długie i dość głębokie (do 200–300 m) zapadliska, zwane przez geologów rowami. Wraz z piaskami i iłami gromadziła się tam materia organiczna. Dla nas, po kilku milionach lat, oznacza ona elektryczność. Turoszów, Konin, Bełchatów to jedne z najbogatszych złóż węgla brunatnego na kontynencie.

Ta sama materia organiczna, która w okresie powstawania Karpat „zaplątała się" w osadach fliszu, po kilku milionach lat stała się sprawcą największej chyba w dziejach cywilizacji rewolucji surowcowo-energetycznej. To właśnie z niej utworzył się „olej skalny", który w roku 1850 przedestylował skromny lwowski prowizor farmacji Ignacy Łukasiewicz. Dwa lata później zabłysły w lwowskim szpitalu pierwsze lampy naftowe. Dzisiaj świat wydobywa ok. 3 mld ton ropy rocznie. Dla nas jednak natura nie była pod tym względem zbyt hojna.

Najmłodsze dary natury, z czasów poprzedzających epokę lodowcową, to osady złożone na dnie wysychającego morza na północnym przedpolu Karpat. Zapanowały tu warunki do tzw. sedymentacji chemicznej. Jej właśnie zawdzięczamy pokłady gipsu, złoża soli w Wieliczce i Bochni oraz jedne z najbogatszych na świecie złóż siarki (Tarnobrzeg, Machów).

Mogłoby się wydawać, że właśnie wtedy, w okresie trzeciorzędu, mniej więcej 5 mln lat temu, proces formowania terytorium przeznaczonego dla Polaków dobiegł końca. Jednak nie. Mieszko ze swoimi Polanami byliby ciągle bez szans – całą Polskę środkową i zachodnią zajmował od dłuższego czasu rozległy zbiornik wodny, wielkie jeziorzysko. Pozostały nam po nim w podłożu tzw. poznańskie pstre iły. Zapewne z nich jakiś czas później pierwsi „Polacy" lepili swoje pierwsze garnki.

ZIEMIA POLAN

Jest jednak także pewna ważna dla naszej tożsamości wiadomość sprzed tych 2–3 mln lat – wydaje się, że istniał już zaczątek Wisły, a w każdym razie coś, co przypominało jej górny odcinek, od pra-Tatr gdzieś do Zawichostu. Byłyby więc już warunki do powstania państwa Wiślan. I kiedy wydawało się już, że owo jezioro śródpolskie wypełnione osadami wysycha oraz zanika i będzie gdzie założyć państwo Polan, nadciągnął kataklizm z północy – lądolód skandynawski. Nasuwał się kilkakrotnie, wycofywał się w góry Skandynawii i powracał, pozostawiając po sobie za każdym razem księżycowy krajobraz. Przeorał podłoże i pokrył grubą, niekiedy ponad 200-metrową warstwą piasków, żwirów, glin i głazów nie tylko powierzchnię plioceńskiego jeziorzyska, lecz także całe terytorium przyszłej Polski, z wyjątkiem obszarów górskich.

W miejsce żyznych iłów zafundował nam gleby najgorsze z możliwych. Chociaż pozostawił nam też skromną rekompensatę – lessy. Zmienił krajobraz – zrównał dawniejsze wzgórza i pagóry, a w to miejsce wzniósł swoje moreny, niekiedy całkiem wysokie. Wieżyca (329 m n.p.m.) na Kaszubach jest najwyższą górą polodowcową na całym Niżu Środkowoeuropejskim. Wyżłobił liczne doliny i bezodpływowe zagłębienia. Za każdą swoją bytnością zmieniał bieg rzek. Za jego sprawą powstały w poprzek Polski gigantyczne pradoliny. Ale jego dzieckiem jest również Bałtyk.

Roślinność toczyła z lądolodem nierówną, ale w końcu zwycięską walkę. Zwycięską do tego stopnia, że gdy kilka tysięcy lat po ustąpieniu lodowców zjawili się tu pierwsi osadnicy, zmuszeni byli ogniem i toporem wyrąbywać sobie w leśnej gęstwinie polany pod swoje pola. I tak pojawili się Polanie. Wykorzystali też znakomicie inny dar epoki lodowcowej. Wyżłobione przez lodowiec doliny i bezodpływowe zagłębienia wypełniła woda, tworząc naszą „krainę tysiąca jezior". W rzeczywistości jezior o powierzchni powyżej hektara mamy ponad 7 tys. Dawniej mogło ich być kilkakrotnie więcej. Wiele ośrodków osadniczych powstawało właśnie nad jeziorami czy wręcz na jeziorach. Na wyspie zbudowano przed prawie trzema tysiącami lat Biskupin. Grodzisko w Gieczu powstało na przełomie IX i X w. na półwyspie nieistniejącego już jeziora. Ostrów Lednicki – ośrodek o kluczowym znaczeniu w czasach pierwszych Piastów – również został założony na wyspie Jeziora Lednickiego. Podobnie było z pierwszymi osadami na terenie Kruszwicy. Gnieźnieńskie Wzgórze Lecha również położone jest w pobliżu jeziora. Wyjątkiem był Poznań, ale i tu najstarsza część miasta powstała na wyspie – Ostrowie Tumskim, wyspie na Warcie.

Od tego momentu głównymi sprawcami dalszych przeobrażeń ziem między Wisłą, Odrą i Bugiem stali się ich gospodarze. Jeżeli popełnią błędy, to muszą się liczyć z reakcją natury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

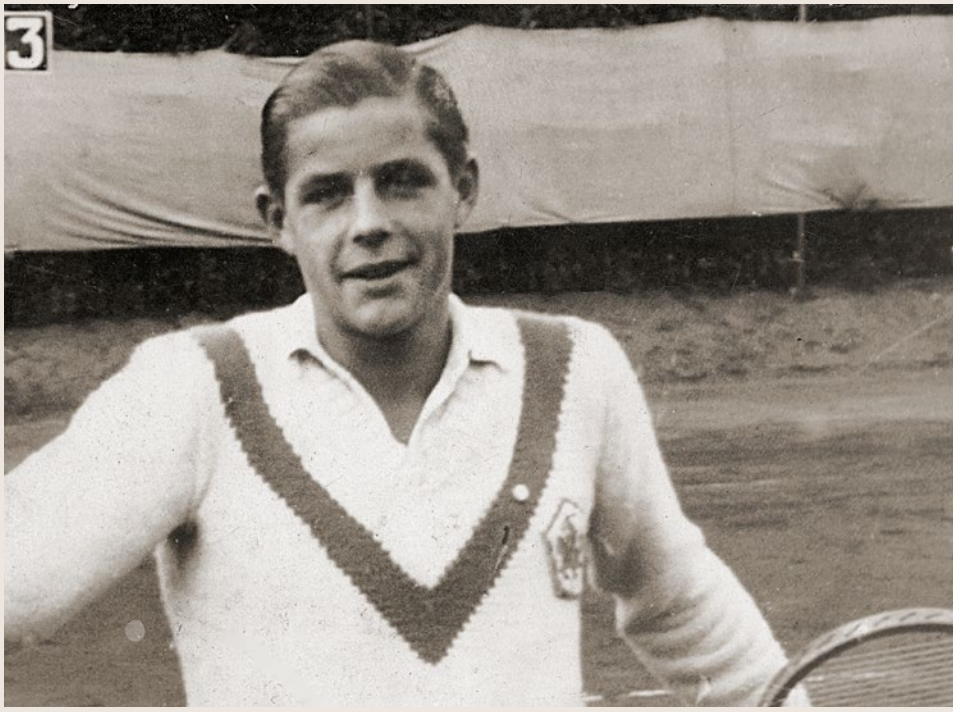

FOT. NAC

Kryptonim Rakieta

Tomasz Zbigniew Zapert

„Polscy sportowcy piętnują zdrajcę renegata Skoneckiego" – grzmiał 8 czerwca 1951 r. tytuł czołówki „Przeglądu Sportowego". Kilkanaście dni wcześniej najwybitniejszy polski tenisista w historii wybrał wolność

Władza ludowa nie kryła zdumienia. Parę miesięcy wcześniej – na wniosek macierzystego klubu CWKS Warszawa – Władysława Skoneckiego wyróżniono prestiżowym wtedy tytułem Mistrza Kultury Fizycznej. Z racji spektakularnych sukcesów międzynarodowych należał do najbardziej rozpoznawalnych postaci swoich czasów. Wielokroć wygrywał z tenisistami z Zachodu, co włodarzy PRL rajcowało szczególnie, bo dyscyplina uchodziła za wyjątkowo mało plebejską, przedstawiciele demoludów zaś z reguły zbierali w niej cięgi. Skoneckiego więc wspierano, eksponując zagraniczne zwycięstwa propagandowo, jako kolejny przejaw wyższości komunizmu nad imperializmem. Pierwszą z tych ideologii poznał w kolebce.

Z SYBERII DO ŁODZI

Urodził się 100 lat temu – 13 lipca 1920 r. – w Tomsku. Czy jego przodków ewakuowano z Łodzi w głąb Rosji po wybuchu pierwszej wojny światowej, czy też zesłano za udział w rewolucji roku 1905, pozostaje zagadką. Nie wiadomo też, kiedy i jak powrócił na ojczyzny łono: albo w następstwie wymiany ludności po traktacie ryskim, albo nielegalnie przez zieloną granicę. Sergiusz Piasecki i opisani przezeń w „Kochanku Wielkiej Niedźwiedzicy" przemycali z Sowietów do II Rzeczypospolitej także ludzką kontrabandę.

Młodość Skonecki spędził w Łodzi. Tam zdał maturę i poznał tenisowe abecadło, podpatrując ówczesnych czempionów kortów – braci Jerzego i Maksa Stolarowów, potomków lokalnego rosyjskiego kupca bławatnego, któremu rewolucja bolszewicka zamknęła największy rynek zbytu, czym okroiła jego majątek. U schyłku międzywojnia systematycznie podnoszący sportowe kwalifikacje nastolatek stał się największą nadzieją białego sportu (czy w dobie radykalizacji poprawności politycznej można jeszcze używać bezkarnie tego sformułowania?).

„Tuż przed wojną wydawało się, że krajowy tenis jest u progu międzynarodowych sukcesów. Józek Hebda, bracia Tłoczyńscy, Adam Baworowski grali coraz lepiej, a po piętach deptał im Władek Skonecki. Ku memu żalowi – w finale zmagań juniorskich pokonał Bohdana Tomaszewskiego, mego sparingpartnera" – wspominała pierwsza dama polskiego tenisa Jadwiga Jędrzejowska.

Druga wojna światowa spowodowała niemal sześcioletni rozbrat naszej tenisowej nadziei ze sportem. Przymusowa przerwa w grze bez wątpienia sprawiła, że nie wkroczył na sportowy olimp. Chociaż były też inne przyczyny – przede wszystkim rozrywkowe usposobienie. Równie silnie jak tenis kochał kobiety i hazard. Ale w pierwszej – używając ówczesnej retoryki – pięciolatce Polski Ludowej równych sobie na kortach między Bałtykiem a Tatrami nie miał. Osiągnięcia wzmacniał mit, jakbyśmy dziś rzekli, celebryty.

„Regularnie bywał w modnych lokalach gastronomicznych i najpopularniejszych kurortach, grywał w karty i na wyścigach konnych, imponował elegancją ubioru, nie tylko na basenie Legii otaczały go coraz to inne, lecz zawsze urodziwe niewiasty" – zapamiętał red. Andrzej Roman.

ANGIELSKA ROBOTA

Dolce vita skończyło się w maju 1951 r., gdy po rozegranym w Zurychu meczu Pucharu Davisa Szwajcaria –

eprasa.pl cd6d820ddb

Polska pozostał za żelazną kurtyną. Czy wiązało się to ze „Sprawą agenturalnego opracowania o zabarwieniu szpiegowskim pod kryptonimem Rakieta", prowadzoną przez Wydział IV Departamentu V MBP od 1 sierpnia 1950 r.?

Niespełna miesiąc wcześniej uczestniczył w spotkaniu rozgrywanym w ramach Pucharu Davisa ze Szwecją w Båstad. Do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wpłynęło wówczas doniesienie o kontaktach sportowca z Robertem Sneddonem, eksdyplomatą z ambasady Albionu w Warszawie, podejrzewanym o działalność szpiegowską na rzecz wywiadu Wielkiej Brytanii.

Ustalono, że Anglik w latach 1945–1949 zaopatrywał Polaka w: „sprzęt sportowy firm »Slazenger«, »Donnay«, »La Société Chemise Lacoste« i »Kappa«, odzież »Burberry«, kosmetyki »Yardley«, herbaty »Lipton« i »Earl Grey«, słodycze »Cadbury«, papierosy »Lucky Strike«, »Pall Mall« i »Chesterfield«, whisky »White Horse« i gin »Gordon's«".

Skoneckiego objęto dyskretną inwigilacją. „Wiedzie rubaszny tryb życia, utrzymuje znajomości z elementem kapitalistycznym i bikiniarskim, wylewny towarzysko, łasy na wdzięki pań" – napisano na kanwie obserwacji tajniaków. 12 maja 1951 r. udał się w podróż na kolejną konfrontację Pucharu Davisa. Do Szwajcarii. Niezależnie od rezultatu zespół miał stamtąd jechać na zawody wielkoszlemowe do Paryża.

Gdy Biało-Czerwoni byli już pod Alpami, z Warszawy nadeszła poufna depesza adresowana do przewodniczącego sekcji tenisa w GKKF Jerzego Olszowskiego, sprawującego pieczę nad kadrą. Szef GKKF, powołując się na MBP, ostrzegał, że Skonecki może pozostać za granicą, i żądał, żeby cały zespół bezzwłocznie wracał do Polski.

W tamtych ponurych czasach nasi sportowcy wyjeżdżający na Zachód oddawali paszporty kierownikowi ekipy. Jakim cudem Skonecki przejął ów dokument od Olszowskiego? Po meczu nie pojawił się już w pensjonacie Die Nelke (Goździk), pozostawiając w recepcji list z informacją, że na lotnisko dotrze sam. Potem zatelefonował do miejscowego portu lotniczego, zawiadamiając, że rezygnuje z podróży, ponieważ zostaje na Zachodzie, i poprosił, by jego komunikat przekazać opiekunowi polskich tenisistów. Tak też uczyniono, a Olszowski natychmiast nadał newsa do Warszawy, skąd równie błyskawicznie nadeszła odpowiedź, by... gonił zbiega!

FRANCUSKI ŁĄCZNIK

Emocjonujący pościg pieczołowicie zrekonstruował red. Andrzej Fąfara: „Olszowski domyślił się, iż trop wiedzie do nadsekwańskiej metropolii. Załatwiając francuską wizę, spóźnił się na odjeżdżający o 16.00 ekspres Zurych – Paryż. Samochodem konsula postanowił alpejskimi serpentynami gonić pociąg. Udało się! W ostatniej chwili wskoczył do wagonu w Bazylei. [...] Rano szef polskiego tenisa stawił się na kortach imienia Rolanda Garrosa [...] ale Skonecki odmawiał jakichkolwiek kontaktów. Nie chciał się też stawić w polskiej ambasadzie w Paryżu".

Za to Olszowski, podejrzany o działalność zagrażającą bezpieczeństwu Francji, trafił do lokalnego aresztu. „Express Wieczorny" relacjonował: „Wyprowadzony z lotniska został siłą wepchnięty do auta policyjnego, a w czasie jazdy do urzędu policyjnego obrzucono go wyzwiskami i grożono rewolwerem. W urzędzie policyjnym został przemocą rozebrany do naga. Książkami i przedmiotami, które przywiózł ze sobą ze Szwajcarii, bito go po głowie". Zwolniony po 48 godzinach wrócił do kraju, gdzie wkrótce przybył na posiedzenie rozszerzonego prezydium sekcji tenisa GKKF. Zgodnie z obyczajem epoki jednogłośnie potępiono Skoneckiego, piętnując przy okazji „faszystowską policję francuską za jej gestapowskie metody".

Tymczasem sprawa – dzięki sekcjom polskim Radia Madryt i BBC – nabrała rozgłosu globalnego. „Nie mogłem dłużej znieść ucisku, który gnębi Polskę" – ujawniał uciekinier dziennikarzowi „Le Figaro". „Teraz, kiedy zwiedziłem trochę państw z przeciwnej strony kurtyny, czuję, że mogę żyć jedynie w wolnym świecie. Sytuacja w Polsce stała się nieznośna nawet dla sportowca takiego jak ja, nigdy niezajmującego się polityką. W Zurychu nie mogłem samodzielnie zrobić kroku. Cały czas bacznie mnie obserwowali opiekunowie z komunistycznych służb specjalnych. Nie mogę obecnie przedstawić szczegółów swej ucieczki, aby nie zaszkodzić osobom mi pomocnym".

Jeżeli takowe istniały, to nigdy ich nie ujawnił. Podobnie jak nie udzielił jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy do porzucenia Polski Ludowej motywowało go wyłącznie poczucie osaczenia przez ubecję, czy też w grę wchodziły względy sportowe.

Operacja „Rakieta" nie potwierdziła powiązania sportsmena z brytyjską agenturą, niemniej bezpieczniacy swój raport konkludowali zgoła odmiennie: „W toku rozpracowania figurant Skonecki Władysław w czasie wyjazdu do Szwajcarii odmówił powrotu do kraju i pozostał za granicą, co w zasadzie potwierdza jego powiązania z obcym wywiadem" (sic!).

Od 1949 r. na światowych kortach błyszczał zbieg z Czechosłowacji Jaroslav Drobný, toteż Polak, choć już po trzydziestce, patrzył w przyszłość z optymizmem. Że się nie mylił, dowodzą wyniki i laury wielu silnie obsadzonych turniejów. Tymczasem w Polsce Ludowej nałożono nań anatemę, wykluczono z klubu, szkalowano w mediach (najostrzej w audycji propagandowej Polskiego Radia „Fala 49", ustami Wandy Odolskiej i Stefana Martyki, czyli „bałwanów" – jak ochrzcili radiosłuchacze prowadzących tę agitkę). W końcu dostąpił zaszczytu wpisania na indeks cenzury.

AUSTRIACKIE GADANIE

Do ojczyzny powrócił wraz z odwilżą. Uniknął konsekwencji prawnych, lecz do Legii przyjęto go ponownie dopiero po publicznym pokajaniu. Ponieważ wciąż bił konkurencję, drzwi otworzyła mu także drużyna narodowa. Ku radości kibiców. Ze sportem wyczynowym zerwał w wieku 45 lat. Jakiś czas usiłował szkolić tenisowy narybek. „Siedzieliśmy z Władkiem w klubowej kawiarence przy ulicy Myśliwieckiej, rżnąc w pokera – opowiada Bernard Ładysz – kiedy na korcie rywalizowała obiecująca juniorka. Po meczbolu podbiegła do mistrza, pytając, jak grała. »Świetnie – odparł – możesz mi potasować karty«".

Wkrótce wyjechał do Austrii, dzieląc tam czas między tenisową pedagogikę oraz wydawanie zarobionych szylingów w kasynach. Od przeszłości uciekał. Zgodził się jedynie porozmawiać z red. Wojciechem Trojanowskim, który przyjechał nagrać wywiad dla Wolnej Europy, oraz Karolem Zbyszewskim, wysłannikiem londyńskich „Wiadomości". Czołowy bon vivant polskiego sportu w wieku 62 lat przegrał pojedynek z nowotworem kości. Zmarł w ubóstwie. Pochówek opłaciły władze Wiednia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Japoński sen o imperium

Dlaczego państwo wielkości Kalifornii przypuściło samobójczy atak na Pearl Harbor, który doprowadził do jego uwikłania w śmiertelną walkę z dziesięciokrotnie silniejszym przeciwnikiem?". Na to pytanie próbuje odpowiedzieć John Toland w monumentalnej książce „Wschodzące słońce". To próba ukazania imperialnej polityki Cesarstwa Japonii z perspektywy Japończyków, a nie Anglosasów. Próba, dodajmy, bardzo udana.

Toland udowadnia, że Japończycy – wbrew temu, co głosiła amerykańska propaganda wojenna – nie byli „azjatyckimi nazistami". Byli narodem, który chciał obronić swoją mocarstwową pozycję i wyprzeć wpływy „białego człowieka" z Azji. Japończycy walczyli w sposób okrutny, ale Amerykanie w wojnie na Pacyfiku wykazywali się również niebywałym okrucieństwem. Symbolem tego jest zrzucenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki.

Według Tolanda wojna między Stanami Zjednoczonymi a Japonią wcale nie musiała wybuchnąć. Wystarczyłoby tylko, żeby Amerykanie z arogancją i zadufaniem nie mieszali się do spraw Dalekiego Wschodu.

„Gdybyśmy tak uczynili – pisze autor »Wschodzącego słońca« – bardzo prawdopodobne, że nasze negocjacje z Japonią prowadzone w 1941 roku zakończyłyby się pokojem, nie wojną. A przez to Ameryka nie byłaby zmuszona zostać na wiele lat moralnym żandarmem Azji. Los moralnego żandarma nie jest zaś wesoły, zwłaszcza kiedy jego własna moralność budzi zastrzeżenia".

Według Tolanda długofalowymi konsekwencjami wojny japońsko-amerykańskiej były rozpad imperiów kolonialnych i triumf komunizmu w Wietnamie, Chinach i innych krajach Dalekiego Wschodu. A więc – same kłopoty.

Książka Tolanda sama w sobie jest pasjonująca. Czytając o problemach, jakie Amerykanie mieli z pokonaniem Japończyków, trudno nie pomyśleć o ewentualnym konflikcie zbrojnym między USA a Chinami. Rozgrywałby się on bowiem mniej więcej na tych samym obszarach Pacyfiku, na których toczyła się wojna amerykańsko-japońska.

Jest tylko jedna zasadnicza różnica. Chiny w roku 2020 są wielokrotnie potężniejsze niż Japonia w roku 1941. ©℗

★★★★★★

JOHN TOLAND „WSCHODZĄCE SŁOŃCE. SCHYŁEK I UPADEK CESARSTWA JAPONII 1936–1945, T. I–II"
NAPOLEON V, 2019

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nieuchwytny „Robotnik"

Najważniejszym organem PPS u schyłku XIX stulecia był miesięcznik „Robotnik", przygotowywany przez Stanisława Wojciechowskiego i Józefa Piłsudskiego. Maszynę drukarską zakonspirowano we wsi Lipniszki niedaleko Wilna, w domu wynajętym przez miejscowego aptekarza (członka partii) Kazimierza Parniewskiego. Pierwszy numer ukazał się 12 lipca 1894 r.

Początkowo Piłsudski i Wojciechowski zajmowali się pisaniem, pozyskiwaniem artykułów i kolportażem, tekst zaś składał i odbijał Władysław Głowacki. Niestety, zecer najwyraźniej nudził się w Lipniszkach. Odbijanie jednego numeru zajmowało 10–12 dni, miał zbyt dużo wolnego czasu i wdał się w romans z kucharką Parniewskich. Obiecał jej małżeństwo, a na dodatek zdekonspirował się przed nią. A kiedy nie wywiązywał się z obietnic, zdenerwowana partnerka zagroziła poinformowaniem władz o tajnej drukarni.

Zemsta odrzuconej kobiety może być niebezpieczna i wydawcy „Robotnika" nie czekali na policję. Drukarnię przeniesiono do Wilna, a dziewczynę wywieziono do Częstochowy, gdzie podczas spowiedzi ksiądz zobowiązał ją do zachowania tajemnicy! Poza tym kochliwego zecera zmuszono do jej poślubienia, po czym oboje osiedlili się w głębi Rosji. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, ale w wydawaniu „Robotnika" nastąpiła dłuższa przerwa.

W tym czasie towarzysz Wiktor (takiego pseudonimu używał Piłsudski) był już poszukiwany przez policję. Nie zwracając na to większej uwagi, kilka miesięcy później wspólnie z Wojciechowskim (ten podczas pobytu w Anglii nauczył się zecerki) podjęli się w Wilnie dalszego wydawania „Robotnika". Artykuły pisał Piłsudski, on też był odpowiedzialny za pozyskiwanie tekstów od innych autorów, łamaniem i składem zajmował się Wojciechowski.

Nakład nie musiał być specjalnie duży, gdyż „dla całej wsi wystarczał jeden, dwa egzemplarze", Wilno otrzymywało 50 sztuk, Warszawa 450, Zagłębie Dąbrowskie 100.

PPS zawdzięczała sukces w dużym stopniu „Robotnikowi" właśnie. Interesujące artykuły, wyraźnie akcentowany wątek niepodległościowy, doskonała sieć kolportażu. A do tego niespotykana wśród nielegalnych periodyków ciągłość wydawnicza. Rosyjskie wydawnictwa kończyły swoje istnienie z reguły po kilku numerach, a ich redakcje kolejno zasiedlały Syberię. A w Lipniszkach wydrukowano sześć numerów „Robotnika", a w Wilnie kolejne 26! Działalność trwała przez niemal pięć lat bez przerwy, nic zatem dziwnego, że zrezygnowani carscy policjanci doszli do wniosku, iż nieuchwytna drukarnia musi się mieścić gdzieś za granicą... ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Uciekłem z piekła Korei. Wywiad z ofiarą azjatyckiego bolszewizmu

Jan Sadkiewicz – **W obronie ostatniego króla**
Tymoteusz Pawłowski – **Porwanie Poniatowskiego**
Sławomir Koper – **Romans Stanisława z Katarzyną**
Jakub Ostromęcki – **Pojedynki snajperów w Stalingradzie**
Mikołaj Iwanow – **Polska republika sowiecka**
Sławomir Cenckiewicz – **Powrót Adolfa Bocheńskiego**
Piotr Zychowicz – **Dlaczego Hitler przegrał ze Stalinem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl cd6d820ddb

Droga do półksiężyca

Czy tę niespodziewaną zwłokę mogło spowodować krytyczne stanowisko USA? Już dawno temu, choć na niewysokim szczeblu pełnomocnika do spraw przestrzegania swobód religijnych, dawały one wyraz zastrzeżeniom. W przededniu posiedzenia Rady głos zabrał jednak sam sekretarz stanu Mike Pompeo, wydając oświadczenie, w którym Ameryka wzywa władze Turcji, by nie zmieniano charakteru świątyni. Hagia Sophia powinna pozostać muzeum. Byłby to, podkreśla Mike Pompeo, dowód, że rząd Turcji szanuje zarówno tradycje religijne, jak i różne wątki historii Turcji.

Teresa Stylińska

Czy Hagia Sophia, bizantyjska świątynia Mądrości Bożej w Stambule, może znowu, jak za czasów osmańskich, być meczetem? Decyzja w tej sprawie ma zapaść w ciągu najbliższych dni. Rada Stanu, najwyższy sąd administracyjny Turcji, miała ją podjąć 2 lipca, ale nieoczekiwanie dała sobie więcej czasu na rozważenie niełatwej przecież kwestii

Hagia Sophia – czy Ayasofya, jak nazywana jest po turecku – wręcz je uosabia. Najdłużej była świątynią chrześcijańską, przez 916 lat: od 537 r., gdy została konsekrowana, do 1453 r. Funkcję meczetu pełniła przez 478 lat, do 1931 r., gdy na

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. ADOBE STOCK

cztery lata została zamknięta. Gdy otwarto ją ponownie, nie była już meczetem, lecz – na mocy dekretu wydanego przez Mustafę Kemala Atatürka, twórcę republiki – muzeum. Tak jest od 85 lat.

Sahak Mashalian, nowy patriarcha Kościoła ormiańskiego w Stambule, ma inny pomysł. Proponuje, by Hagia Sophia znowu pełniła funkcje sakralne, ale jako wspólna świątynia chrześcijan i muzułmanów. Powinna być miejscem zarówno muzułmańskich modłów, jak i chrześcijańskich nabożeństw. Pod jej ogromną kopułą jest miejsce dla obu wyznań. „Nie możemy – stwierdził patriarcha – pozwolić sobie na luksus nowego konfliktu między krzyżem i półksiężycem. Zbawienie świata kryje się w ich przymierzu".

DWIE MIŁOŚCI PREZYDENTA

Nawet jeśli jeszcze kilkanaście lat temu większość Turków nie wyobrażała sobie, by bizantyjska świątynia w centrum Stambułu znów mogła służyć jako meczet, dziś jest inaczej. Aż 73 proc., jak wynika z niedawnego sondażu, jest „za". Nie jest powiedziane, że akceptacja dla zmiany utrzyma się na obecnym poziomie, bo w Turcji nastroje społeczne są niestabilne, zmieniają się łatwo i często radykalnie. Ale na razie jest tak, jak jest.

Z dyplomatycznego punktu widzenia sprawy są jednak bardziej skomplikowane. W powietrzu wisi konflikt z Grecją, która od tygodni przestrzega przed zmianą statusu świątyni. „Jest ona papierkiem lakmusowym stosunków grecko-tureckich" – pisał parę dni temu dziennik „Kathimerini". Grecy – zresztą nie bez racji – uważają się za spadkobierców Bizancjum, a przy tym obrońców wiary prawosławnej. Dlatego nie zwlekając, zwrócili się w tej sprawie do UNESCO, ta zaś przypomniała, że Turcy nie mają prawa sami zmienić statusu świątyni, ponieważ jest ona zabytkiem z listy światowego dziedzictwa. Dlatego każda zmiana wymaga konsultacji.

Jeżeli ktoś miał wątpliwości, czy Recep Tayyip Erdoğan, prezydent Turcji, jest islamistą ze szczerego przekonania, a nie – jak sądzą życzliwi mu albo tylko naiwni – zwykłym konserwatystą jak wielu innych, sprawa Hagii Sophii powinna ostatecznie je rozwiać. Gdyby nie jego osobiste zaangażowanie, problem pewnie by nie istniał. Gdy stowarzyszenia islamskie czy szeregowi deputowani AKP składali do sądu wnioski w tej sprawie, działo się to zawsze z cichym błogosławieństwem Erdoğana, najpierw jako premiera, później prezydenta. On sam zaś, zwłaszcza przed wyborami, skwapliwie zapewniał, jak bardzo pragnie, by Hagia Sophia znowu była meczetem.

Prezydent Turcji ma dwie miłości. Pierwsza to islam. Druga – Stambuł. W Stambule się wychował, choć nie urodził, tu stawiał pierwsze kroki w polityce, tu, zostając burmistrzem, zrobił wielki skok wiodący wprost ku najwyższym stanowiskom. Przywrócenie sakralnych funkcji Hagii Sophii łączy więc oba wielkie wątki jego życia.

DROGĄ MEHMEDA ZDOBYWCY

Na makiecie potężnego muru, ustawionej przed monumentalnym budynkiem świątyni, 29 maja tego roku wyświetlono obraz drogi, którą 567 lat wcześniej przebył sułtan Mehmed II, obdarzony później przydomkiem Zdobywca. Droga prowadziła od murów miasta, do którego po miesiącach oblężenia wdarli się jego żołnierze, wprost do świątyni Hagia Sophia. To nie był przypadkowy cel. Od czasów cesarza Justyniana Wielkiego, na którego zlecenie została wybudowana, świątynia stanowiła serce Konstantynopola.

Opanowanie Konstantinii, jak brzmi turecka nazwa miasta, było zwieńczeniem triumfalnego pochodu wojowniczych Turków osmańskich przez podporządkowane Bizancjum państewka i posiadłości w Anatolii, na terenie Grecji oraz na Bałkanach. Ale dopiero Mehmedowi II udało się osiągnąć cel.

W nakręconym parę lat temu, przed 560. rocznicą podboju, tureckim filmie „Fetih 1453" („Zdobycie") wejście sułtana do świątyni, gdzie schroniły się tysiące przerażonych mieszkańców, jest punktem kulminacyjnym. Miasto padło, ludzie sądzą, że nadeszła ich ostatnia godzina, modlą się gorąco – a tymczasem nic złego się nie dzieje. Przeciwnie. Gdy groźny sułtan, postrach cywilizowanego świata, wkracza do świątyni, bierze na ręce małą dziewczynkę. Twarz dziecka opromienia uśmiech...

„Fetih" to największa, zrealizowana z niewątpliwym rozmachem – choć wcale nie najciekawsza – produkcja kina tureckiego. Film pobił wszelkie rekordy frekwencyjne, obejrzało go 6,5 mln widzów. W Turcji podnosił oczywiście dumę narodową, za to nacjom, które wojowały z imperium tureckim, trudno uwierzyć w wersję przedstawioną na ekranie. Mehmed Zdobywca słynął raczej z okrucieństwa i w roli gołąbka pokoju ciepło witanego przez pokonanych jest mało przekonujący.

Nawet jeśli scena w świątyni niewiele ma wspólnego z prawdą historyczną, to jej moc propagandowa jest ogromna. Prezydent Erdoğan, a wraz z nim inni przedstawiciele władz, nie od dziś zresztą prześcigają się w zapewnieniach, że zajęcie Konstantynopola przez Turków wszystkim przyniosło korzyści. Trudno odróżnić, co w takich deklaracjach płynie ze szczerego przekonania, a co jest propagandą obliczoną na użytek publiczności.

Obchody rocznicy zdobycia miasta z roku na rok nabierają rozmachu. Tym razem clou uroczystości – czy też prawdziwą bombą, jak uważają krytycy – okazała się recytacja 48. sury Koranu,

eprasa.pl cd6d820ddb

mówiącej o podboju. Usunęła w cień wypowiedź samego Erdoğana. Prezydent, za pośrednictwem połączenia wideo, dziękował wszystkim, którzy „pamiętają o Hagii Sophii, prawdziwym skarbie, jaki przyniosło nam zdobycie miasta".

W NICEI I TRAPEZUNCIE

Stambuł jest pełen imponujących zabytków z różnych epok, ale nawet na takim znakomitym tle Hagia Sophia jest wyjątkowa. To prawdziwy klejnot w koronie. Jest najcenniejszą budowlą, jaka pozostała po Bizancjum, i tę proweniencję doskonale widać, bo zmiany dokonane we wnętrzu (ogromne tablice z inskrypcjami z Koranu, niezbędne w meczecie mimbar i mihrab) w najmniejszym stopniu nie zdołały jej przesłonić. Cztery minarety, dobudowane za czasów Sulejmana Wspaniałego, wobec ogromu budowli właściwie nikną. Do tego wyjątkowe położenie, między placem At Meydani, przy którym znajduje się także Błękitny Meczet, a Bosforem. Nic dziwnego, że jest najbardziej obleganym zabytkiem Turcji, odwiedzanym przez ponad 3 mln turystów rocznie.

Przełomowe momenty w dziejach świątyni wyznaczają wielcy przywódcy. Pierwszym jest Justynian Wielki, bizantyjski cesarz, na którego rozkaz postawiono potężną budowlę, zwieńczoną ogromną kopułą. Nie tylko w chwili powstania, lecz także jeszcze przez wiele wieków Hagia Sophia była największą na świecie budowlą sakralną. Drugi to sułtan Mehmed Zdobywca. Przekształcenie chrześcijańskiej katedry, siedziby patriarchatu Kościoła wschodniego, w meczet to jedna z pierwszych jego decyzji po zdobyciu Konstantynopola. Trzecim wreszcie jest Mustafa Kemal Atatürk, osmański pasza, który na gruzach imperium zbudował nowe państwo – Republikę Turcji.

Aby zerwanie z dziedzictwem osmańskim było pełne i trwałe, musiało objąć także religię. Bez tego nie byłoby możliwe stworzenie nowych fundamentów. Państwo osmańskie i islam były ze sobą ściśle złączone, bo sułtan był zarazem kalifem – duchowym przywódcą świata muzułmańskiego. W 1924 r., dwa lata po zlikwidowaniu sułtanatu, kalifat również został zniesiony.

W 1934 r. twórca republiki wydał dekret, na mocy którego Hagia Sophia stała się muzeum. I nie tylko ona. Dekret objął również inne bizantyjskie świątynie, w tym dwie pod takim samym co stambulska wezwaniem: Mądrości Bożej. Obie znajdują się w starodawnych miastach – Nicei, miejscu dwóch soborów, i Trapezuncie, które dziś znane są jako Iznik i Trabzon. Obie pod rządami Osmanów stały się meczetami i obie od paru lat są nimi ponownie. Przy tej okazji w obu przeprowadzono renowację, która nie znalazła uznania w oczach specjalistów, bo, jak oceniają, zbyt wiele starodawnych elementów wnętrza zostało zniszczonych.

Czy przywrócenie Hagii Sophii funkcji meczetu wpisuje się w trend reislamizacji Turcji? Z pewnością nie da się tego oddzielić

POBOŻNY MUZUŁMANIN

Przywrócenie funkcji sakralnej obu świątyń traktowano poniekąd jako przestrogę dla świątyni w Stambule. Nie było to bezpodstawne. Przez ostatnie lata, od kiedy AKP i sam Erdoğan umocnili się u władzy, do świątyni zaczęto wprowadzać islam – powoli, ostrożnie, bocznymi drzwiami. Recytowanie Koranu, pierwsze od 85 lat wezwanie do modlitwy, które miało miejsce w 2016 r., ustanowienie imama, choć o ograniczonym zasięgu działania, bo przyznano mu jedno z bocznych pomieszczeń – wszystko to niepokoiło przeciwników AKP, islamistycznej partii rządzącej. Na domiar złego na placu przed świątynią od czasu do czasu zbierają się członkowie stowarzyszeń muzułmańskich, którzy zanoszą modły, by znowu stała się ona meczetem.

Na początku czerwca plany w tej sprawie stały się tematem spotkań i narad, zarówno w pałacu prezydenckim, jak i w kierownictwie AKP. „Hürriyet", jeden z najważniejszych dzienników tureckich, twierdzi, że na początku czerwca Erdoğan zlecił przeprowadzenie analiz, jak przywrócić status meczetu, ale tak, by odbyło się to w miarę bezboleśnie. Chodzi między innymi o wspomniany, możliwy konflikt z UNESCO.

Czy przywrócenie Hagii Sophii funkcji meczetu wpisuje się w trend reislamizacji Turcji? Z pewnością nie da się tego oddzielić.

Prezydent Erdoğan jest pobożnym muzułmaninem i chętnie o tym mówi. Nie pije, nie pali. Kobiety w jego rodzinie przykładnie osłaniają włosy. Jest zwolennikiem odseparowania kobiet i mężczyzn, gdzie tylko się da, od środków komunikacji do akademików i urządzeń sportowych, choć daje temu wyraz raczej w warstwie słownej, w praktyce bowiem taka separacja okazuje się trudna do przeprowadzenia. Wspiera budowę meczetów. Publicznie roni łzy nad losem muzułmanów z Egiptu, rozpędzanych przez armię, i z Palestyny, bo muszą zmagać się z Izraelem. Chociaż, dodajmy, jego zrozumienie dla współbraci w wierze jest mocno wybiórcze. Czy ma choć trochę litości dla muzułmanów z Syrii czy Libii, narażonych na ataki oddziałów tureckich? O tym mowy nie ma.

Wielu ludziom, zwłaszcza jego przeciwnikom, dobrze zapadły w pamięć słowa Erdoğana sprzed paru lat: pragnie, by w Turcji wyrosło pokolenie ludzi pobożnych. Czy jego marzenie już się spełniło? Trudno to ocenić, tym bardziej że luźno rzuconej uwadze nie towarzyszyło wyjaśnienie, jakie kryteria powinni spełniać pobożni Turcy. Zapewne, jak można sądzić po wypowiedziach Erdoğana, powinni unikać picia i palenia, nie zdradzać współmałżonków (planowano nawet wprowadzenie kary za cudzołóstwo do kodeksu karnego, ale pomysł nie przeszedł) i mieć minimum troje dzieci. On sam się z tego wywiązał – ma czworo dzieci plus ośmioro wnuków.

Z MYŚLĄ O ROCZNICACH

Nawet jeśli sprawa przyszłości Hagii Sophii nie rozstrzygnie się w najbliższych dniach, to jej zwolennicy i tak mają plan. Chcieliby, aby 15 lipca, w czwartą rocznicę zamachu stanu, który miał obalić Erdoğana i położyć kres rządom partii islamskiej, ale się nie powiódł, w świątyni-muzeum odbyły się dziękczynne modły. Plan ma pełne błogosławieństwo prezydenta, co w tym wypadku jest nawet zrozumiałe.

Erdoğan jednak, jak się wydaje, ramy czasowe zakreśla znacznie szerzej. Za trzy lata, 29 października 2023 r., przypada setna rocznica proklamowania republiki. Gdyby zawczasu zmieniono status Hagii Sophii, miałoby to wymiar wybitnie symboliczny. Pokazałoby, że choć wiele z tego, co wprowadził Mustafa Kemal Atatürk (republika, prawo wyborcze, prawa kobiet, zmiana alfabetu i kalendarza, niedziela jako dzień wolny, wprowadzenie nazwisk, europejski ubiór), jest trwałe, to sekularyzacja nie jest niewzruszona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. DANA LE LARDIC/EP/EUROPEAN UNION

APOLITYCZNOŚĆ WEDŁUG KOMISJI EUROPEJSKIEJ

Chorwacka Wspólnota Demokratyczna dwa dni przed niedawnymi wyborami (wstępne wyniki wskazywały, że wygrała, zdobywając 68 ze 151 miejsc w parlamencie) wyemitowała spot wyborczy. Wystąpili w nim politycy, członkowie Europejskiej Partii Ludowej. Wśród nich była Ursula von der Leyen, szefowa Komisji Europejskiej. Była też wiceszefowa KE – Dubravka Šuica. Komisja Europejska jest jednak neutralna w kwestiach polityki wewnętrznej państw członkowskich, dlatego wyrażono ubolewanie.

KONIEC „PANA" I „NIEWOLNIKA"

W technicznej terminologii stosowano do tej pory dość proste rozróżnienie struktury działania takich samych elementów. Oznaczano je jako „master" – czyli nadrzędny – oraz „slave". To nazewnictwo stosowane jest m.in. w fotografii przy sterowaniu jednym przyciskiem zewnętrznymi lampami błyskowymi. Jednak na fali Black Lives Matter firma Canon miała zrezygnować z tej terminologii. W dodatku, jak informują branżowe portale, wyprzedziła epokę BLM, bo zaczęła to wycofywać już trzy lata temu.

KORONAWIRUSOWA KARMA

Pierwszy był premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson. Naśmiewał się z koronawirusa i twierdził, że najlepiej uodpornić populację przez przechorowanie. Potem zachorował sam i szybko zmienił zdanie oraz model zarządzania podczas pandemii. Teraz przyszła kryska na prezydenta Brazylii, który wielokrotnie lekceważył sprawy związane z COVID-19 i m.in. ostentacyjnie występował bez maseczki czy ściskał ręce ludziom na spotkaniach. Właśnie poinformował, że ma wysoką gorączkę, podano mu leki, a wynik testu na COVID-19 okazał się pozytywny.

OKOP ANTYWIRUSOWY

We wsi Szuluta w Buriacji (Rosja) szamanka, która przeprowadziła rytuał z dziećmi miejscowych, okazała się nosicielką COVID-19. W związku z tym zarejestrowano po tym już blisko 40 zakażeń. Jedyny spożywczak we wsi zamknięto, a dookoła miejscowości wykopano rów. Okop ma uniemożliwić przejazd turystom zmierzającym do parku narodowego nad jeziorem Bajkał. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Krwawa poprawność

Miasto pogrążyło się w chaosie, a będzie jeszcze gorzej – tak sytuację w Nowym Jorku ocenił na antenie jednej ze stacji radiowych były komisarz NYPD Bill Bratton.

Jak poinformował „New York Post", tylko od 25 maja – dnia, gdy po brutalnym morderstwie czarnego George'a Floyda przez białego policjanta w całej Ameryce wybuchły antypolicyjne protesty – do 3 lipca liczba wniosków o odejście na emeryturę w nowojorskiej policji wzrosła o 411 proc.

Zamiast zażądać wywalenia ze służby wszystkich złych policjantów, lewicowi politycy w ramach poprawności politycznej postawili bowiem pod pręgierzem całą policję, a zwłaszcza wszystkich białych policjantów.

Zakazano przyciskania kolanem do ziemi niebezpiecznych przestępców (Floyd, zanim został brutalnie zamordowany, również stawiał czynny opór i pierwszy wezwany patrol nie mógł sobie z nim poradzić). Przepisy sformułowano jednak tak, że niektórzy policjanci w ogóle boją się dokonywać aresztowań, jeśli wymaga to użycia siły. Lewica zdecydowała także o zmniejszeniu budżetu na policję. A w niektórych miastach w ogóle rozważa jej zlikwidowanie.

W przypadku Nowego Jorku budżet zmniejszono o miliard (!) dolarów, przez co zrezygnowano np. z lipcowej rekrutacji ponad 1,1 tys. kadetów. Na „podziękowania" nie trzeba było długo czekać. Tylko 5 lipca uwolnieni spod opresji policjantów obywatele urządzili na ulicach metropolii 30 strzelanin, w których rannych zostało 48 osób, a 10 zginęło. Jednym z nich był 29-latek zastrzelony na Bronxie podczas spaceru z sześcioletnią córeczką. Przybyło nie tylko morderstw, lecz także włamań (wzrost o 118 proc.) czy kradzieży samochodów (wzrost o 51 proc.). Czy to wyłączna wina białych? ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Z prof. Davidem Jacksonem, amerykańskim politologiem
rozmawia Piotr Włoczyk

Polonia może zadecydować o prezydenturze

PIOTR WŁOCZYK: Co pan, amerykański politolog, widział przede wszystkim w ostatniej wizycie Andrzeja Dudy w Waszyngtonie?

PROF. DAVID JACKSON: Za tą wizytą stały oczywiście ważne kwestie strategiczne – nasze kraje są sojusznikami, więc zacieśnianie współpracy wojskowej jest rzeczą naturalną. Widać tam jednak było również kwestie czysto polityczne. Odłóżmy na bok sprawę wyborów w Polsce i skupmy się na USA. Kiedy przyglądamy się wyborom prezydenckim w 2016 r., to można postawić tezę, że Amerykanie polskiego pochodzenia mieli znaczący wpływ na wynik wyborów. Michigan, Pensylwania i Wisconsin zaważyły na wyborze Donalda Trumpa, a to właśnie te stany należą do czołówki stanów z najwyższym odsetkiem Amerykanów polskiego pochodzenia. Donald Trump wygrał w nich – w sumie – różnicą zaledwie 77 tys. głosów. Nie ma żadnych wątpliwości, że w tym roku te stany będą po raz kolejny kluczowe w naszych wyborach.

Czyli nie tylko Chicago i Nowy Jork, których głosy od lat zgarniają demokraci. Szczęśliwie dla Warszawy Amerykanie polskiego pochodzenia żyją licznie także w tych stanach, o które toczy się prawdziwa walka.

Tak. Jak zauważył politolog Dominik Stecula w ciekawym artykule w „Washington Post", hrabstwo Macomb w Michigan jest w 12 proc. polskie, a hrabstwo Luzerne w Pensylwanii jest polskie w 15 proc. Jeżeli chcesz być gospodarzem Białego Domu, to jest to dla ciebie bardzo ważna informacja.

Zazwyczaj jednak politolodzy podkreślają, że sprawy zagraniczne nie grają dużej roli w procesie wyboru kandydata.

W USA żyje 9 mln Amerykanów polskiego pochodzenia. Musimy pamiętać, że ci ludzie są bardzo różni, jeżeli chodzi o poglądy polityczne. Największa grupa amerykańskiej Polonii to ludzie tacy jak ja. Mój pradziadek przybył do Ameryki z Polski w 1910 r. Kolejne pokolenia coraz bardziej oddalają się od Polski, więc dla tej największej grupy Amerykanów polskiego pochodzenia sytuacja nad Wisłą najpewniej mało znaczy. Jednak jest niewielka część Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy chcą się identyfikować w ten sposób, czują silniejszą więź z Polską – i dla nich ta wizyta mogła być ważna.

Ładne zdjęcie Donalda Trumpa z Andrzejem Dudą naprawdę może być dla nich jakimś argumentem podczas zakreślania kratki przy nazwisku kandydata?

Tak. Mamy w USA ciekawą debatę na temat tego, czy rzeczywiście istnieje coś takiego jak niezależny wyborca, skoro jesteśmy tak bardzo spolaryzowani. Wyobraźmy sobie jednak niezależnego wyborcę, który w 2012 r. głosował na Obamę, ale już cztery lata później oddał głos na Trumpa. Wyobraźmy sobie, że tym niezależnym wyborcą jest Amerykanin polskiego pochodzenia. Te wybory będą referendum w sprawie czterech lat Donalda Trumpa. Nasz wyborca będzie analizował dokonania obecnego

eprasa.pl cd6d820ddb

prezydenta. Głównie będą to sprawy gospodarcze i to, jak Donald Trump walczył z pandemią. Niewielka część Polonii może jednak pomyśleć w ten sposób: „Tu są jego plusy, a tu minusy. Jako Amerykanin polskiego pochodzenia dam mu plusa, ponieważ dba o bardzo bliskie relacje z Polską, zniósł wizy dla Polaków, a ostatnio zorganizował świetną wizytę Andrzeja Dudy". Czy ten plus może zaważyć na wyborze Trumpa? Prawdopodobnie tylko dla niewielkiej części tych wyborców.

Czy warto więc o tym w ogóle wspominać?

Myślę, że tak, ponieważ całkiem możliwe, że te głosy mogą istotnie wpłynąć na wynik wyborów. Pamiętajmy, że 77 tys. głosów w trzech stanach zadecydowało o wyniku wyborów w 330-milionowym kraju! W tych kluczowych stanach, dosyć licznie zamieszkanych przez Amerykanów polskiego pochodzenia, ważny jest dosłownie każdy głos.

Ale dlaczego właściwie Donald Trump miałby w ogóle jakoś specjalnie zabiegać o głosy Polonii? Czy ci obywatele USA nie są, z uwagi na ich katolicyzm, generalnie konserwatywnymi wyborcami?

Nie do końca. Z badania „Polonia: Today's Profile, Tomorrow's Promise", wykonanego przez Piast Institute, wynika, że 38,5 proc. Amerykanów polskiego pochodzenia uważa się za konserwatystów, a 36,9 proc. za liberałów. Około 36 proc. deklaruje się jako demokraci, a 23 proc. jako republikanie. 42,3 proc. przyznało, że w 2012 r. głosowało na Obamę. Z kolei z badania tego wynika, że na Romneya głos oddało tylko 36,2 proc. z nich. Dlatego Trump nie przestaje zabiegać o głosy Amerykanów polskiego pochodzenia.

Jak pan wspomniał, w USA żyje 9 mln Amerykanów polskiego pochodzenia. Tymczasem w Polsce często słychać, że w USA żyje „10 mln Polaków". To stwierdzenie nie ma jednak zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością...

Lwia część Amerykanów polskiego pochodzenia to potomkowie wielkich fal imigracyjnych, które przybyły tu w okolicach 1900–1910 r. Ci imigranci kochali Wilsona za jego 14 punktów – jeden z nich pomógł Polsce odzyskać niepodległość. Ale czy ich potomkowie mieszkający na przedmieściach Chicago myślą o polskich sprawach? Większość zapewne nie wie zbyt wiele na temat

Hrabstwo Macomb w Michigan jest w 12 proc. polskie, a hrabstwo Luzerne w Pensylwanii jest polskie w 15 proc. Jeżeli chcesz być gospodarzem Białego Domu, to jest to dla ciebie bardzo ważna informacja

Polski, nie potrafiłaby nawet powiedzieć, kto jest polskim prezydentem, i nie mówi niemal w ogóle po polsku. Ci ludzie lubią jeść pierogi, mogą chodzić na polską mszę i na polskie festiwale, ale naprawdę ciężko ich traktować jak „Polaków". Ci, którzy są imigrantami z Polski, są bardzo niewielką grupą.

Jak ciężko będzie Donaldowi Trumpowi wygrać drugą kadencję? Już od dłuższego czasu niezbyt dobrze mu idzie w sondażach, w większości badań jest kilka punktów procentowych za Joe Bidenem.

Jego wyniki sondażowe wyglądają źle, ale sondaże, które są dla niego najgorsze, mówią najmniej o sytuacji wyborczej – myślę o ogólnokrajowych badaniach zarejestrowanych wyborców. Najważniejsze są bowiem wyniki w konkretnych stanach. W 2016 r. sondaże stanowe były niedokładne. Pytanie: Czy możemy im ufać dzisiaj? Joe Biden jest teraz faworytem. Mamy ogromne bezrobocie, kurczącą się gospodarkę, a opinia publiczna źle ocenia działania prezydenta w kwestii pandemii. Te tematy to duży problem dla Donalda Trumpa. Prezydent ma swoich oddanych zwolenników – ok. 35–40 proc. – którzy na nikogo innego nie zagłosują. Trump powiedział kiedyś o nich, że mógłby zabić kogoś w biały dzień na 5. Alei, a oni i tak by przy nim zostali. Ta grupa to jednak zbyt mało, by zwyciężyć.

Obecne okoliczności nie sprzyjają jego reelekcji, ale z drugiej strony Trump to polityk jedyny w swoim rodzaju i nie sposób przekreślić jego szans. Do wyborów pozostało nam ponad 110 dni, a on ma już 300 mln dol. na kampanię. Już zresztą ruszył ze spotami przedstawiającymi Joe Bidena jako kandydata, który fizycznie nie podoła obowiązkom prezydenta. Biden prześciga go wprawdzie w zbieraniu pieniędzy, ale na razie nie zrobił w tej kampanii jeszcze nic. Czeka, nie wygłasza zbyt wielu przemówień. Na dziś ma największe szanse, ale nie może się czuć pewniakiem.

Wygląda na to, że Trump był lepszy w 2016 r., jeżeli chodzi o „chirurgiczne" uderzenia w kluczowe stany, które wydawały się nie do wygrania. Czy to się może powtórzyć?

To prawda – Clinton nie prowadziła wystarczająco energicznej kampanii w Wisconsin, Michigan i Pensylwanii. Demokraci wierzyli w 2016 r. w mit tzw. niebieskiego muru. Te stany przypadały demokratom tak wiele razy z rzędu, że ci brali je już za coś oczywistego. A lekcja numer jeden w polityce brzmi: „Nigdy nie uważaj żadnego głosu za pewnik".

Clinton nie jest jedynym przykładem, że to zdanie jest bardzo prawdziwe...

Tip O'Neill był w latach 80. słynnym spikerem Izby Reprezentantów. Był „klasycznym" demokratą. Ale kiedy w latach 40. po raz pierwszy ubiegał się o urząd, przegrał wybory we własnej dzielnicy. Po wszystkim pewna starsza kobieta, która mieszkała obok niego, powiedziała w rozmowie z nim, że nie oddała na niego głosu. Gdy spytał ją, dlaczego, sąsiadka odpowiedziała: „Bo nie poprosił mnie pan o to". Ta historyjka pokazuje, że nie wolno uważać żadnego głosu za pewnik. Demokraci w 2016 r. zlekceważyli tę lekcję.

Kolejna lekcja dla demokratów brzmi chyba: „Nigdy nie lekceważ Donalda Trumpa, nieważne, jak dobrze idzie w sondażach twojemu kandydatowi...".

Tak, mimo wszystkich kłopotów Donalda Trumpa demokraci nie mogą być pewni zwycięstwa Joe Bidena. Nie zamierzam obstawiać wyniku wyborów, bo nie da się przewidzieć, jakie wydarzenia wpłyną na kampanię w ciągu najbliższych czterech miesięcy. Szczególnie że żyjemy w czasach pandemii, a Donald Trump jest tak niezwykłym typem polityka. Wszystkie opcje są na stole.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. David Jackson jest politologiem z Bowling Green State University w Ohio, znawcą tematyki kampanii prezydenckich w USA. Profesor Jackson działa na rzecz upowszechniania w USA polskiej kultury, w roku akademickim 2007/2008 jako stypendysta Programu Fulbrighta wykładał na Uniwersytecie Łódzkim.

eprasa.pl cd6d820ddb

Z Janem Sarnowskim, podsekretarzem stanu w Ministerstwie Finansów odpowiedzialnym za tzw. estoński CIT
rozmawia Jakub Wozinski

Estoński silnik dla Polski

Tallinn, stolica Estonii, był silnym ośrodkiem gospodarczym już w X w.
FOT. ADOBE STOCK

JAKUB WOZINSKI: Padają zarzuty, że treść polskiego odpowiednika „estońskiego CIT" jest zbyt skomplikowana. Dlaczego nowe przepisy nie mogą przyjąć treści sprowadzającej się do formuły: „Firma nie płaci podatku dochodowego, o ile wypracowane zyski przeznacza na inwestycje. Kropka"?

JAN SARNOWSKI: Im prostszy przepis, tym więcej niewiadomych, a kluczową kwestią dotyczącą regulacji jest jej precyzja. Pojawiają się tutaj dwa pytania: co jest celem ulgi i jak chcemy ją zrealizować. Jeśli chcemy pomóc firmom, to pamiętajmy, że głównymi celami „estońskiego CIT" jest nie tylko wsparcie inwestycji i rozwoju firm, lecz także wzmocnienie ich płynności. Gdybyśmy skonstruowali przepis w taki sposób, jak pan zasugerował, czyli ściśle powiązali ulgę z wydatkami inwestycyjnymi, pominęlibyśmy równie istotny aspekt płynnościowy. Propozycja Ministerstwa Finansów jest zatem znacznie korzystniejsza dla firm, ponieważ wymagamy od nich tylko pewnego wzrostu wydatków inwestycyjnych rok do roku. Tak długo, jak warunek ten jest spełniony, a firma zaoszczędziła na podatku więcej środków, niż wydała na inwestycje, tak długo nadwyżka również nie będzie opodatkowana i posłuży wzmocnieniu jej płynności. Dzięki temu firma będzie miała „poduszkę bezpieczeństwa" i będzie lepiej przygotowana na sytuację kryzysową. Tak zadziałało to w Estonii – aż 99 proc. firm potwierdziło, że korzystny sposób rozliczenia CIT pomógł im przetrwać kryzys w 2008 r.

Jednak wszystkich dodatkowych warunków pojawia się dość dużo. To wszystko tworzy negatywny PR projektu zmian.

Wszystko zależy od tego, co jest dla nas ważniejsze: prostota korzystania z prawa czy też prostota przepisów. O ile przepisy rzeczywiście powinny być proste i jak najkrótsze, o tyle powinny również dobrze oddawać różnice między podatnikami. Nowoczesne podejście do systemu podatkowego polega na tym, żeby maksymalnie proste było korzystanie z przepisów, co często udaje się osiągnąć dzięki narzędziom technologicznym. Dobrym przykładem są tu chociażby niedawne zmiany w podatku dochodowym, których dokonaliśmy, tworząc usługę „Twój e-PIT". Precyzyjne przepisy lepiej oddają sytuację podatnika, a właśnie opodatkowanie pracownika, przy uwzględnieniu jego sytuacji rodzinnej czy zdrowotnej, jest jednym

eprasa.pl cd6d820ddb

z najbardziej skomplikowanych. Naszym celem jest to, żeby pracownik nie musiał się zastanawiać, z ilu ulg podatkowych korzysta, tylko żeby urząd skarbowy sam wypełnił za niego deklarację podatkową, uwzględniając wszystkie ulgi, do których ma on prawo. Teraz poprzez „estoński CIT" staramy się zrobić to samo dla mniejszych spółek kapitałowych, które nie zawsze stać na korzystanie z profesjonalnych usług doradczych. Po wejściu w „estoński CIT" liczba rozliczeń i formalności związanych z rozliczeniem podatku będzie dla nich zmniejszona do całkowitego minimum. Nie jest przypadkiem, że firmy estońskie poświęcają na rozliczenie CIT aż 11 razy mniej czasu niż firmy w Polsce. Proponowane przez nas uproszczenie rozliczeń nie różni się niczym istotnym od tego, które obowiązuje w Estonii.

Mimo wszystko ze strony ekspertów pojawiają się pewne zastrzeżenia co do różnic dzielących nasze rozwiązanie od tego estońskiego. Dotyczy to choćby limitu 50 mln zł obrotów, który w niektórych branżach jest bardzo łatwo przekroczyć.

Limit ten jest tylko kryterium wejścia, czyli obowiązuje jedynie podatnika chcącego rozpocząć korzystanie z „estońskiego CIT". Po spełnieniu kryterium „na wejściu" przekroczenie limitu przychodowego nie będzie się wiązać z usunięciem podatnika z systemu estońskiego. Dopiero po zakończeniu czteroletniego okresu korzystania z tego sposobu rozliczenia przedsiębiorca będzie musiał ponownie przyjrzeć się swoim przychodom. Nie będzie to skomplikowane, potrzebne dane można znaleźć w prowadzonej przez spółkę ewidencji. Jest dla nas szczególnie ważne, żeby na przychody podatnika patrzeć w dłuższym okresie. Krótkookresowo zależą one mniej od decyzji inwestycyjnych przedsiębiorcy, a bardziej od czynników od niego niezależnych, np. sytuacji rynkowej, mody, a nawet pogody. Innym pytaniem jest to, czy limit 50 mln zł przychodów nie został postawiony zbyt nisko. Tu jednak odpowiedź jest przecząca – spełnia go aż 97 proc. zarejestrowanych w Polsce spółek kapitałowych – to ponad 200 tys. firm.

A co z zarzutem pod adresem przepisu, że nie można być kapitałowo zaangażowanym w innych projektach? To może blokować próby zagranicznej ekspansji polskich firm.

W trakcie wspólnych warsztatów Ministerstwo Finansów Estonii zwróciło nam uwagę, że poprzez brak tego zastrzeżenia wdrożone tam przepisy wykorzystywane były do międzynarodowych optymalizacji podatkowych. Pojawiały się spółki wydmuszki zakładane przez firmy z innych krajów Unii Europejskiej. To były spółki, które miały tylko adres w Estonii, a służyły temu, żeby transferować pieniądze z innych państw. Chcemy uchronić się przed tym zagrożeniem.

Czy trzeba więc było dopiero kryzysu związanego z koronawirusem, żeby Ministerstwo Finansów przyspieszyło prace nad „estońskim CIT"? Mówiło się o nim od wielu miesięcy, ale realnych kształtów nabrał dopiero teraz.

Moment na wdrożenie w Polsce „estońskiego CIT" jest bardzo dobry. Jest to bardzo precyzyjne narzędzie dające firmom silną zachętę do inwestycji. Zastosujemy je właśnie w tym momencie cyklu koniunkturalnego, gdy gospodarce pilnie potrzebny jest impuls do wzrostu. Gdy jesteśmy u szczytu cyklu koniunkturalnego, firmy rozwijają się bardzo szybko, a gospodarka jest przegrzana, dodawanie tego rodzaju zachęty miałoby mniejszy efekt.

REKLAMA

Wielkie przepowiednie dla Polski i Świata

Spełnione proroctwa i wstrząsające wizje

• ponad 80 wizjonerów ze wszystkich kontynentów
• ponad 100 przesłań, napomnień i przepowiedni

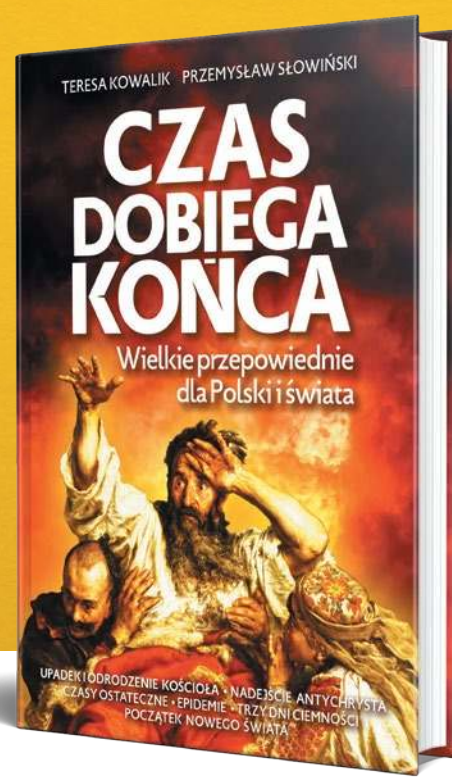

PATRONAT MEDIALNY: HISTORIA.ORG.PL

eprasa.pl cd6d820ddb

Z tym że Estonia wprowadziła swoje rozwiązanie w 2000 r., gdy sytuacja była inna niż obecnie. Bańka internetowa już pękła, sytuacja zdążyła wrócić do normy.

Wprowadzenie nowych zasad rozliczenia CIT w Estonii miało na celu przyspieszenie wzrostu gospodarczego. Tuż przed wprowadzeniem „estońskiego CIT" tamtejsze przedsiębiorstwa zgłaszały bardzo duży problem z dostępem do finansowania dłużnego. Deklarowały ministerstwu finansów, że nie mają środków na inwestycje, które pozwoliłyby zwiększyć efektywność pracy.

Czy polskiej gospodarce przez ostatnie pięć lat faktycznie groziło przegrzanie? Mam wrażenie, że były wciąż spore rezerwy na większy wzrost. Inne kraje na świecie pokazały, że było to możliwe.

Cały czas szliśmy w tym samym kierunku. Proces wspierania wzrostu gospodarczego narzędziami podatkowymi trwa w Polsce od wielu lat. Wdrożenie „estońskiego CIT" jest częścią szerszej transformacji systemu podatkowego w kierunku proinwestycyjnym. W ciągu ostatnich czterech lat zaczęło obowiązywać wiele preferencji podatkowych zachęcających firmy do zwiększania skali działalności i wydatków na innowacje. Powstała Polska Strefa Inwestycji, pojawiła się jedna z najkorzystniejszych na świecie ulg badawczo-rozwojowych, wprowadziliśmy również nowoczesną ulgę IP BOX. Tworzyliśmy także impulsy rozwojowe dla mniejszego biznesu. CIT dla małych podatników został zmniejszony o ponad połowę, czyli z 19 na 9 proc. Wprowadziliśmy dla nich również korzystne zasady amortyzacji i rozliczenia straty. Estoński CIT to kolejny krok w kierunku maksymalnie proinwestycyjnego systemu podatkowego, który będzie zarazem przystępny dla mniejszych firm.

Proponowane zmiany dotyczą głównie sektora małych i średnich przedsiębiorstw. Obecna sytuacja mogłaby tymczasem posłużyć także do dokonania zmian obejmujących duże przedsiębiorstwa. Na publikowanej przez Ministerstwo Finansów co roku liście widać, że największe podmioty nie płacą zbyt dużych podatków. Od dawna mówi się więc o potrzebie wprowadzenia podatku przychodowego. Czy nie lepiej byłoby zmienić system podatkowy właśnie w ten sposób, zamiast „majstrować" przy CIT?

Podatek przychodowy nie wiązałby się dla firm z większą oszczędnością czasu i środków niż podatek estoński. Na działającym od 20 lat przykładzie estońskim widać, że tamtejszy CIT wymaga minimum formalności, a ma tę zaletę, że jest rozwiązaniem sprawdzonym. Jego efekty są bardzo dobrze oceniane zarówno przez przedsiębiorców, jak i przez międzynarodowe rankingi. W zestawieniach takich jak Paying Taxes czy Tax Competitiveness Index Estonia stale zajmuje bardzo wysokie miejsca, dużo wyższe niż Polska. Jest to bezpieczna ścieżka działania.

Tutaj pojawia się jednak inna kwestia. W jaki sposób skalkulować to rozwiązanie, żeby zabezpieczyć finanse publiczne, a z drugiej strony – jak osiągnąć maksymalny efekt stymulacyjny. We współpracy z Ministerstwem Finansów Estonii potwierdziliśmy, że proinwestycyjne działanie reformy CIT najmocniej odczuł tam sektor małych i średnich przedsiębiorstw. Według danych z Estonii duże firmy nie zwiększyły znacznie wolumenu inwestycji. Można wręcz powiedzieć, że Estończycy zwolnili duże firmy z CIT i nie osiągnęli współmiernych do tego efektów.

Ostatnie cztery lata były okresem bardzo dynamicznych zmian na lepsze po bardzo długim zastoju

Czyli Ministerstwo Finansów nie planuje w żaden sposób wpłynąć na to, aby dochody z CIT były większe.

Są dwa źródła wzrostu wpływów z CIT: uszczelnienie systemu podatkowego oraz poszerzenie bazy podatkowej, czyli zwiększenie inwestycji i produktywności działających w Polsce firm. O ile u dużych podmiotów trudno mówić o barierach inwestycyjnych, o tyle w przypadku małych firm jest to już problem. Według OECD aż jednej trzeciej polskich firm z sektora MŚP nie udaje się pozyskać potrzebnego finansowania dłużnego. Środki zaoszczędzone na CIT ułatwią im finansowanie inwestycji własnymi środkami, a jednocześnie zwiększą ich zdolność kredytową. Duże firmy często korzystają z ulg podatkowych wymagających odczuwalnych wydatków na ich obsługę. W przypadku „estońskiego CIT" nie ma takich barier. Jest on przeznaczony dla małych firm, które mają mniejsze możliwości wsparcia przez doradców podatkowych. Stosowanie tej formy opodatkowania nie tylko nie zwiększa kosztów obsługi podatków, lecz także wręcz odwrotnie – znacznie je redukuje.

Estonia nie od dziś uchodzi za prymusa w zakresie konkurencyjności systemu podatkowego. Czy Polska będzie kopiowała jeszcze jakieś inne rozwiązania z tego kraju?

Ministerstwo Finansów prowadzi bardzo intensywną współpracę z Estonią i okazuje się, że w najbliższym czasie to nie my będziemy korzystali z jej wzorców, tylko Estonia z naszych. W czasie niedawnych rozmów spotkaliśmy się z bardzo dużym zainteresowaniem dotyczącym wdrożonych w Polsce narzędzi uszczelniania systemu podatkowego, przede wszystkim zwalczania karuzel VAT-owskich. Estonia, podobnie jak i inne kraje bałtyckie chce dołączyć do tworzonej przez Polskę międzynarodowej koalicji przeciw przestępcom podatkowym. Chcemy podpisać porozumienie, które pozwoli nam szybciej wykrywać przypływające z innych państw „puste faktury". Służyć do tego będzie automatyczna wymiana danych dotyczących obrotu między naszymi krajami.

To dobrze, że jesteśmy też źródłem inspiracji. W Estonii kwota wolna od podatku wynosi jednak aż 6 tys. euro, a w Polsce 750 euro. Jak skomentowałby pan tę różnicę?

W ciągu ostatnich czterech lat obserwowaliśmy skokowy wzrost kwoty wolnej od podatku. Powiększyła się ponad dwukrotnie dla najmniej zarabiających podatników. Jej wysokość została odmrożona po raz pierwszy od prawie dekady. Pamiętajmy, że na rzeczywiste obciążenie podatnika wpływa nie tylko kwota wolna od podatku, lecz także m.in. siatka ulg i zwolnień. Tu również dzieje się bardzo dużo. W zeszłym roku obniżyliśmy stawkę PIT z 18 do 17 proc. i ponad dwukrotnie podnieśliśmy koszty pracownicze. Z kolei dla osób poniżej 26. roku życia wprowadziliśmy najbardziej korzystną ulgę w Unii Europejskiej – dla nich kwota wolna wynosi praktycznie 100 proc. Można powiedzieć, że ostatnie cztery lata były okresem bardzo dynamicznych zmian na lepsze po bardzo długim zastoju.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. MINISTERSTWO FINANSÓW

Jan Sarnowski – prawnik, ekspert w zakresie polskiego i niemieckiego prawa podatkowego, podsekretarz stanu w Ministerstwie Finansów.

eprasa.pl cd6d820ddb

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

A teraz – karty na stół!

Po trwającym dwa lata maratonie wyborczym pora na chwilę prawdy o stanie polskich finansów publicznych. Maraton zainicjowały w sierpniu 2018 r. wybory samorządowe, po których przyszedł czas na wybory do europarlamentu (maj 2019 r.), potem do Sejmu i Senatu (jesień 2019 r.) i wreszcie wybory prezydenckie – w lipcu 2020 r., poprzedzone podwójną kampanią, a więc i większą liczbą obietnic.

Kasy państwa, czyli pieniędzy podatników, nie oszczędzali w ostatnich latach ani kandydujący w wyborach politycy, ani COVID-19. Piątka Morawieckiego, piątka Kaczyńskiego, sześciopak Schetyny. „500+" po raz pierwszy, „500+" po raz drugi, Wyprawka „300+", „Mieszkanie+". 13. emerytura, 14. emerytura, a może po prostu 24 emerytury w roku dla każdego i na dokładkę „emerytury stażowe"? Bon turystyczny „1000+" dla etatowców czy bon turystyczny „500+" dla dzieci, a może bon turystyczny „500+" dla dzieci i seniorów? „1400+" dla bezrobotnych. Tarcze antykryzysowe – 01, 02, 03, 04. Itd., itp. Najpierw dziesiątki, potem setki miliardów złotych – przeważnie na kredyt, na rachunek naszych dzieci i wnuków. Ale kto by się tym przejmował, skoro można te pieniądze pożyczyć, wydać i skonsumować już dziś?

A przecież Mateusz Morawiecki już latem 2016 r., jeszcze jako wicepremier, wyznał na spotkaniu z sympatykami PiS w Bydgoszczy: „Przypominam, że »500+« jest na kredyt. Zadłużyliśmy się o dodatkowe 20 mld zł, bo chcemy promować dzietność. Jesteśmy we własnym gronie i nie musimy mówić sobie tylko pięknych słów". Choć przecież rząd PiS całkiem nieźle radził sobie ze ściąganiem podatków. Wiosną 2019 r. – już jako premier – Morawiecki przestrzegał w Strzelinie: „Z sercem na dłoni daliśmy wszystko, co na ten moment jest możliwe". A potem posypały się kolejne obietnice, w części już zrealizowane, w części jeszcze nie, a na to wszystko spadł na polskie finanse COVID-19.

No i wreszcie teraz – po drugiej turze wyborów prezydenckich, ostatnim akordzie dwuletniej kampanii wyborczej – nadszedł czas na prawdę. Na bolesną prawdę o stanie polskich finansów publicznych; o tym, jak głęboko musi zostać znowelizowany budżet państwa; o spodziewanej wysokości deficytu finansów publicznych; o tym, jak bardzo już urósł i jeszcze urośnie dług publiczny – ten jawny i ten poukrywany w najrozmaitszych instytucjach publicznych; o tym, jakie podatki pójdą w górę i jakie nowe zostaną wprowadzone, by się z tym deficytem i długiem zmierzyć. Czas na prawdę o tym, na co nas w tej sytuacji stać, a na co nie stać i z czego musimy zrezygnować.

Lecz czy się tej prawdy doczekamy? Bo niby dlaczego mielibyśmy się jej doczekać i przestać być karmieni tym samym co do tej pory? Mogąc liczyć jedynie na to, że komuś się zbierze na chwilę szczerości lub że mu się wymsknie? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Po co był lockdown?

W połowie ubiegłego tygodnia australijskie Melbourne zostało zablokowane, gdy jednego dnia pojawiło się tam blisko 200 nowych zakażeń koronawirusem. W tym samym czasie liczba wykrywanych dziennie nowych przypadków w Polsce regularnie sięgała ponad 250, a całkowita liczba przypadków wykrytych od początku epidemii była już bliska 40 tys. Trzeba oczywiście pamiętać, że te statystyki są zależne od liczby przeprowadzanych testów, więc zapewne naprawdę przypadków jest dużo więcej.

Autorzy strategii zamknięcia wszystkiego powinni się z niej wytłumaczyć

Władze stanu Wiktoria, w którym leży Melbourne, uznały, że nagły wzrost liczby zachorowań wynika z rozluźnienia restrykcji i idącego za tym nieprzestrzegania zaleceń dotyczących dystansu społecznego. Jeśli przyjrzeć się sytuacji w Polsce, to u nas jest podobnie. Dawno już minęły dwa tygodnie od długiego weekendu z Bożym Ciałem, gdy wszyscy zapomnieli o jakiejkolwiek ostrożności. Jeżeli w Polsce ktoś jeszcze nosi maseczkę, to na ogół pod nosem. Ale nawet to jest coraz rzadsze. Byłem niedawno u fryzjera – nikt tam nie miał zakrytych ani nosa, ani ust. Dwa metry odstępu to kompletna fikcja.

I co? I nic. Liczba infekcji, przynajmniej tych wykrywanych, jest na mniej więcej stałym poziomie. W ciężkim stanie jest zaś w Polsce raptem niespełna 70 osób, czyli 1 proc. zakażonych. Przed wyborami premier ogłosił właściwie koniec epidemii, choć trudno nie dostrzegać politycznej motywacji tego komunikatu.

Mamy jednak sytuację co najmniej dziwaczną: środki ostrożności nie istnieją, ludzie dystansu nie trzymają, liczba dziennych przypadków jest od końca marca taka sama, liczba przypadków wymagających intensywnej terapii pozostaje bardzo niska – pojawia się więc znów pytanie o sens drakońskich restrykcji istniejących przez dwa miesiące przy nieporównywalnie niższej liczbie przypadków w skali kraju i właściwie takiej samej jak teraz liczbie dziennych zakażeń. To, co dzieje się dzisiaj, wydaje się dowodzić, że racja była po stronie tych, którzy – podobnie jak ja – twierdzili, iż tak drakońskie ograniczenia są bezzasadne, a ich koszt będzie niewspółmierny do efektu. A przecież są jeszcze tysiące wypisanych mandatów i setki absurdalnie wysokich kar administracyjnych. Za co?

To jeszcze nie jest moment na ostateczne podsumowania, lecz gdy ten nadejdzie, autorzy kosztującej nas miliardy strategii zamknięcia wszystkiego, z Łukaszem Szumowskim na czele, powinni się z niej wytłumaczyć. I lepiej, żeby było to przekonujące wytłumaczenie. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

Tomasz Cukiernik

Prawo do naprawy

FOT. ADOBE STOCK

Pralka przestaje działać po trzech miesiącach od zakupu, telewizor – zanim jeszcze zostanie podłączony do gniazdka. UE postanowiła zająć się tymi kwestiami. Czy rzeczywiście skutek nowych przepisów będzie taki, jak przewidują eurokraci?

Jak tłumaczy Ministerstwo Rozwoju, podejmując wysiłki na rzecz zmniejszenia śladu węglowego w Europie i obniżenia kosztów energii ponoszonych przez europejskich konsumentów, 1 października 2019 r. Komisja Europejska przyjęła pakiet 10 rozporządzeń zawierających zalecenia dotyczące ekoprojektowania sprzętu domowego, a „Prawo do naprawy" to jedna z wielu inicjatyw legislacyjnych wpisujących się w politykę klimatyczno-energetyczną, której celem jest m.in. ochrona środowiska. Należy zauważyć, że Brukseli nie tyle chodzi o ochronę środowiska, ile bardziej o walkę z globalnym ociepleniem. Komisja Europejska główny nacisk kładzie na to, aby dostępne na rynku urządzenia były energooszczędne. – Unijni urzędnicy oszacowali, że przyniesie to realne oszczędności na energii – nawet 167 TWh rocznie do 2030 r. – oraz przyczyni się do redukcji emisji CO_2 – o 46 mln ton – mówi Dominik Dobek, dyrektor ds. realizacji projektów w Związku Importerów i Producentów Sprzętu Elektrycznego i Elektronicznego Cyfrowa Polska.

Według resortu rozwoju przepisy powstały z myślą o wydłużaniu cyklu życia urządzeń i ułatwieniu ich naprawy. Producenci będą mieli obowiązek zapewnić dostawę części zamiennych w ciągu 15 dni roboczych, a także udostępnić dokładną instrukcję naprawy. Chodzi o takie urządzenia RTV, jak telewizory czy serwery, oraz AGD, jak lodówki, zamrażarki, zmywarki, pralki czy suszarki. – Dla każdego typu sprzętu wyznaczono czas, w którym producenci muszą zapewniać konsumentom bądź serwisom naprawy dostęp do części zamiennych urządzenia oraz do jego oprogramowania. Urządzenia mają być także tak projektowane, żeby było łatwiej je przetwarzać, odzyskiwać lub poddawać recyklingowi – wyjaśnia dyrektor Dobek. Nowe przepisy nie obejmują małej elektroniki, takiej jak smartfony, odkurzacze czy ekspresy do kawy.

WYŻSZE KOSZTY

Ministerstwo Rozwoju tłumaczy, że jest to „koncepcja gospodarki o obiegu zamkniętym (GOZ) zmierzająca do racjonalnego wykorzystania zasobów i ograniczenia negatywnego oddziaływania na środowisko wytwarzanych produktów, które – podobnie jak materiały oraz surowce – powinny pozostawać w gospodarce tak długo, jak jest to możliwe, a wytwarzanie odpadów powinno być jak najbardziej zminimalizowane". Jak mówi Radosław Maj, kierownik projektów w APPLiA Polska (związek pracodawców AGD reprezentujący producentów i importerów AGD w Polsce), w 2021 r. „producentów AGD zaczną obowiązywać zaostrzone wymogi płynące z trzech unijnych aktów ramowych w sprawie elektroodpadów, ekoprojektowania i etykiet energetycznych. Wszystkie dotyczą tzw. gospodarki obiegu zamkniętego i związanej z tym środowiskowej odpowiedzialności producenta za dostarczany produkt". Nowe wymogi informacyjne dotyczące ekoprojektowania oznaczają zmianę instrukcji obsługi, a nawet paneli na urządzeniu. – To wymogi maksymalnego zużycia energii czy wody i wycofanie z rynku tych najmniej wydajnych urządzeń w roku 2021 i kolejnych w roku 2024. Kolejna zmiana w ekoprojektowaniu to wymogi utrzymywania części zamiennych przez siedem lub 10 lat po wy-

eprasa.pl cd6d820ddb

cofaniu modelu z produkcji. Już sam koszt dodatkowej powierzchni magazynowej jest znaczący, nie wspominając o kosztach środowiskowych – wylicza Maj. – Każdy producent będzie musiał ponownie przebadać większość swoich modeli w ofercie, a to jest ogromne wyzwanie organizacyjne – dodaje.

Nowe unijne regulacje będą miały wieloaspektowe skutki, niekoniecznie takie, jakich życzyliby sobie eurokraci. Omawiane przepisy znacząco podniosą koszty produkcji. – Są to przede wszystkim koszty podwójnych badań modeli w przypadku etykiet energetycznych, koszty rosnących poziomów zbierania zużytego sprzętu oraz koszty organizacji procesu udostępniania części zamiennych – tłumaczy Maj. – Każda tego typu ingerencja ze strony ustawodawcy przekłada się na wyższe ceny – zauważa Maciej Mienik, dyrektor BEKO SA.

Związek Cyfrowa Polska podkreśla, że przyjęte przez Komisję Europejską rozporządzenia ws. ekoprojektowania urządzeń elektronicznych promuje sprzęt RTV i AGD z najwyższą klasą efektywności energetycznej. – Ale żeby mówić o realnych zyskach środowiskowych, konsumenci muszą co jakiś czas dokonywać wymiany urządzeń, aby korzystać z coraz to nowych, lepszych rozwiązań inżynieryjnych. Zatem nowe prawo może przyśpieszyć proces wymiany sprzętu RTV i AGD w całej Unii przez konsumentów na bardziej energooszczędny – mówi dyrektor Dobek. Idąc tym tropem, jeśli nowa regulacja zachęci do częstszej wymiany sprzętu, to nie tylko nie zmniejszy uciążliwości dla środowiska, ale wręcz może ją zwiększyć! Czy UE na opak rozumie walkę o czyste środowisko? Nie poprzez produkcję mniejszej liczby urządzeń (tym samym mniejsze zużycie surowców, a również i energii elektrycznej w związku z produkcją oraz mniejszą ilość odpadów), lecz poprzez mniejszą emisję CO_2 przy używaniu sprzętów dzięki mniejszemu zużyciu energii elektrycznej. – Nowa dyrektywa w żadnym wypadku nie wpłynie na zmniejszenie sprzedaży, bo lepszy – nowszy, bardziej funkcjonalny, oszczędny i ekologiczny produkt będzie wypierał obecny. Proszę popatrzeć na rynek samochodów czy telefonów komórkowych – zmieniamy je nie dlatego, że nie działają, ale dlatego, że cały czas rozwija się technologia i daje nam coraz więcej nowych możliwości – mówi dyrektor Mienik.

Pojawia się dylemat: czy użytkować starsze urządzenie i oszczędzić na koszcie zakupu nowego, czy je wymienić i oszczędzić na różnicy w wydajności – mniejszym zużyciu energii czy wody. Niektórzy konsumenci wymieniają przestarzałe, choć sprawne urządzenia. – Średni tzw. cykl życia produktu w naszych domach i mieszkaniach się skraca. Ale nie ze względu na jakość sprzętów, lecz ich dużo większą dostępność oraz zmianę podejścia konsumentów – tłumaczy Zygmunt Łopalewski, dyrektor ds. komunikacji korporacyjnej w firmie Whirlpool. – Nawet jedna trzecia oddawanych do elektrorecyklingu urządzeń to urządzenia w pełni sprawne – mówi Maj. Czy to ma sens środowiskowy? – W przypadku urządzeń AGD wpływ na środowisko nawet w 80 proc. wywierany jest właśnie w okresie użytkowania sprzętu, nie produkcji czy recyklingu – zaznacza Maj.

SUKCES NOWYCH PRZEPISÓW?

Maj podkreśla, że o sukcesie nowych przepisów będzie można mówić, jeśli spełnione zostaną takie warunki, jak odpowiedni czas na ich dostosowanie, przejrzystość regulacji, racjonalne wymogi formułowane w sposób, który pozwala na ich łatwe i odtwarzalne weryfikowanie przez inspekcję handlową. Jednocześnie wskazuje na niekonsekwencje istniejących przepisów. – Z jednej strony jest mowa o wydłużaniu okresu użytkowania, a z drugiej musimy co roku poddawać elektrorecyklingowi aż 65 proc. masy sprzętu sprzedanego – mówi Maj. – Polskie prawo też nie zachęca do dbałości o środowisko, ponieważ dzisiaj zabrania sprzedawcy dokonywania więcej niż jednej naprawy w okresie rękojmi. W efekcie sporo dobrego sprzętu zamiast trafić do naprawy staje się odpadem – dodaje Jacek Łęgiewicz, dyrektor ds. publicznych Samsung Polska.

Również dyrektor Dobek w działaniach unijnych urzędników widzi pewną sprzeczność. – Z jednej strony Komisja Europejska mówi o celach, jakimi są redukcja emisji CO_2 i oszczędność na energii, a z drugiej staje ona po stronie radykalnych środowisk prokonsumenckich, które chciałyby długoletnich, nawet 10-letnich gwarancji na te urządzenia. A żeby mówić o realnych zyskach środowiskowych, konsumenci muszą co jakiś czas dokonywać wymiany urządzeń, aby korzystać z coraz to nowych, lepszych rozwiązań inżynieryjnych – energooszczędnych i mających mniej szkodliwy wpływ na środowisko – mówi dyrektor Dobek.

Zdaniem Mateusza Benedyka, dyrektora generalnego Instytutu Misesa, każda regulacja życia gospodarczego ma swój koszt, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydaje się, że może dać tylko pozytywne rezultaty. Jak twierdzi, regulacje nakładające na producentów AGD wymogi dotyczące możliwości naprawy i serwisowania przyniosą mieszkańcom UE co najmniej dwa negatywne skutki. – Po pierwsze, zahamują innowacyjność. Producenci nie będą mogli eksperymentować z urządzeniami bardziej skomplikowanymi, choć trudniejszymi do naprawy. Ponadto wzrosną koszty związane z utrzymywaniem w produkcji części zamiennych – to także odbije się na budżetach przeznaczonych na rozwój nowych produktów i doskonalenie starych – mówi dyrektor Benedyk. – Po drugie, konsumenci będą mieli mniejszy wybór. Jedni użytkownicy wolą urządzenie niezawodne na lata, choć mniej skomplikowane, inni chcą mieć urządzenie najnowszej generacji, które maksymalnie ułatwi im użytkowanie, nawet jeśli muszą pogodzić się z częstszą wymianą sprzętu. Producenci eksperymentują z wprowadzaniem na rynek różnych rodzajów produktów i decydują się na większą produkcję tych, na które popyt jest większy. Gdyby ludziom zależało tylko na trwałości, to proste, trwałe urządzenia AGD królowałyby na rynku. Oczywiście wszyscy wolą produkty bardziej trwałe od tych, które psują się często, ale trzeba też zapytać, ile jesteśmy skłonni zapłacić za tę trwałość – zastanawia się.

Czy w takim razie te unijne regulacje są w ogóle potrzebne? – Jeżeli chodzi o duży sprzęt AGD, to nie spodziewałbym się żadnych korzyści dla przeciętnego gospodarstwa domowego – podkreśla dyrektor Mienik. – Najnowsze regulacje unijne są dobrym momentem, by zastanowić się, czy problem ze współczesnymi urządzeniami AGD nie leży już w innych regulacjach. Na mocy unijnego prawa urządzenia AGD mają m.in. oszczędzać wodę i prąd. Ogranicza to pole możliwych rozwiązań technicznych – być może przez to w produkcji stosowane są materiały lżejsze, ale mniej wytrzymałe. Właściwym krokiem byłoby raczej zlikwidowanie już istniejących regulacji nakładanych na producentów sprzętu i danie konsumentom pełnego wachlarza wyboru produktów – od wytrzymałych, choć prostych i energochłonnych, do nowych, energooszczędnych, choć nie tak trwałych jak inne – konkluduje dyrektor Benedyk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

Gujana – powrót. Zaczynam tam, gdzie skończyłem

Wojciech Cejrowski

Kiedy po zakończeniu wyprawy wyszedłem z dżungli, pierwsze kroki skierowałem do pewnej drewnianej stodoły. W tej stodole zaczynała się cywilizacja! Mieli generator, robili lód i miewali piwo

Za moimi plecami pozostała sawanna, za sawanną była dżungla i rzeka w dżungli, po której pływał dawno, dawno temu Arkady Fiedler i którą ja popłynąłem trochę dalej niż on. Ale to przeszłość – wyprawa, która się zakończyła – a teraz trzeba jakoś wrócić do domu, co w zasadzie stanowi osobną wyprawę. Powrót po własnych śladach.

Stoisz przed drewnianą stodołą na końcu świata, w tej stodole zaczyna się twoja cywilizacja, ale od tej stodoły do domu w Polsce jest jeszcze wiele dni drogi. Jeszcze wiele noclegów na ziemi lub na deskach jakiejś podłogi pełnej karaluchów lub na dnie łodzi, lub na pace starego pikapa, który rozkraczy się pośród pustkowia i wtedy… Czekamy, aż się tu ktoś pojawi i pomoże – ktoś w jakimś innym pikapie zmierzającym poprzez to samo pustkowie, poprzez które… bardzo rzadko ktokolwiek jeździ.

***

Stodoła. Była usytuowana na końcu gruntowego pasa startowego. Pas był w zasadzie nieczynny, chyba że z jakiegoś powodu musiał być „czasowo wznowiony". To polne lotnisko skreślano z mapy wiele razy, a potem je przywracano, bo nie było wyjścia, bo musiał tu dolecieć ktoś ważny lub wojskowy transport Gujańskich Sił Zbrojnych.

Te siły zbrojne mają bardzo ładną nazwę, ale w dwóch trzecich fałszywą – są, owszem, prawdziwie gujańskie i z tym się nie sprzeczam, ale nie są silne ani zbrojne. Raczej stare i rozklekotane, a najlepsze karabiny mają zdobyczne. Czasami udaje im się zatrzymać grupę brazylijskich przemytników lub poszukiwaczy złota i wtedy Gujańskie Siły Zbrojne wchodzą w posiadanie nowoczesnej broni i amunicji. Na co dzień żołnierze, owszem, czyszczą swoje karabiny, bo tak trzeba, ale dbają też bardzo o swoje prywatne maczety – na wypadek jakiegoś ataku chcesz się bronić (czymkolwiek), a karabin bez amunicji jest mniej poręczny (jako maczuga) od ostrej maczety udającej szablę.

No więc było tu lotnisko polne. (Nie mylić z polowym. Polne to jeszcze trochę mniej niż polowe). W zasadzie nieczynne, i ta stodoła, która pod jednym dachem mieściła biuro linii lotniczych, radiostację, sklep kolonialny, świetlicę i bar. Za stodołą były także dwie awionetki – jedna na chodzie, druga (ze złamanym skrzydłem) zaparkowana tam, gdzie się przewróciła. Stanowiła zbiór części zamiennych do tej pierwszej. Ponadto był tam generator prądu napędzany na diesel, czyli ropę, oraz stara maszyna produkująca lód. Jest prąd, jest lód, a gdy jest lód do drinków, możemy mówić o bardzo rozwiniętej cywilizacji.

Musicie wiedzieć, że w tamtej okolicy temperatura w ciągu dnia sięga pięćdziesięciu stopni Celsjusza. I nikogo to nie dziwi! Wieczorami spada gwałtownie do dwudziestu ośmiu i wówczas są tacy, którzy zaczynają dygotać. Niektórzy chodzą w swetrach.

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

Wszedłem do stodoły i siadłem przy barze. Zostałem powitany serdecznie przez wszystkich moich starych znajomych. Miesiąc czy dwa wcześniej żegnali mnie, pukając się w czoła i wytykając palcami. Wtedy szedłem do dżungli na spotkanie dzikiego plemienia, którego oni unikają jak… dzikiego plemienia. Wtedy byłem w ich oczach naiwnym głupkiem, desperatem, poszukiwaczem złota lub samobójcą i w zasadzie nie chcieli ze mną gadać. Teraz nie miało to znaczenia – dotarłem do dzikiego plemienia i WRÓCIŁEM. Cały! Stałem się więc atrakcją i źródłem opowieści, których bardzo chcieli posłuchać. Był lód, były szklaneczki, były Opowieści. Postawiłem im wszystkim lokalne piwo, a potem oni wszyscy wspólnie postawili mi piwo „importowane".

Import prawdziwy (bez cudzysłowu) polega na tym, że towar przechodzi przez jakiś punkt celny, a w tym przypadku mieliśmy do czynienia z nieoznakowanymi łodziami, które przepływały rzekę graniczną w nieoznaczonych miejscach i w nieznanym czasie wyładowane piwem i całą masą innych rzeczy „importowanych". Tak czy owak postawili przede mną prawdziwą wenezuelską flaszeczkę piwa Polar. Cieszyłem się, że pamiętali, co uznaję za znośne, a czego nie.

Poświęciłem im tyle czasu, ile trzeba, aby zbudować solidną więź. Przyda się bardzo przed następną wyprawą.

***

Przybycie białego człowieka w takie miejsca jak ta stodoła na końcu świata to rzadkość. Biały staje się chwilową atrakcją, ale nikt się do niego nie przywiązuje, bo przyjechał raz, ale przecież już tu nigdy nie wróci. Tu nie ma po co wracać – to oczywiste. A ten konkretny biały przyjechał raz, wyjechał do Indian, a teraz wrócił – to sensacja sama w sobie. Wrócił cały – to sensacja podwójna. Gdy zaś przyjadę tu po raz kolejny, za rok, dwa, nawet pięć lat – na kolejną wyprawę – będzie to dla nich sensacja nad sensacjami. Będę im wtedy bliższy niż ich rodzony brat. Brata mają na co dzień, a ja jestem jak lądowanie UFO. Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie i nie powtarzają się po kilka razy w jednym miejscu. Taki właśnie mam sposób na organizację trudniejszych wypraw – zaczynam je w tym samym miejscu, w którym skończyłem którąś z wypraw poprzednich.

Zostawiam wyraźne ślady w pamięci tubylców i czasami jakieś dodatkowe wyskrobane publicznie nożem na ścianie na wieczną pamiątkę. Gdy wracam po kilku latach, miejscowi są tak zaskoczeni, tak ucieszeni, że nagle wszystko, co poprzednim razem było niewykonalne, zakazane, objęte tabu, staje się łatwe, bo przecież staremu dobrze znajomemu compadre nie odmówią. Za pierwszym razem, gdy chcesz ruszyć gdzieś naprawdę daleko, w głąb niebezpiecznego regionu, wszyscy ci odmawiają pomocy. Ale kiedy do nich wrócisz po kilku latach, jesteś w stanie załatwić sobie lot na Marsa, a w dodatku wychodzi tanio – jak drobna przysługa dla rodzonego brata.

Naukowcy zatrudnieni na uniwersytetach zazwyczaj nie mają czasu – jedna wyprawa, jeden grant i musi się udać od pierwszego strzału. Ślizgają się więc po obrzeżach. Ja mam czas. Ile tylko chcę. Mam czas pojechać i wrócić, a potem pojechać znowu. Na tym to polega. Są rzeczy i sprawy, które wymagają czasu. Zostawiasz ślady i po nich wracasz. Jeżeli zostawiłeś ślady dobre, wracasz na swoje – to już twój teren. Oswojony. Własnym śladem znakowany, własną stopą przedeptany.

***

Gdy do tej drewnianej stodoły zajechałem po raz pierwszy, nadzorowałem transport „importowanego" piwa. Mnie powitano nieufnie, piwo entuzjastycznie. Wkrótce potem wyruszyłem na wyprawę w poszukiwaniu Indian.

Gdy po miesiącu czy dwóch wróciłem bezpiecznie, witano mnie jak świeże piwo lub dobrze znajome UFO. Wróciłem po własnych śladach do punktu wyjścia. Indianie mnie nie zjedli. Sukces.

Na pożegnanie i wieczną pamiątkę wyskrobałem pamiątkowy napis na ścianie stodoły: Tu byliśmy, podpisano: Arkady Fiedler, Tony Halik i WC. Nikt poza mną nie potrafił tego napisu przeczytać, ale nie to było ważne. Dla tubylców ten napis był jak starożytne runy, zostawione u nich na pamiątkę przez Pana UFO.

Minęło jedenaście lat i znów pojawiłem się w tej stodole. Kilka drobnych zmian, ale w zasadzie wszystko po staremu. Przedtem nie było w niej Internetu, a bywalcy nie mieli pojęcia, czym on jest. Teraz był Internet i było pojęcie. Podszedłem do mojego napisu na ścianie, puknąłem go palcem i powiedziałem: – To ja. Czy ktoś tu jeszcze pamięta, gdy to było skrobane?

– To nie ty, gringo. Tamci faceci już nie żyją – powiedział do mnie młody chłopak stojący za barem.

– A skąd to wiesz?

– Wygooglałem ich kiedyś. Słowo po słowie, cały ten napis. Większość słów nie wiem, co znaczy, ale te ostatnie cztery to imiona i nazwiska, i ci faceci już nie żyją.

– A ten trzeci tu?

– To nie jest facet, tylko ktoś wyskrobał WC, nie wiem po co. Chyba miał być żart.

– To WC to jestem ja.

– Naprawdę?!

– Naprawdę. Zawołaj swojego ojca. On mnie pozna.

Chłopak zawołał ojca, ojciec zawołał kolegów, oni poznali mnie, ja poznałem większość z nich. Zrobiła się sensacja – trzecie lądowanie UFO w tej samej stodole na końcu pasa startowego.

Atmosfera była bardzo sprzyjająca, zacząłem więc organizować sobie lot na Marsa – przejście przez dziewiczy las do Brazylii i dalej piechotą nad Amazonkę. Ale to osobna historia na inną okazję. Może za tydzień.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ZA TYDZIEŃ KOLEJNY ODCINEK CYKLU

eprasa.pl cd6d820ddb

Gwiazdy nie gasną

Łukasz Majchrzyk

Michael Jordan wciąż jest jedną z najważniejszych postaci sportu, fascynuje kibiców na całym świecie. Zarabia i pozwala zarabiać miliony dolarów

W 1998 r. po raz ostatni Jordan i jego koledzy z Chicago Bulls podnieśli w górę puchar za wygranie ligi NBA. Zostali „mistrzami świata", jak mówią w USA na najlepszą drużynę w NBA, trzeci rok z rzędu i dostali na pamiątkę mistrzowskie pierścienie. Byli u szczytu popularności.

Każdy, kto miał możliwość, chciał zobaczyć na żywo Jordana. Tak było już wiele miesięcy przed tym, zanim powiedział, że kończy swoją karierę (odchodzenie i wracanie Jordana do sportu to zresztą temat na oddzielny artykuł). W kolejkach po bilety stali celebryci – na filmie „The Last Dance", emitowanym w serwisie Netflix, szczęśliwy wejściówkę w ręku ściska m.in. znany aktor Gary Sinise. Kto się zdołał dostać na trybuny, ten wiele lat później mógł opowiadać, że widział na żywo mecz Jordana, nawet jeśli siedział w jednym z ostatnich rzędów wielkiej hali. Sam wielki koszykarz nie był wtedy szczęśliwy. Wydawał się wypalony. W jednej z archiwalnych scen, nagranych 20 lat temu, opowiada, leżąc na sofie w luksusowym pokoju hotelowym, że chce odejść, że ma dość takiego życia i tego, że nie może się nigdzie ruszyć, bo wszędzie biegają za nim fotoreporterzy i tłumy kibiców.

Przez lata, kiedy zajmował się biznesem i graniem w golfa, mogło się wydawać, że mit Jordana przygasł, przykryli go inni wspaniali sportowcy, ale serial, który przypomniał historię jego zwycięskiej drużyny, rozwiewa wątpliwości. Kibice znów mają o czym dyskutować. Starsi mogą wspominać, a młodsi słuchać i się uczyć o tym, jak to jest być mistrzem, wejść na szczyt i jaką cenę trzeba za to zapłacić.

CENA SŁAWY

Płacił ją Jordan, płacili też ludzie z jego otoczenia, bo on nie był miłym chłopcem, skoncentrowanym tylko na pracy. Koniecznie chciał wygrywać, a jeśli ktoś nie potrafił dotrzymać mu kroku, to musiał się z Chicago Bulls rozstać. Dla kolegów z drużyny, a nawet przełożonych bywał ostry, brutalny, wręcz chamski, a jednak uchodziło mu to na sucho, chociaż w serialu padają też słowa, że „to organizacje zdobywają mistrzostwo". Jerry Krause, generalny menedżer, który zbudował skład i był współautorem sukcesów Bulls, stał się w pewnym momencie największym wrogiem Jordana, publicz-

FOT. KEVORK DJANSEZIAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl cd6d820ddb

nie ośmieszanym. A jednak wszyscy się na takie sytuacje godzili, a przynajmniej przymykali na nie oczy.

Koledzy z drużyny i rywale z parkietów, nawet jeśli się na niego złościli, to mogli mu być wdzięczni za to, że pomógł wynieść NBA na wyżyny marketingowo-biznesowe. Liga stała się tak potężną machiną do zarabiania pieniędzy, że nawet przeciętni gracze w pewnym momencie mogli liczyć na kontrakty warte miliony dolarów. Jordan budził największe emocje, ściągał ludzi na trybuny, także wówczas, gdy wznowił karierę jako 38-latek w barwach Washington Wizards. Klub z Waszyngtonu też wyprzedawał komplety biletów, chociaż Wizards nie odnosili sukcesów – liczył się Jordan.

W świecie NBA jak mało gdzie potrafią liczyć dolary i wiedzą dobrze, że sport to biznes. Trzeba sprzedać emocje, zarabiać na ludzkich marzeniach, potrzebie bycia kimś lepszym. Właśnie Jordan idealnie wpisywał się w ten schemat, kiedy w 1984 r. pojawił się w Chicago Bulls. Ludzie go pokochali. Nie był jakimś wielkoludem, których pełno na koszykarskich parkietach, ale potrafił latać, ośmieszać rywali, walczyć o zwycięstwo do samego końca i wydrzeć je nawet w ostatnich sekundach. Potrafił błyszczeć w finale NBA, walcząc jednocześnie z wysoką gorączką. Nawet jeśli ktoś słyszał o tym, że Jordan nie był miłym gościem, to szybko o wszystkim zapominał. I szedł kupować bilety na mecze. Jak wyliczyli autorzy artykułu „Jordan Economy", dzięki gwieździe Bulls kluby, przeciwko którym grał, sprzedały bilety za ponad 30 mln dol. (nie licząc czasów jego gry w Washington Wizards), a sam klub z Chicago zarobił jeszcze wielokrotnie więcej, bo aż 135 mln dol. (przy tamtych cenach, bo dziś byłoby to więcej).

IDOL DLA MILIONÓW

To w dużej mierze dzięki niemu NBA stała się wielką machiną do zarabiania pieniędzy, a widać to w liczbach. Liga potrzebowała idola, który skłoniłby kibiców do wydawania pieniędzy na pamiątki. W 1983 r., czyli na rok przed pojawieniem się Jordana, cała liga zarabiała na gadżetach ledwie 44 mln dol. Już w sezonie 1995–1996, kiedy Jordan wrócił do gry po półtorarocznej przerwie, wartość pamiątek sygnowanych logo NBA wyniosła 3,1 mld dol.

Tak działała magia jego nazwiska. Dzięki niemu Nike z lokalnej firmy ze stanu Oregon stał się jednym z największych producentów sprzętu sportowego na świecie. I pomyśleć, że kiedy Jordan startował do wielkiej kariery, to rynek butów w NBA był zdominowany przez firmę Converse, którą reklamowały największe gwiazdy. Jordan, jego rodzina i agent chcieli własnej linii butów, jak dowiadujemy się z serialu, emitowanego na platformie Netflix, a tylko Nike był mu w stanie to zaoferować. Na pewno już kilka lat później koncerny, które miały szansę na związanie się z nim umową, żałowały, że nie wykonały tego kroku.

Sonny Vaccaro, menedżer Nike, który przekonał Jordana do podpisania kontraktu z firmą ze stanu Oregon, stwierdził, że to dzięki Jordanowi sportowcy podpisują teraz tak wysokie kontrakty reklamowe. Ciężko to udowodnić, ale coś w tym musi być, skoro od czasów Jordana właściwie każda wschodząca gwiazda dostaje ogromny kontrakt od firmy obuwniczej. Tak było np. z LeBronem Jamesem, który zawarł z Nike olbrzymi kontrakt, nawet zanim zagrał pierwszy mecz w lidze NBA. Wystarczyły opinie wielkiego talentu, który może zdominować ligę na wiele lat, i wspomnienie tego, jak było z Jordanem – zawsze mogło się okazać, że wypuszcza się z ręki diament. James dostał za tę umowę 87 mln dol., a mógł nawet 115 mln dol. od firmy Reebok, ale perspektywa „wejścia w buty Jordana" była bardzo kusząca.

LeBron James zarabia teraz rocznie ok. 32 mln dol. ze sprzedaży przez Nike produktów sygnowanych jego nazwiskiem. To olbrzymia fortuna, ale i tak zaledwie niewielka część tego, co dostaje emerytowany gwiazdor NBA. Produkty podpisane Air Jordan przyniosły Nike 3,14 mld dol. (rok podatkowy kończył się ostatniego dnia maja 2019 r.), a sam Michael dostał z tego tytułu 130 mln dol. Zion Williamson, kandydat na wielką gwiazdę, poszedł inną drogą – stał się nową twarzą linii Air Jordan, a kiedyś pewnie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planami marketingowców, dostanie własną markę.

To zresztą pokazuje, jak wielki cień rzuca Jordan na całą ligę NBA i kolejne generacje koszykarzy. Przez 20 lat od zakończenia kariery przez gwiazdora Chicago Bulls każdy wielki talent był nazywany jego następcą i podobnie jak w przypadku szukania nowych geniuszy futbolu często tego brzemienia nie potrafił udźwignąć. Właściwie tylko nieżyjący już Kobe Bryant oraz LeBron James wytrzymują porównania z Jordanem. Temu pierwszemu rad udzielał sam Jordan, nazywając go młodszym bratem. Bryant rewanżował się, mówiąc, że to gracz Chicago Bulls był jego idolem i nawet naśladował jego zagrania na parkiecie.

KTO GO PRZEŚCIGNIE?

James ciągle chyba marzy i myśli o tym, by prześcignąć Jordana i stać się tym największym. Wyprzedził już byłego gwiazdora Bulls w liczbie zdobytych punktów, zbiórek, asyst, rzuca z lepszą skutecznością, właściwie brakuje mu tylko wyrównania lub przegonienia Jordana w liczbie zdobytych tytułów mistrzowskich. Ciągle wielu kibiców dyskutuje, który był lepszy, i jeśli w dyskusji zaczyna zwyciężać zwolennik obecnych czasów, to zawsze można wyciągnąć z rękawa asa – Jordan ma dwa razy więcej tytułów mistrzowskich.

Dwa lata temu James przeniósł się do Los Angeles i z punktu widzenia zmierzenia się z legendą Jordana był to idealny ruch. W drużynie Lakers ma szansę dołożyć do kolekcji kolejne mistrzowskie tytuły i przy okazji przywrócić dawny blask jednej z najbardziej utytułowanych drużyn w NBA. W tym zespole przed laty grali legendarni koszykarze, tacy jak Magic Johnson, Shaquille O'Neal czy Kobe Bryant. To z Lakersami Jordan bił się o swój pierwszy mistrzowski tytuł w karierze, a teraz James może przynieść chwałę do Los Angeles. Ta decyzja miała wpływ na układ sił w całej lidze, jednych zawodników skłoniła do podpisania umowy z Lakers, innych, którzy walczą o własną sławę, pewnie odstręczyła od tej decyzji.

Każdy wie, że jeśli ta misja Jamesowi się uda, to zyska kolejny argument w dyskusji o tym, kto był i jest najlepszym koszykarzem w historii. Tym bardziej że nosi na koszulce legendarny numer 23, którego używał Jordan. James twierdzi, że wybrał te cyfry w hołdzie swojemu idolowi.

Jednak zanim to się stanie, jeśli w ogóle nastąpi, to na ekranach w przyszłym roku pojawi się film „Kosmiczny mecz 2", w którym główną rolę zagra LeBron James. Równo 25 lat temu w pierwszej części tej kreskówki wystąpił Jordan. Film stał się kasowym hitem, niekoniecznie z powodu świetnej fabuły, ale właśnie dlatego, że pojawił się w nim gwiazdor koszykówki, będący wtedy u szczytu popularności. Czas pokaże, czy LeBron okaże się przynajmniej lepszym aktorem, niż był Jordan.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl cd6d820ddb

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Januszem Heitzmanem, wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Pandemia to nie tylko klęska

KATARZYNA PINKOSZ: Część osób nosi maseczki i obawia się zakażenia, inni uważają, że koronawirus nie jest zagrożeniem. Co dzieje się z naszą psychiką w fazie przewlekłej epidemii?

PROF. JANUSZ HEITZMAN: Nadal wiele osób czuje się zagrożonych. Ograniczenia i nawoływanie do pozostania w domu wywoływały negatywne konsekwencje dla zdrowia psychicznego. Widać było wzrost spożycia alkoholu, przemocy domowej, zachowań konfliktowych. Wielu osobom zajrzało w oczy widmo obniżenia dotychczasowego poziomu życia przez likwidację miejsc pracy, spadek dochodów. Lęk wynikający z zagrożenia koronawirusem zmienił się w lęki o charakterze ekonomiczno-społecznym, które powodowały uczucie wewnętrznego niepokoju i braku bezpieczeństwa, podsycane przez sprzeczności w przekazach informacyjnych. Nadal istnieje zagrożenie epidemiczne, są też informacje, że wirus może zmutować. Powoduje to lęk, szczególnie u osób z grup ryzyka, starszych, mających choroby współistniejące.

W trudnej sytuacji są też osoby już wcześniej mające depresję, lęki?

Tak, nie dotyczy to jednak tak bardzo osób mających psychozy. Okazuje się, że jeśli bodźce zewnętrzne są bardzo silne, to osoba, która ma np. urojenia, zaczyna mniejszą uwagę poświęcać własnemu wnętrzu – temu choremu, psychotycznemu.

Leczy ją poczucie zagrożenia?

Osacza ją w realnych problemach. Epidemia ma też korzystny wpływ na osoby, które były objęte pewną formą społecznego odrzucenia, ostracyzmu, np. ze względu na inny, zwracający uwagę wygląd fizyczny czy zachowanie. W momencie założenia maski wtopiły się w tłum. To takie poczucie: „Jestem taki jak inni, bo maseczkę nosi i piękny, i szpetny". Zrównanie społeczne dla wielu osób było bardzo korzystne.

W trudnej sytuacji są osoby, które zostały zakażone koronawirusem. Oba-

eprasa.pl cd6d820ddb

wiały się nasilenia zaburzeń oddychania, podłączenia do respiratora, zaburzeń świadomości, śmierci. W podobnej sytuacji były osoby pracujące z zakażonymi. Często dotykał je zespół przewlekłego zmęczenia i wypalenia zawodowego.

W pierwszym etapie epidemii liczba sprzedawanych środków antydepresyjnych wzrosła o ok. 20 proc. Aż tak wiele osób ma problemy z psychiką?

Sprzedaż środków antydepresyjnych stale wzrasta, to coraz bardziej powszechny problem. Leki przeciwdepresyjne nowej generacji przyjmuje codziennie ok. 1,5 mln osób w Polsce. Często przepisują je lekarze różnych specjalności, gdy pacjent np. ma cukrzycę i jednocześnie obniżony nastrój. Nie zawsze są to objawy dużej depresji, choroby afektywnej jedno- czy dwubiegunowej.

Dlaczego nie radzimy sobie z trudnymi sytuacjami, tylko musimy brać leki?

Jeśli zawodzą inne sposoby radzenia sobie z sytuacją trudną, to leki są jedynym rozwiązaniem. Ktoś, kto nie może spać, w pewnym momencie sięgnie po tabletkę. Leki nowej generacji nie powodują uzależnienia, jak to było w przypadku benzodiazepin. Część osób z powodu lęku przed zakażeniem zaczęła w ilościach niekontrolowanych przyjmować suplementy diety, o których usłyszała, że zwiększają odporność. Gdy mamy poczucie ograniczonych możliwości radzenia sobie z trudną sytuacją, chwytamy się wszystkiego, by poprawić samopoczucie.

Przez COVID wzrosła liczba osób z zaburzeniami depresyjnymi i lękowymi?

Na całym świecie wzrasta liczba zaburzeń depresyjnych. Występują średnio u ok. 20 proc. narażonej populacji. Jeśli uznamy, że cała populacja Polski była narażona z powodu stresora, jakim jest epidemia COVID-19, to u 20 proc. ujawniają się objawy. Większość osób ma sposoby radzenia sobie z trudną sytuacją, np. ucieka w pracę, hobby, potrafi rozładować uczucie lęku. Niektórzy uzależniają się od alkoholu, gier komputerowych, smartfona albo np. od jedzenia. Z tych, którzy sami nie potrafili sobie poradzić, ok. 20 proc. będzie wymagało jakiejś formy wsparcia psychologicznego, a niektórzy, przez pewien czas, także leczenia. To może być nawet 200–300 tys. osób.

Jest jednak też druga strona: niektórzy zaczęli bardziej twórczo funkcjonować w swoich domach, odkrywali swoje talenty, np. komponowali piosenki, rapowali. Okres izolacji i wyciszenia jest też okresem wzmożonej refleksyjności, to takie przyspieszone dojrzewanie społeczne, emocjonalne. Mamy więcej czasu na zastanowienie się nad sobą, życiem, decydowanie o tym, co mogę jeszcze zrobić. Odnoszę wrażenie, że szczególnie młodzi ludzie, na progu dorosłości, obudzili się społecznie, zaczęli się określać również w wyborach politycznych. Pandemia ma nie tylko wymiar klęski. W trudnej sytuacji są za to osoby starsze, gdyż osamotnienie, izolacja, ryzyko choroby zawsze rodzi pytania: „Czy starczy mi pieniędzy na leczenie, opiekę, leki?", „Co będzie, jak nie będę mógł wyjść z domu?". Osoby starsze są też bardziej podatne na zagrożenia wzniecane przez media, bo częściej przebywają w domu, cały dzień mają w telewizji przekaz, że ludzie chorują, umierają.

Ci, którzy przeżyją zagrożenie, lepiej potem radzą sobie z kolejnymi trudnymi sytuacjami, nie ulegają łatwo panice ani histerii. Kolejna fala epidemii, jeśli nadejdzie, trafi na społeczeństwo bardziej przygotowane i odporne

Są jednak też osoby świetnie radzące sobie w stresujących sytuacjach: zgłaszają się do szpitali, pomagają. Nie obawiają się zagrożenia?

To efekt uruchomienia wewnętrznych mechanizmów psychologicznych radzenia sobie z trudną sytuacją. Robiono takie badania dotyczące osób, które przeżyły ciężką sytuację związaną z pobytem w obozach koncentracyjnych, były prześladowane z przyczyn politycznych w latach 50., przebywały w celach śmierci, były deportowane w głąb ZSRS. Osoby słabsze psychicznie „rzucały się na druty", umierały z powodu osłabienia odporności, ciężej chorowały np. na tyfus. Osoby o silniejszej psychice lepiej radziły sobie z chorobami. Ci, którzy przeżyli, lepiej potem radzili sobie z kolejnymi trudnymi sytuacjami, nie ulegali łatwo panice ani histerii. Często wspierali innych.

Część osób, zwłaszcza młodych, neguje istnienie epidemii. Skąd taka postawa?

Jeśli mówi się, że z powodu koronawirusa chorują głównie osoby starsze, to młodzi myślą, iż to naturalny porządek świata. Może po to, żeby „oczyścić" społeczeństwo ze starych, schorowanych, którzy są „kosztem". To krótkowzroczne myślenie i duża rola pedagogów, którzy powinni rozmawiać z młodymi o wartościach. Nie można myśleć: „Jestem młody, więc należy mi się więcej niż temu, który jest stary". Zwłaszcza że przecież to starsze osoby zapracowały na to, żeby młodzi mieli dziś ten smartfon, wymarzony poziom technicznej cywilizacji i poczucie bezpieczeństwa. Młodzi nie potrafią sobie tego uświadomić, nikt im też o tym nie powiedział. Niestety, w szkołach realizuje się podstawę programową, a nie uwrażliwia na problemy innych.

Coraz więcej osób wręcz uważa, że to problem sztucznie wymyślony.

Gdyby te osoby zaprowadzić na oddział, na którym prowadzi się wspomagane oddychanie za pomocą respiratora, i zaproponować, żeby zdjęły maseczkę, to pewnie nikt by tego nie zrobił. Bagatelizowanie zastrzeżeń i niewiara w chorobę są typowe dla osób, które nigdy nie przeżyły bezpośredniej konfrontacji z zagrożeniem, a problemy oglądają tylko w telewizji lub Internecie. Postawa zmienia się, gdy choroba dotyka rodziny, bliskich. Gdyby chorowała co druga rodzina, 30 proc. kolegów, postawa byłaby inna. A tak wciąż wydaje się to tak dalekie od nas, że aż nieprawdziwe. Ale to też kwestia zaniedbań edukacyjnych.

Skutki epidemii dla naszej psychiki już są widoczne?

Tak, jednak nie są to tylko skutki negatywne. Konfrontacja z zagrożeniem może uodparniać, wskazywać sposoby radzenia sobie z trudną sytuacją. Mamy dwa sposoby reakcji na zagrożenie: albo uciekamy, albo walczymy. To jest albo ucieczka, albo atak. Kolejna fala epidemii, jeśli nadejdzie, trafi na społeczeństwo bardziej przygotowane, bardziej odporne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Janusz Heitzman – jest wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, pełnomocnikiem ministra zdrowia ds. psychiatrii sądowej.

eprasa.pl cd6d820ddb

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Carewicz zabity przez cara

Prawdopodobnie 16 listopada 1581 r. władca Moskwy Iwan Groźny zabił swojego syna Iwana Iwanowicza, liczącego wówczas 27 lat, naturalnego następcę tronu, najstarszego z potomków. Zabił okrutnie, nagle, z taką samą wściekłością, z którą bił i okaleczał dworzan przez całe życie. Uderzeniem posocha, czyli metalowej laski, symbolu władzy wielkiego księcia, tytułującego się nieuznawaną przez Rzeczpospolitą godnością cara. Ten posoch zmienił drastycznie historię kolejnych 40 lat dziejów Księstwa Moskiewskiego.

Jeśli wierzyć licznym biografom Iwana Groźnego i jego synów, w tym Władysławowi A. Serczykowi, to Iwan „był prawie wierną kopią swego ojca". Tak samo jak on słynął z okrucieństwa, był jednak posłuszny, przynajmniej do czasu, Iwanowi, który rządził jego życiem, jak tylko chciał. Przede wszystkim zmieniał mu kolejne żony, szukając takiej, której pozycja wzmocniłaby pozycję przyszłego cara. Pierwszą i drugą – Eudokię Saburową i Paraskewę Sołową – kazał zamknąć w klasztorze, ożenił go też w końcu z trzecią – Heleną Szeremietiewą. Oczywiście związki małżeńskie nie przeszkadzały carowi i jego synowi w utrzymywaniu tabunów nałożnic.

Czy Iwan miłował syna? Na swój sposób tak – gdyż szykował go na następcę tronu. Jego starszy brat Dymitr utonął w rzece w czasie podróży w 1553 r. Młodszy Fiodor był zaś niespełna rozumu. Nikt zatem i nic nie zagrażało sukcesji carewicza. Ze skąpych przekazów historycznych wiadomo, że umiał czytać i pisać – był autorem żywota świętego Antoniego Sijskiego. Innymi przymiotami nie zdołał zasłynąć, ciekawe jednak, że w latach 1573–1575 wymieniano go jako kandydata do tronu Rzeczypospolitej po śmierci Zygmunta Augusta i ucieczce kolejnego króla – Henryka Walezego.

FOT. WIKIPEDIA

Do dziś istnieją dwie różne wersje śmierci Iwana. Pierwsza tragiczna. Otóż Iwan Groźny zastał Helenę, żonę syna, w niekompletnym stroju, w pałacu. Zdenerwowany uderzył ją lub pobił, co wywołało poronienie, gdyż była w ciąży. Wywołało to gniew carewicza, który następnego dnia wpadł przed oblicze ojca, krzycząc, że pozbawił go nie tylko dwóch poprzednich żon, lecz także dziecka – bądź co bądź kolejnego następcy Groźnego. Wówczas car uderzył go posochem w skroń; Iwan upadł, stracił przytomność i zmarł po trzech lub czterech dniach.

Druga wersja wygląda na sfabrykowaną, gdyż jest zupełnie inna. Pamiętajmy, że w listopadzie 1581 r. trwała wojna z Rzecząpospolitą, a armia króla Stefana Batorego oblegała Psków. Car tak bał się naszego króla, że nie odważył się stawić mu czoła. I o to właśnie poszło w kłótni z synem, który na radzie bojarów zażądał wyruszenia w pole albo oddania mu komendy nad wojskami idącymi z odsieczą. Groźny zaczął wówczas bić Iwana, w czym usiłował mu przeszkodzić carski faworyt Borys Godunow, i jak podaje Serczyk: „swoją śmiałość przypłacił ciężkim pobiciem". To właśnie wówczas miała miejsce scena uwieczniona na obrazie Ilji Riepina, kiedy przerażony starzec car przyciska do piersi okrwawionego syna. Nawet jednak najlepsi lekarze nie zdołali uratować ciężko rannego Iwana.

Po śmierci syna Groźny wpadł w najgłębszą rozpacz. Spędził przy zwłokach trzy dni, nie jedząc, nie śpiąc, nie odzywając się do nikogo. W pogrzebie szedł w czarnej mantii mnicha, a w soborze archangielskim płakał, krzyczał i przeklinał sam siebie. Jednocześnie tragedia wzmocniła tylko jego szaleństwo – wkrótce wezwał bojarów i oświadczył, że zamierza abdykować. Ponieważ zaś kolejny syn Fiodor nie był w stanie rządzić, zaproponował im niespodziewanie, aby… sami wybrali sobie następcę. Był to jednak kolejny sprawdzian lojalności, podobne urządzał zresztą Stalin niecałe 400 lat później, dlatego dostojnicy prosili władcę, aby dalej nad nimi panował. Car jednak nosił zbrodnię w sercu, podobno do końca życia nie nakładał korony, chodził w żałobie.

Śmierć carewicza Iwana stała się tak naprawdę początkiem wielkiej smuty w Moskwie. Po prostu po Groźnym nie miał kto odziedziczyć władzy. Car pozostawił po sobie niepełnosprawnego umysłowo Fiodora, który stał się wkrótce marionetką w ręku wpływowego dostojnika Borysa Godunowa. Najmłodszy syn Groźnego, Dymitr, urodzony niemal rok po śmierci carewicza Iwana, zginął zesłany do Uglicza w 1591 r., w niejasnych okolicznościach, które sprawiły, że o jego śmierć podejrzewano ówczesnego władcę Moskwy, którym był właśnie Godunow. Ten sam rzekomo cudownie uratowany Dymitr powrócił w 1604 r. jako Samozwaniec I, nakłaniając polskich magnatów do wyprawy na Moskwę, rozpoczynając sławne i krwawe dymitriady. Można ich było uniknąć, gdyby nie zabójstwo carewicza Iwana w 1581 r. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

BUŁGARSKI TARATOR, CZYLI SPOSÓB NA UPAŁ BEATY FIDO

W gorące letnie dni uwielbiam jeść tarator, czyli tradycyjny bułgarski chłodnik przyrządzony na bazie zsiadłego mleka, ogórków, orzechów i czosnku. To świetna alternatywa dla popularnego w Polsce chłodnika z botwinki. Ta lekka i orzeźwiająca potrawa rodem z Bałkanów pozwala mi przetrwać upały.

Jeżeli nie boicie się nowych smaków w waszej kuchni, to koniecznie spróbujcie chłodnika prosto z Bułgarii. Tarator to danie pyszne, zdrowe i proste w przygotowaniu. Smacznego!

Składniki:

- 500 g zsiadłego mleka
- 2 ogórki
- 4 ząbki czosnku
- 3 łyżki posiekanych orzechów włoskich
- 1/2 młodej cebuli
- 2 łyżki siekanego koperku
- 2 łyżki siekanego szczypiorku
- jogurt grecki
- oliwa z oliwek
- sól i pieprz

Przygotowanie:

Podstawą tego dania jest zsiadłe mleko. Najlepiej zrobić je samemu ze świeżego mleka. Następnie myjemy, obieramy i kroimy ogórki w małą kostkę. Czosnek siekamy. Jego ilość zależy od indywidualnych preferencji. Ja dodaję 4 ząbki. Pamiętajcie, żeby nie korzystać z praski do czosnku. Najlepiej smakuje posiekany nożem. Zajmie to trochę więcej czasu, ale wierzcie mi – warto. Później siekamy w drobną kostkę młodą cebulę. Wszystkie składniki przekładamy do garnka i dodajemy zsiadłego mleka. Mieszamy składniki razem. Na koniec dodajemy koperek, szczypiorek oraz doprawiamy do smaku pieprzem i solą. Chłodnik musi być zimny, wtedy najlepiej smakuje. Możemy go schłodzić, wstawiając na kilka godzin do lodówki lub dodać do niego kostki lodu. Przed podaniem chłodnik posypujemy posiekanymi orzechami włoskimi. Tarator podajemy z niewielką ilością jogurtu greckiego. Zupę skrapiamy oliwą z oliwek i ozdabiamy koperkiem. ©℗

oprac. raw

Beata Fido jest aktorką.

FOT. ARCHIWUM BEATY FIDO

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Rozsądna dawka UV

Jakieś 10, 15 lat temu, gdy pod koniec lata człowiek pokazał się w biurze z białą skórą, wzbudzał politowanie. Panie kokietowały dekoltami spieczonymi na skwarkę (czy już nie wypada powiedzieć „na Murzyna"?) i w kawowej kanciapie porównywały odcienie brązu. Jednym słowem – wakacje były po to, żeby się opalić. Tylko biedacy, nieudacznicy i chorzy mieli białą skórę. Kto nie wyjechał nad morze, ten dosmażał się, leżąc plackiem na balkonie.

Po czym szczęśliwy ten stan należało jak najdłużej utrzymać, czytaj – pielęgnować, za pomocą chemii lub łóżka opalającego. I tak do jesieni. A były i fanatyczki, którym kolor karnacji gwiazd porno udawało się podtrzymać przez okrągły rok. Ich idolką była Doda, solaria robiły karierę, podobnie słowo „tipsiara".

Dziś z tamtych czasów pozostały tu i ówdzie wrzucane zdjęcia na Facebooku, na których człowiek płci dowolnej dumnie pręży się na plaży pod palmą, prezentując złotobrązowe umaszczenie. Czasem na zdjęciu na tle oceanu widzimy tylko (opalone) stopy, obok których ustawiono kieliszek, w domyśle – prosecco. Obrazek ma wzbudzać zazdrość siedzących przy biurku, świadczyć o statusie finansowym sfotografowanego i być dowodem najwyższej satysfakcji z życia.

Nagle jednak zarówno zdjęcia z egzotycznej wyspy, i tak w obecnej sytuacji nieosiągalne, jak i intensywna opalenizna, a szczególnie taka z solarium, zaczęły być nie tylko niemodne, lecz także obciachowe. Alarmujące dane o dziurze ozonowej, o wzrastającej liczbie zachorowań na raka skóry zrobiły swoje. A już szczególnie zdradliwe, żeby nie powiedzieć – śmiertelnie niebezpieczne, okazały się łóżka opalające.

FOT. ADOBE STOCK

Czyżby nastąpił powrót do bardzo starych czasów, kiedy smagłe ciało oznaczało przynależność do klasy pracującej, a bladolice damy z elity pod osłoną kapeluszy i parasolek spacerowały po nadmorskich deptakach? Czujne, żeby nie dosięgnął ich kompromitujący promień słońca. Sytuacja zmieniła się dopiero w latach 20. Prekursorką trendu na zdrowy styl życia, sport i opalone ciało została Gabrielle Chanel. W tym stanie wiedzy utrzymaliśmy się prawie 100 lat. Dzisiaj na ulicach jakoś mniej widzi się dodopodobnych dziewczyn. Szaleństwo opalania jakoś minęło. Na plażach widok smażących się bez opamiętania ciał nie należy jednak do przeszłości, ale u większości zwyciężył rozsądek. Rozsądną dawkę UV można pobrać zarówno dla zdrowia, jak i urody. Ale bez przesady. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

TEST „DO RZECZY": IROBOT ROOMBA I7+

Możliwość sterowania robotem za pomocą aplikacji, opcja sprzątania konkretnych pomieszczeń oraz automatycznego opróżniania pojemnika na kurz i śmieci – to największe zalety robota sprzątającego amerykańskiej firmy iRobot.

Utrzymany w ciemnej kolorystyce robot dzięki zamontowanej kamerze tworzy wirtualną mapę pomieszczeń. Zajmuje to około trzech–pięciu cykli pracy. Robota można jednak najpierw wysłać na misję szkoleniową (wówczas nie odkurza, ale jedynie mapuje). Taka mapa w połączeniu z aplikacją na smartfony sprawia, że robotowi można kazać odkurzyć konkretny pokój lub np. tylko salon. Można również wysłać robota do sprzątania całego mieszkania poza konkretnym pomieszczeniem, np. bez kuchni, lub ustawić harmonogram odkurzania pokoi przez cały nadchodzący tydzień. Dzięki temu robot może każdego dnia zajrzeć do kuchni i przedpokoju, ale już do głównej sypialni wjeżdżać rzadziej, bo nie wymaga ona tak regularnego sprzątania.

Brakuje jednak opcji śledzenia na bieżąco, którą trasą poruszał się robot (łatwiej by go było wówczas znaleźć, gdy powiesi się na suszarce na pranie, zawiesi lub zablokuje pod kaloryferem). W aplikacji można jednak sprawdzić, ile czasu trwało ostatnie sprzątanie, i upewnić się, jak dużą powierzchnię robot posprzątał w ostatnim cyklu.

Roomba ma również czujnik brudu, dzięki któremu jeśli robot wykryje mocniej zabrudzony fragment podłogi, to jeździ do przodu i do tyłu, aż uzna, że jest już wystarczająco czysto. Robot potrafi sprzątać bez przerwy przez ok. 75 minut, po czym grzecznie sam wraca do bazy. Model i7+ lepiej radzi sobie ze sprzątaniem wyższych dywanów, na które potrafi się wdrapać (poprzednie testowe roomby traktowały je jako przeszkodę i omijały).

Najfajniejszym bajerem jest jednak wysoka (półmetrowa) stacja dokująca Clean Base. To dodatkowy odkurzacz, który służy do automatycznego opróżniania niewielkiego pojemnika robota. Dzięki temu robot może wielokrotnie sprzątać nawet duże powierzchnie lub mieszkanie pełne sierści psów i kotów, a użytkownikowi pozostaje potem jedynie wyrzucić worek z iRobot Clean Base. Stacja dokująca może pomieścić śmieci z 30 zbiorników Roomby, co teoretycznie oznacza, że worek ze śmieciami można wyrzucać co 30 dni. Dzięki temu sprzątanie za pomocą robota staje się jeszcze bardziej zautomatyzowane. Jedyną wadą takiego rozwiązania jest to, że odgłos opróżniania pojemnika przypomina pracę dawnych, tradycyjnych odkurzaczy o dużej mocy. Przez chwilę jest więc głośno.

Mimo rosnącej konkurencji ze strony takich firm jak Xiaomi, Neato czy Samsung, Roomba i7 z samoczyszczącą stacją bazową wciąż jest jednym z najlepszych robotów sprzątających na polskim rynku. Dla osób, które nie korzystały wcześniej z robota sprzątającego, doświadczenie z jego użytkowania przypomina rewolucję po wprowadzeniu pralek automatycznych i zmywarek. Cena testowanego modelu: 3299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SŁUCHAWKI DLA ŚPIOCHÓW

Amazfit ZenBuds to nietypowe słuchawki. Ich zadaniem nie jest odtwarzanie ulubionych utworów, lecz ułatwianie skupienia i wspomaganie snu. Słuchawki zmniejszają hałas z zewnątrz i odtwarzają relaksujące dźwięki tak długo, aż czujniki wykryją, że użytkownik już zasnął. Urządzenie wposażone jest również w funkcję monitorowania jakości snu oraz tętna. W aplikacji można sprawdzić, w jakiej pozycji się spało, a także ile czasu trwały poszczególne fazy snu. Słuchawki są też wyposażone w opcję dyskretnego budzika, dzięki któremu mogą obudzić tylko użytkownika. W dzień gadżet można wykorzystać, aby móc się łatwiej skupić. Amazfit ZenBuds można zamawiać za pośrednictwem platformy Indiegogo. Cena to 69 dol. (równowartość 276 zł).

INTELIGENTNY KASK

Lumos Ultra to najnowsza generacja innowacyjnego kasku rowerowego. Z przodu jest on wyposażony w białe światło LED. Z kolei czerwone diody zamontowane z tyłu kasku pozwalają z daleka dostrzec rowerzystę. To jednak nie wszystko. Jeżeli użytkownik kasku nosi na ręku Apple Watch i sparuje go z kaskiem, to po wykonaniu przez niego odpowiednich gestów LED-y na kasku zadziałają jak klasyczne samochodowe kierunkowskazy, ułatwiając rowerzyście wykonywanie manewrów na zatłoczonych ulicach. Kask kosztuje na Kickstarterze 79 dol. (równowartośc 315 zł). Pierwsze dostawy zaplanowano na listopad. Producent zebrał już od chętnych niemal 2 mln dol. ©℗

Jacek Przybylski

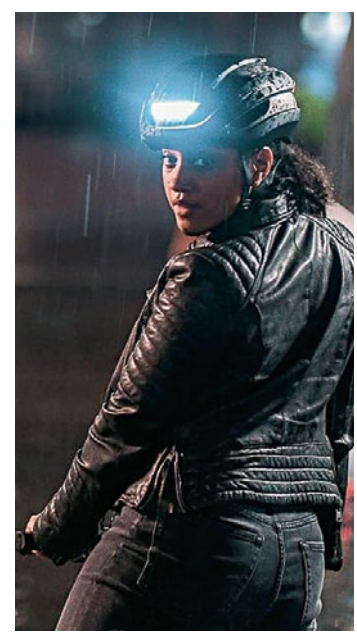

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl cd6d820ddb

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zlikwidujmy te wybory

Robienie tygodnika opinii na powyborczy poniedziałek to prawdziwy koszmar. Przewidywanie wyników może się bardzo źle skończyć, o czym przekonał się pewien tytuł wieszczący nie tak dawno klęskę Donalda Trumpa. Z kolei treści ogólnie słuszne i bardziej neutralne mało kogo obchodzą w chwili, kiedy już wiadomo, kto wygrał.

Ja mam to szczęście, że rzadko piszę o polityce, ale w tak newralgicznym momencie nie chcę iść na łatwiznę. Solidarnie napiszę coś związanego z prezydenturą. Otóż byłoby bardzo miło, gdybyśmy za pięć lat nie musieli się głowić w piątek, co napisać na powyborczy poniedziałek.

Jestem w tym chyba osamotniony, ale trudno. Uważam, że w Polsce należałoby skasować powszechne wybory prezydenckie. Generują one niewspółmiernie dużo emocji w stosunku do roli, jaką odgrywa u nas głowa państwa. Daleko jej do pozycji prezydenta w USA czy we Francji. A mimo to dla wielu Polaków to najważniejsze wybory, co łatwo zrozumieć, zważywszy na ich personalizację.

W dodatku prezydent wybierany powszechnie absolutnie nie jest w stanie dostosować się do mocno zakorzenionego w Polsce mitu „prezydenta wszystkich Polaków". To oczywiste, że głowa państwa musi być lojalna przede wszystkim wobec swoich wyborców. Inaczej nie ma co marzyć o reelekcji. I jest skazana na bliską współpracę ze swoim obozem politycznym. Każdy prezydent, niezależnie od tego, skąd pochodzi, będzie „długopisem", jedynie rzadko wetującym inicjatywy swoich. Taka jest logika tego systemu ustrojowego. Inaczej będzie postępował jedynie świr, któremu pomieszało się w głowinie, a takich głów państwa nikomu nie życzymy.

Dlatego sensownie byłoby osłabić prezydenta i wybierać go sporą większością (np. trzech piątych) w Zgromadzeniu Narodowym. Likwidowałoby to gorączkę wyborczą, generującą silne i negatywne emocje. Zmuszałoby to też polityków do tego, czego obecnie nie robią prawie w ogóle – co było widać przy okazji nieszczęsnych debat prezydenckich. Do rozmawiania ze sobą. W tej chwili liderzy konkurencyjnych ugrupowań patrzą na siebie przez pryzmat własnej propagandy, nic więc dziwnego, że widzą w sobie nawzajem odrażające potwory. Gdyby zostali zmuszeni do realnych negocjacji, mogliby odkryć, że inni politycy nie są tak straszni, jak malują ich rządowe (czy antyrządowe) media. Może nawet da się z nimi działać na rzecz dobra wspólnego, które chyba zostało już w Polsce zupełnie zapomniane.

I wreszcie zbudowanie szerokiego porozumienia wokół kandydata zmuszałoby do poszukiwań ludzi kompromisowych, a nie wyrazistych. Prezydent wybrany przez trzy piąte parlamentarzystów byłby znacznie bardziej „wszystkich Polaków" niż ten wybrany przez 50,01 proc. Zresztą i tak nie miałby wiele do gadania. Więc wszyscy by go lubili. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Murem za Rowling

Od pewnego czasu przez brytyjskie oraz amerykańskie media społecznościowe przetacza się dyskusja, w której główną rolę odgrywa autorka książek o Harrym Potterze. J.K. Rowling nie ogłosiła jednak prac nad kolejnym filmem czy wznowieniem sagi, ale… wyraziła swoje krytyczne zdanie na temat transseksualności w kontekście praw, które powinny przysługiwać biologicznym kobietom. Uznała, że oderwanie płci od biologii oraz oparcie jej na konstrukcie społecznym oraz kulturowym prowadzi w konsekwencji do wypaczenia praw kobiet, które kobietami są od urodzenia, a nie ze względu na operację zmiany płci albo wybór innej identyfikacji płciowej.

Podobne postrzeganie tematu nie wywodzi się oczywiście z konserwatyzmu autorki, która od dawna otwarcie wspiera społeczności LGBT, ale charakterystycznego dla jednej z odmian feminizmu założenia, że prawa i obowiązki wynikające z bycia kobietą wiążą się z całym spektrum biologicznych konsekwencji, związanych z obiektywnymi różnicami między płciami. W związku z tym, jeśli mężczyzna zaczyna ubierać się jak kobieta i deklarować, że jest kobietą, nie sprawia to automatycznie, że może korzystać z damskich toalet czy domagać się dłuższego urlopu macierzyńskiego.

Wygłoszenie poglądu twardo opartego na logice doczekało się jednak nie tylko manifestacyjnego odcięcia się od J.K. Rowling aktorów, którzy ogrywali główne role w adaptacji Harry'ego Pottera, lecz także fali hejtu. Społeczność transpłciowa zaczęła wysyłać w kierunku pisarki życzenia śmierci, pornograficzne fotomontaże, przypisywano jej brak empatii, oskarżając ją o powodowanie stanów lękowych i myśli samobójczych. Oczywiście za podobną kampanią „szejmingu" poszły konkretne kroki zawodowe wobec osób, które postanowiły poprzeć autorkę, ale nie miały równie silnej pozycji zawodowej i finansowej. Taki los spotkał np. brytyjską pisarkę Gillian Phillip, która po tweecie z hashtagiem #IStandWithJKRowling (w wolnym tłumaczeniu: „Wspieram J.K. Rowling") otrzymała wypowiedzenie z jednego z wydawnictw dystrybuujących jej książki dla dzieci.

Sama Rowling nie odpuściła, przechodząc do kontrataku. W długim eseju wytłumaczyła nie tylko podstawy swojego myślenia, lecz także powołała się na liczne badania naukowe, wskazujące na groźne dla zdrowia fizycznego i psychicznego konsekwencje procesu zmiany płci, który dokonuje się w pewnych przypadkach również na dzieciach. Młody, nieukształtowany jeszcze psychicznie człowiek nie może bez szkodliwych, hormonalnych efektów ubocznych zmienić swojej tożsamości i ciała – przypomina pisarka. I właśnie z tego powodu jest dzisiaj brutalnie atakowana. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Gra na poziomie

W przedwyborczej gorączce oszołomiony słownym chaosem człowiek z trudem może się połapać, kto komu i za co przyłożył i kto naprawdę ma rację. Sondaże wskazują, że zdrowy rozsądek w Polsce jest w poważnym niebezpieczeństwie. Dzisiaj trudno mieć pewność, że – jak mówił poeta – „zapisane będą czyny i rozmowy". Niektórzy zdają się mieć pamięć rybki Nemo.

Abstrahując od podejrzanych interesów i szalonych czasem ambicji politycznych, podłoże wielu nieporozumień, konfliktów i słabości Polski składa się z trzech poziomów: bezmyślności, przyziemności i minimalizmu. Dwa pierwsze zjawiska dobrze ilustruje żartobliwy, a może bardziej ironiczny napis na T-shirtach: „Nie wiem, nie orientuję się, zarobiony jestem". Jeśli jednak wziąć ten napis na poważnie, to mamy tu niewiedzę i zaabsorbowanie codziennością. Pół biedy, jeśli ktoś przyznaje, że czegoś nie wie. Wiedzieć, co się wie, a czego się nie wie, to połowa sukcesu. Ktoś taki zawsze może się dowiedzieć. Gorzej, jeśli ktoś nie wiedząc, o czym mówi, upiera się przy swojej rzekomej racji. Połączenie niewiedzy z pychą to bariera nie do pokonania. Przyziemność jest tylko pozornie postawą racjonalną. Jeśli ktoś powiada: „I cóż ja na to mogę poradzić?" lub na pytanie o dobro wspólne czy rację stanu mówi: „Mam swoje problemy", to uczciwie rzecz biorąc, nie powinien głosować w wyborach ani wypowiadać się w sprawach publicznych. Bardzo szkoda, że spora część naszych współobywateli jest bezmyślna lub przyziemna. Być może dla dobra „sprawy polskiej" można by część z nich pozyskać przez doinformowanie lub uświadomienie wagi spraw publicznych. Innych lepiej nie słuchać.

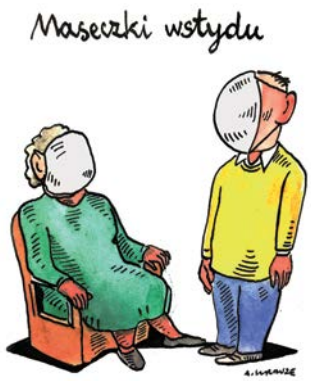

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Natomiast największy bodaj problem mamy z osobami zorientowanymi, ale wyznającymi narodowy minimalizm. Nie da się ukryć, że my, Polacy, mamy problem z właściwą miarą swoich ambicji narodowych. Z jednej strony mamy sny o potędze, z drugiej pamięć o klęskach. Na zdrowy rozum wiemy, że w naszym położeniu geopolitycznym trudno jest stanąć na własne nogi. Znamy ten problem od XVIII w., wiemy, jak skończyła Konstytucja 3 maja, jakie skutki przyniosły powstania narodowe lub druga wojna światowa. Czy jednak dobrym rozwiązaniem jest stałe czołganie się u nóg wielkich tego świata? Upraszczając rzecz, powiedzieć można, są oni wielcy dlatego, że biorą, a nie że dają. Czy to jednak oznacza, że nie mamy szukać szans na podreperowanie pozycji Polski w świecie takim, jaki on jest, że mamy z góry wmawiać sobie, że się nie uda? Przecież od małych nawet sukcesów na tej drodze zależy nasze wspólne bezpieczeństwo. Czy mamy siać anarchię, wkładać kij w szprychy tym, którzy szukają tych szans? Nadąsana mina to najgłupsza reakcja na to pytanie.

Rzecz ująć można modelowo. Istnieje w każdej chwili pewien stan rzeczy, pewien potencjał państwa, który jego sternicy wykorzystują w pełni, ponad stan lub poniżej tego stanu. Na wspominany stan rzeczy składają się potencjał gospodarczy, możliwości budżetu, świadomość społeczna, poziom zgody narodowej, a także możliwości przeciwników i sojuszników. Podstawą wykorzystania możliwości jest ich dobre rozeznanie. I tu mamy problem. Można swe siły przecenić, ale można też ich nie docenić. Można siły przeciwników przecenić, ale można też ich nie docenić. Optymalne wykorzystanie własnych możliwości musi więc opierać się na realnej i miarodajnej ich ocenie. Różne oceny polityki mogą wynikać z różnej samooceny. Politycy muszą więc bardzo skrupulatnie oceniać sytuację. Gra ponad stan może się w skali kraju skończyć fatalnie, choć nie można zapominać, że rezygnacja z takiej gry nie musi kraju uratować. Mieliśmy tego przykład w 1939 r.

Cóż jednak powiedzieć o politykach, którzy grają poniżej możliwości, ba, którzy te możliwości zaniżają, oddając swoje zasoby w ręce przeciwników lub wątpliwych sojuszników, godząc w życie rodzinne i uprawiając „pedagogikę wstydu"? W dobie złej koniunktury z czasów resetu prezydenta Baracka Obamy możliwości bardziej asertywnego działania polskiej dyplomacji były mniejsze, choć trudno usprawiedliwić chaotyczne rzucanie się między twardą ścianą Rosji i wyłożoną aksamitem ścianą Unii Europejskiej. Dzisiaj sytuacja się zmieniła i szanse wykorzystania polskich możliwości są większe. To wymaga jednak porzucenia działań anarchizujących życie w Polsce, osłabiających jej potencjał, idiotycznych uprzedzeń i myślenia minimalistycznego. Po pięciu latach „dobrej zmiany", szczerze mówiąc, dziwię się ludziom, którzy mają w tym względzie wątpliwości, na kogo głosować. ©℗

eprasa.pl cd6d820ddb

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

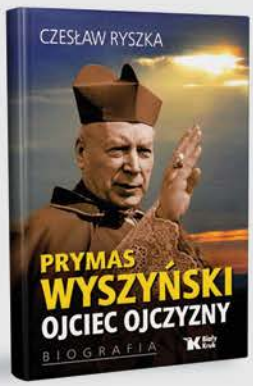

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

CZESŁAW RYSZKA „PRYMAS WYSZYŃSKI. OJCIEC OJCZYZNY"

~~756 ZŁ~~ > **283,00 ZŁ** < **OSZCZĘDNOŚĆ 473 ZŁ**

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl cd6d820ddb

TankuJEMY
HOT DOGI
za 1 grosz!
Kupujesz min. 25 l paliwa
oraz kawę i dostaJESZ
HOT DOGA za 1 grosz!
Twoje dzieci też!
Promocja trwa od 1.07 do 31.08.2020 lub do odwołania.
Zakup kwalifikowany musi nastąpić przy jednej transakcji.
Do jednej transakcji są wydawane maksymalnie 4 hot dogi
(1 dla kierowcy i maks. 3 dla dzieci) w promocyjnej cenie 1 gr/szt.
Z promocji są wyłączone transakcje z użyciem kart flotowych.
Regulamin i lista stacji biorących udział w promocji na lotos.pl.
LOTOS
eprasa.pl/ed6d820ddb